




KATARZYNA GRABOWSKA

W kolorze krwi

MEŃCZYNA Z PRZEPOWIEDNI

VIDEOGRAF



KATARZYNA GRABOWSKA

W kolorze krwi

MEŃCZYNA Z PRZEPOWIEDNI

VIDEOGRAF

KATARZYNA GRABOWSKA

Wkolorze krwi

Tom 1

❧ MEŹCZYŻNA Z PRZEPOWIEDNI ❧

VIDEOGRAF

Strona redakcyjna

Redakcja

Anna Jeziorska

Projekt okładki

Maksym Leki

Fotografia na okładce

© *LightField Studios / shutterstock.com /*

Reinhold Leitner / shutterstock.com Redakcja techniczna,

skład i łamanie *Damian Walasek*

Przygotowanie wersji elektronicznej *Maksym Leki*

Korekta *Urszula Bańcerk*

Marketing *Kinga Ucherek*

promocja.videograf@gmail.com

Wydanie I, Chorzów 2023

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA

41-500 Chorzów,

Aleja Harcerska 3c

tel. + 48 600 472 609, + 48 664 330 229

office@videograf.pl

www.videograf.pl

Dystrybucja wersji papierowej: LIBER SA

05-080 Kludyn, ul. Zorzy 4

Panattoni Park City Logistics

Warsaw I

tel. +48 22-663-98-13, fax +48 22-663-98-12

dystrybucja@liber.pl

dystrybucja.liber.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2022

tekst © Katarzyna Grabowska

ISBN 978-83-8293-030-6

Prawdziwie kochasz wtedy, kiedy nie wiesz dlaczego.
Lew Tołstoj

*Dla Kuby Fryziaka,
mojego najwierniejszego Czytelnika,
którego poznałam dwanaście lat temu
podczas tworzenia tej historii.
Dziękuję Ci, Kubo,
za wsparcie i wiarę w moje teksty.*

PROLOG

Pogoda była piękna, a las cudownie pachniał żywicą. Młody, około dwudziestoletni wieśniak, idący piaszczystą drogą, wiodącą przez środek gęstego boru, nie miał jednak czasu na zachwycanie się krajobrazem. Szedł szybko, lekko rozglądając się dookoła. Każdy najmniejszy szmer wywoływał u niego mocniejsze bicie serca. Rude, równo przycięte na linii uszu włosy, posklejały mu się od potu, którego kropelki lśniły również na wysokim czole mężczyzny. Lniana jasna koszula przyklejała się do jego ciała, a nogawki brązowych spodni pokryły się kurzem.

Musiał przejść długi dystans, ale na szczęście koniec drogi był bliski.

Mężczyzna oddychał szybko, łapczywie, tak jak oddycha człowiek zmęczony długim marszem. Z trudem walczył ze słabością własnego ciała, które odmawiało dalszego, jakże karkołomnego wysiłku. Jednak mimo iż obolałe mięśnie utrudniały każdy kolejny krok, nie zamierzał robić odpoczynku przed osiągnięciem celu. Musiał przezwyciężyć zmęczenie, zdobyć się na pokonanie wycieńczonego organizmu. Jeśli chciał przeżyć, nie mógł się nad sobą użalać.

Liczyły się czas i szybkość. Przecież gdzieś tu czaiło się zło.

Nieszczęśnik przeklinał się w myślach za pomysł skrócenia sobie drogi powrotnej do wsi.

Teraz, gdy bestia polowała w okolicy, nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszczał się w te rejony. Że też właśnie dziś stary Clemens, zamiast wrócić prosto z jarmarku do domu, postanowił

pojechać w odwiedziny do swojego syna. Podwiózł Boba tylko do rozstajów dróg i, życząc mu szczęśliwej podróży, pojechał dalej szerokim traktem. Bob zaś, spiesząc się do matki, zamiast zdecydować się na dłuższą drogę objazdową, wybrał skrót przez las.

Młodość rządzi się swoimi prawami. Nie słucha rozumu, tylko kieruje się chwilą. Tak było i w tym przypadku. Uwierzył w swoją odwagę oraz szczęście i zagłębił się pomiędzy drzewa. Jednak kurażu starczyło mu zaledwie na kilkadziesiąt metrów. Im dalej w las, tym robiło się ciemniej i każdy szelest powodował kolejny atak paniki. Odmawiając szeptem modlitwy, rozglądając się trwożliwie dookoła i nasłuchując dobiegających zewsząd odgłosów przyrody, parł

przed siebie.

Szczęście chyba faktycznie mu sprzyjało, gdyż podróż przez las minęła bezpiecznie i oto zbliżał się do kresu wędrówki. W oddali, pomiędzy drzewami, dostrzegł jaśniejszy prześwit.

Oczami wyobraźni widział już pola, które znajdowały się przecież tak niedaleko. Jeszcze tylko kilkaset metrów. Przyspieszył, aby szybciej wydostać się na otwartą, zalaną słońcem przestrzeń.

Teraz już niemalże biegł. Jak najprędzej chciał wreszcie opuścić ten przeklęty las.

Z uczuciem ulgi minął ostatnią linię drzew i przystanął, patrząc na majaczące w oddali dachy domów. Wieś... Odetchnął głębiej. A więc udało się! Był bezpieczny!

I wtedy, gdy Bob wyzbył się już strachu, stało się to, czego się obawiał, przed czym drżało jego serce. Chłodniejszy powiew wiatru owionął mu kark, sprawiając, iż wszystkie obawy wróciły. Tknięty złym przeczuciem obejrzał się za siebie. Jeszcze miał nadzieję, że to tylko wyobraźnia podsuwa mu złe myśli, jednak stracił ją, gdy napotkał spojrzenie czarnych, przenikliwych oczu osoby, która stała tuż za nim. Nie słyszał, gdy się zbliżała, a przecież nikt

nie poruszał się tak bezszelestnie. Otworzył usta, ale krzyk nie wydobył się z jego krtani. Zanim zdał

sobie w pełni sprawę z tego, co się dzieje, pochłonęła go ciemność.

ROZDZIAŁ I

Słońce powoli chowało się za wierzchołki drzew. Od pobliskiego lasu czuć było nadchodzący chłód wieczora. Elizabeth wyszła przed dom i szczerzej otuliła się ciepłym szalem.

Spojrzała tęsknie w dal, gdzie wśród drzew niknęła droga prowadząca do wsi. Tu, na tym odludziu, w wielkim, posepnym domu, tak różnym od londyńskiej rezydencji rodziców, czuła się bardzo samotna, zwłaszcza gdy Lucas, jej brat, udawał się na objazd okolicznych ziem.

Wprawdzie nigdy nie zostawała całkiem sama, gdyż w majątku Westmoore'ów zatrudniona była liczna służba, jednak z tymi ludźmi, w większości wywodzącymi się spośród okolicznego chłopstwa, Elizabeth nie potrafiła nawiązać kontaktu. Pomiędzy nimi a nią istniała ogromna przepaść, taka jaka dzieli przedstawicieli dwóch różnych warstw społecznych. Oni, prości wieśniacy, nie mający pojęcia o świecie, milczący, zawsze posłuszni i skoncentrowani na służeniu innym. Ona, córka hrabiego Westmoore'a, wykształcona i bywająca w najlepszym towarzystwie, godzinami mogąca rozprawiać o poezji, malarstwie, i uwielbiająca grę na fortepianie. Jakie mogliby mieć wspólne tematy? Raczej żadnych.

Elizabeth od najmłodszych lat zdawała sobie sprawę z istnienia różnic społecznych, jednak w żaden sposób nie wywyższała się nad służących. Traktowała ich z chłodną uprzejmością, dystansując się od nich nie dlatego, że miała poczucie własnej wyjątkowości, ale dlatego, że tak działał system klasowy, w którym przyszło jej żyć. Czasem, patrząc na usługujące dziewczyny, które mogły być jej równolatkami, próbowała wyobrazić sobie, jak wyglądałoby życie, gdyby za ojca nie miała hrabiego, ale na przykład zwykłego lokaja. Czy wtedy jej uroda, która zachwycała wszystkich w towarzystwie, nadal byłaby doceniana? Czy zachowałyby delikatność i miękkość ruchów, czy też ciężka praca fizyczna sprawiłaby, że jej sylwetka stałaby się potężniejsza, bardziej masywna? Czy długie, kasztanowe włosy, okalające powabnymi falami idealny owal twarzyczki, nadal by tak błyszczwały? A ogromne, może nawet trochę zbyt duże, błękitne oczy, przysłonięte gęstą firanką czarnych rzęs, dalej patrzyłyby na świat z taką ciekawością? Może straciłyby swój blask i niewinność. A ładnie wykrojone, różowe usteczka, na których zazwyczaj gościł beztronski uśmiech, czy miałyby dużo powodów do radości podczas trudów codziennego życia?

W odróżnieniu od innych panien z towarzystwa, dla których jedynym celem było korzystne wyjście za mąż, hrabianka Westmoore nie interesowała się flirtami, przedkładając dobrą książkę nad udział w kolejnym nudnym przyjęciu czy balu. Wśród swoich rówieśnic czuła się wyobcowana, gdyż chyba jako jedyna nie emocjonowała się ewentualnym mariażem i nie wypatrywała kandydata na męża. Wręcz przeciwnie, nużyły ją umizgi mężczyzn, którzy nadskakiwali jej i roztkliwiali się nad jej delikatnością, traktując jednak nie jak równorzędnego partnera w rozmowie, a wyłącznie cenne trofeum. Elizabeth zwykła porównywać bale do targowisk próżności, gdzie wyelegantowane panny wystawiane są na pokaz swoim przyszłym właścicielom, którzy oglądają je z każdej strony, przeliczają potencjalne korzyści wynikające z takiego mariażu i decydują, czy dany okaz jest warty większego starania, czy też raczej lepiej go sobie odpuścić.

Elizabeth, należąc do szacownej i bardzo bogatej rodziny, nigdy nie narzekała na brak adoratorów. Żaden jednak nie zdobył jej serca. Miała dość słuchania na swój temat słów pełnych zachwyty, doskonale zdając sobie sprawę, że oceniana jest przede wszystkim jej zamożność i pozycja towarzyska rodziny. Nikt nie interesował się tym, co myśli, jakie ma zdanie w danej kwestii. Każdy za to wymagał uśmiechów, spłoszonych spojrzeń będących oznaką niewinności

panienki oraz zdawkowych odpowiedzi na banalne pytania. Gdy Elizabeth sama próbowała zagadywać swoich rozmówców, przechodząc z błahych tematów na te związane z historią, filozofią lub nie daj Boże polityką, ci albo wybuchali śmiechem, pytając, skąd w tak pięknej główce tyle niepotrzebnych myśli, lub, jak było to w kilku przypadkach, po prostu grzecznie kończyli rozmowę, wymigując się koniecznością przywitania z innym gościem.

Hrabina Westmoore, widząc, jak kolejni adoratorzy rezygnują ze starań o rękę jej córki i zachowując wszelkie zasady kurtuazji przenoszą swoje zainteresowania na mniej urodziwe i majątne panny, obwinała męża, że to przez niego i jego dziwaczne podejście do edukacji Elizabeth grozi staropanieństwo. Bo kto to słyszał, aby młoda dziewczyna uczyła się tak samo, jak chłopcy? Po co jej algebra, geografia, historia? Panna z dobrego domu powinna umieć grać na instrumencie, tańczyć, rozmawiać po francusku. To w zupełności wystarczy, aby stać się ostoją domowego ogniska.

– Te twoje edukacyjne zapędy zrobiły Elizabeth sieczkę z mózgu! – zwykła wykrzykiwać w chwilach gniewu. – Wszyscy patrzą się na nas jak na dziwaków. Czy wiesz, że ona wczoraj, podczas balu, powiedziała księciu Howardowi, że człowiek z natury nie jest nikomu podporządkowany, nie może podlegać woli innego człowieka, ani nie wiążą go żadne prawa, które ustanawiają inni? Rozumiesz?

– Moja droga, jak mniemam, Elizabeth mówiła o prawie natury w ujęciu Locke’a. To część filozofii politycznej.

– No właśnie! Na co jej ta filozofia? Tymi głupotami tylko ją unieszczęśliwisz.

– Uważasz, że szczęście zapewni jej to, że będzie głupia?

– Czy ty mnie teraz obrażasz? – Hrabina poczerwieniła na twarzy. – Kobieta nie do nauki jest stworzona!

– Nie obrażam cię, moja droga. To prawda, że nie każda kobieta ma głowę do nauki, ale nie można odbierać im szansy edukacji. Elizabeth jest bystra i ma pociąg do wiedzy. Kiedyś nastaną czasy, gdy wszyscy będą mogli się kształcić, bez względu na płeć czy pochodzenie.

– Chcesz mi wmówić, że i biedota sięgnie po książki? – Hrabina wzdrygnęła się. – A kto będzie pracował?

– Może każdy...

O nie! Zdecydowanie podejście męża nie pokrywało się z przekonaniami lady Westmoore. Ponieważ jednak urodziła się kobietą, musiała podporządkować się jego woli.

Nauczono ją, że to mężczyzna ma prawo decydować o wszystkim. Jako przykładna żona musiała to zaakceptować, chociaż dość sceptycznie i z dużym niepokojem obserwowała, jak zapatrywanie hrabiego na edukację niszczy przyszłość Elizabeth.

Hrabia Westmoore, będąc osobą wykształconą i ciekawą świata, chętnie dzielił się zdobytą wiedzą ze swoimi dziećmi. O ile w przypadku Lucasa, pierworodnego syna, było to pożądane, w odniesieniu do Elizabeth okazało się dość problematyczne. Dziewczyna, chłonąc informacje przekazywane przez ojca, szybko zrozumiała, że jej pozycja w społeczeństwie i rodzinie nie jest zbyt korzystna. Bycie zwykłą ozdobą raczej jej nie odpowiadało. W głębi

serca czuła, iż kobieta nie powinna ograniczać się tylko do roli żony i matki, ale przede wszystkim powinna dorównywać partnerowi intelektem i posiadać takie samo prawo decydowania o sobie jak mężczyźni. Ojciec, który ponad wszystko kochał córkę, mimo rozpaczy żony nie próbował na siłę zmieniać dość kontrowersyjnego światopoglądu Elizabeth, rozumując, iż proza życia i tak odbierze jej złudzenia. Chciał, aby jego ulubienica w pełni korzystała ze swobody teraz, kiedy jeszcze miała ku temu okazję.

Niestety, piękne, beztrudne lata spędzone w Londynie u boku ojca i matki, przeszły już do historii. Minęły tak szybko, jak przelotny deszczyk. Właściwie Elizabeth wydawało się jakby nigdy nie istniały, jakby dotyczyły kogoś innego. Gdy ubiegłego lata wyjeżdżała na wakacyjny wypoczynek do majątku ciotki, znajdującego się w pobliżu Edynburga, nie myślała, że matka ostatni raz całuje ją w policzek, a ojciec ostatni raz gładzi ją po głowie. Była pewna, że wkrótce, bo cóż znaczy kilka tygodni, gdy ma się zaledwie szesnaście lat, wróci do domu i opowie rodzicom, jak wspaniale bawiła się w Szkocji. Nie spodziewała się, że już nigdy więcej nie zobaczy pogodnych oczu matki i łagodnego uśmiechu ojca.

Gdy ona bawiła się wśród szkockiej arystokracji, jej kochani rodzice kończyli swój żywot. Według tego, czego później się dowiedziała, najpierw zachorował ojciec. Matka zaraziła się od niego, gdy pielęgnowała go w chorobie. Zmarli prawie jednocześnie – być może wtedy, gdy Elizabeth wirowała w tańcu na jednym z przyjęć. Pochowano ich szybko, zbyt szybko. Nie zdążyła ich pożegnać. Gdy wróciła do domu, wszystko było już uprzątnięte, a wielkie komnaty dziwnie wyglądały z meblami zasłoniętymi białymi płachtami. Czuła pustkę, która nagle ją otoczyła. Pustkę i przytłaczający chłód. Została sama. Zupełnie sama, nie licząc Lucasa.

Lucas był starszym bratem Elizabeth. Miał dwadzieścia pięć lat i służył w stopniu oficera w Królewskiej Gwardii Konnej. Jego relacje z Elizabeth były dość chłodne. Dorastali z daleka od siebie, gdyż Lucas jako kilkuletni chłopiec został oddany do szkoły z internatem, która miała od najmłodszych lat przygotowywać go do służby wojskowej. Elizabeth rzadko widywała brata, a gdy ten czasami pojawiał się w domu, ubrany w elegancki mundur, wydawał się jej niedostępny i obcy. Właściwie nigdy z nią nie rozmawiał, a jeśli już zamienili ze sobą kilka słów, to zazwyczaj on zadawał kurtuazyjne pytania, dotyczące jej samopoczucia, lecz robił to bardziej z obowiązku niż z troski. Młodsza siostra była dla niego tylko dzieckiem, któremu nie należy poświęcać zbyt dużo uwagi – od tego przecież są niańki i guwernantki. On, oficer, nie czuł się odpowiednią osobą do zajmowania się sprawami Elizabeth. Niby brat, a zupełnie obcy człowiek. I to właśnie Lucas po śmierci rodziców stał się jej jedynym prawnym opiekunem.

Wtedy, gdy przyjechał po nią do Szkocji, był równie milczący jak zawsze. Służba zawiadomiła Elizabeth, iż hrabia Lucas Westmoore czeka na nią w holu na dole rezydencji.

Bardzo się zdziwiła, gdyż ostatnią rzeczą, jakiej by się spodziewała, były odwiedziny starszego, prawie obcego brata.

Schodząc po schodach, dostrzegła tuż przy drzwiach wejściowych wysoką, wyprostowaną sylwetkę. Wprawdzie dawno nie widziała Lucasa, gdyż służba w wojsku nieco oddaliła go od rodziny, jednak od razu rozpoznała brata. Prawie się nie zmienił. Jedyne, co ją zaskoczyło w jego wyglądzie to fakt, że nie miał na sobie munduru. Do tej pory brat kojarzył się jej z wojskiem, wręcz uważała, że mundur jest jego integralną częścią.

Obok Lucasa stała ciotka, księżna Amelia Sinclair, i jakoś tak dziwnie patrzyła na zbliżającą się Elizabeth. Dziewczyna była prawie pewna, że w oczach szacownej damy dostrzegła łzy,

które ta dyskretnie wytarła czarną koronkową chusteczką. Ale dlaczego ciotka miałaby płakać? Czyżby Lucas wyrządził jej jakąś przykrość? Nie! Lucas nie wydawał się zdolny do gruboskórnych zachowań. Zawsze opanowany, grzeczny, pełen kurtuazji.

– Och, moje drogie dziecko – zaczęła księżna, nadając swojemu głosowi dziwnie melodramatyczne brzmienie, ale Lucas powstrzymał ją, ruchem ręki dając znak, aby umilkła.

Podszedł do siostry, która zdążyła już zejść na dół. Stanął na wprost Elizabeth i spojrzał jej prosto w oczy.

– Witaj, bracie. – Skłoniła się lekko. Między nimi nigdy nie było szczególnej bliskości, potraktowała go więc z wymaganą grzecznością, ale bez cienia entuzjazmu. – Czemu zawdzięczam twoje odwiedziny? Rodzice cię przysłali, czy może akurat byłeś przejazdem w Edynburgu i postanowiłeś zająć z wizytą?

– Elizabeth... – Zawahał się i umilkł na chwilę. Z uwagą przypatrywał się siostrze, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Spojrzała zza ramienia brata na stojącą z tyłu ciotkę, której pochlipywanie przybierało na sile. Księżna Sinclair już nawet nie starała się ukryć łez.

– Czy coś się stało? – zapytała złęczona Elizabeth. Płacz ciotki nie wróżył nic dobrego.

– Przyjechałem, aby zabrać cię do domu – odezwał się wreszcie Lucas, uprzednio nerwowo odchrząknawszy.

– Do domu? Teraz? – Spojrzała na niego zdumiona. – Ale przecież miałam zostać do...

– Elizabeth, to nie pora na dyskusje – przerwał jej chłodnym tonem, nawykłym do wydawania rozkazów. – Chciałbym jeszcze dziś wyruszyć w drogę powrotną do Londynu.

– Jeszcze dziś? – zdziwiła się księżna. – Przecież dopiero przyjechałeś. To tak daleka podróż. Trzeba na spokojnie wszystko zorganizować i...

– Wszystko jest zorganizowane – uciął. – Elizabeth powinna jak najprędzej wrócić do domu.

– Ale... – próbowała oponować ciotka.

– Żadne ale. Tak postanowiłem! – rzucił stanowczo.

– Ale ja nie chcę! – Elizabeth tupnęła nogą. – Dlaczego chcesz zabrać mnie do domu? Po co tu przyjechałeś? I gdzie są rodzice? To oni cię przysłali?

– Idź do swojego pokoju i przebierz się w coś ciemnego. – Nie odpowiedział na jej pytania.

– Nie wypada, abyś paradowała teraz w tych pstrokatych kolorach.

– Ciemnego? – Elizabeth zadrżała.

Poczuła dziwny niepokój. Nie rozumiała, jak brat mógł w ogóle coś takiego zaproponować! Ciemne kolory były przecież wyjątkowo przygnębiające, mało twarzowe i nieodpowiednie dla młodej dziewczyny. Nosiły je tylko wdowy lub osoby w żałobie. W żałobie?

Uporczywie odpychała od siebie tę myśl.

– Tak trzeba, Elizabeth. Tak trzeba, drogie dziecko... – załkała ciotka. – Pewnie nie masz nic odpowiedniego w swojej garderobie, więc poszukamy u mnie. Służąca raz-dwa dopasuje do twojej figury.

– Czy mama i tato wiedzą, że tu przyjechałeś? – powtórzyła pytanie, nie słuchając tego, co mówiła księżna. – Czy to oni cię po mnie wysłali?

Uwagi Elizabeth nie umknął fakt, że na policzku Lucasa drgnął mięsień, co świadczyło o tym, że brat był zdenerwowany, i tylko starał się zachować pozory spokoju.

– Ich już nie ma, Elizabeth – powiedział cichym, chociaż stanowczym głosem. – Naszych rodziców już nie ma. Umarli...

– Co? – Słowa wypowiedziane przez Lucasa wydały się jej całkowicie absurdalne, dlatego też wybuchła śmiechem. – Dlaczego mówisz takie okropne rzeczy? Chcesz mnie przerazić? To nie jest zabawne!

Pochlipywanie ciotki przeszło w regularny szloch.

– Dlaczego? Dlaczego mi to robicie? – Elizabeth gwałtownie potrząsnęła głową, nadal zaprzeczając temu, o czym właśnie się dowiedziała.

Lucas powolnym ruchem uniósł obie ręce, położył dłonie na ramionach siostry i mocno zacisnął na nich palce.

– Oni umarli, Elizabeth – oświadczył. – Nie ma ich. Teraz ja zostałem twoim opiekunem.

Przekazana przez Lucasa wiadomość nie do końca dotarła do świadomości Elizabeth. W jej przypadku zadziałał mechanizm ochronny. Broniąc się przed straszną prawdą, wmawiała sobie, że to tylko jakieś upiorne żarty brata. Ciągle żyła nadzieją, że wkrótce wszystko się

wyjaśni. Wprawdzie przywdziała czarną suknię ciotki, przerobioną na szybko przez jedną z pokojówek, tak aby pasowała na szczupłą sylwetkę, ale nie przywiązywała żadnego znaczenia do tego żałobnego stroju.

Przez całą drogę z majątku ciotki do Londynu starała się milczeć, ograniczając konwersację z bratem do minimum i skrzętnie wystrzegając się jakichkolwiek nawiązań do rodziców. Siedząc w powozie, unikała kontaktu wzrokowego z Lucasem, przez większość podróży wpatrując się tępo w ścianę na wprost siebie albo wyglądając przez okno. Tylko w ten sposób była w stanie opanować targające nią emocje.

Lucas uszanował jej milczenie, biorąc je za oznakę szoku. Sam zagłębił się w lekturze, aby jakoś zająć czas, który przyszło mu spędzić w zamkniętym powozie. Jako żołnierz przywykł do jazdy konnej i z przyjemnością zamieniłby środek transportu, jednak dla wygody siostry zrezygnował z własnych pragnień. Od tej pory musiał przygotować się na pasmo wielu wyrzeczeń.

Wreszcie, po długiej i dość męczącej podróży, dotarli do Londynu. Powóz przejechał przez bramę i zatrzymał się na podjeździe przed głównym wejściem rezydencji Westmoore'ów.

– Mamo! Tato! – krzyknęła Elizabeth i, nie czekając, aż lokaj otworzy przed nią drzwi, sama opuściła pojazd. Szybko pokonała szerokie marmurowe schody i wbiegła do wielkiego holu.

– Mamo! Tato!

Rozglądała się dookoła, wypatrując rodziców. Nadal miała nadzieję, że lada chwila z salonu wyjdzie matka, a zza drzwi gabinetu wyłoni się ojciec, otoczony obłoczką dymu uwielbianych przez niego cygar. Och, teraz z przyjemnością wdychałaby ten zapach, którego kiedyś tak nie znosiła.

W salonie zaskoczyła ją widok wielkich białych płacht materiału, którymi przykryto kanapy i fotele. Nie rozumiała, dlaczego ktoś miałby zasłaniać często używane meble. Przecież salon to serce domu! Tu przyjmuje się gości, a na brak takowych państwo Westmoore nie mogli narzekać, gdyż należeli do śmietanki towarzyskiej stolicy. Bywali na wszystkich mniejszych i większych przyjęciach, sami również często organizowali spotkania w swojej rezydencji.

– Mamo! – Elizabeth zacisnęła pięści. Gdzie są rodzice? Dlaczego nie odpowiadają na wołanie? Niechże się wreszcie zjawią! Niech to wszystko okaże się tylko makabrycznym żartem Lucasa! – Tato!

– Panienko... – W progu przystanąła jedna ze służących. – Czy chce panienka odświeżyć się po podróży?

– Odświeżyć? – Elizabeth momentalnie dopadła do dziewczyny. – W tej chwili najbardziej na świecie chcę się zobaczyć z moimi rodzicami. Gdzie oni są? Na jakimś przyjęciu?

– Uchwyciła się nadziei.

Służąca pobladła. Niewyraźnie poruszyła ustami, po czym szybko pochyliła głowę, starając się uniknąć kontaktu wzrokowego z hrabianką.

– Gdzie moja mama? – powtórzyła Elizabeth, ale nie uzyskała odpowiedzi. Pokojówka trzęsła się i nerwowo miętosiła rąbek fartuszka, milcząc uparcie, jakby była niemową.

– Elizabeth! – Lucas wszedł do salonu. – Daj spokój dziewczynie. Przecież już ci mówiłem, że nasi rodzice...

– Nie! – krzyknęła i zasłoniła dłońmi uszy. – Nie mów tego! Błagam, nie mów!

– Ale to prawda. Musisz wreszcie to zrozumieć i zaakceptować.

– Nie! – Wyminęła brata i wyszła do holu. Spojrzała na schody wiodące na piętro. A jeśli właśnie tam schowali się rodzice? Ciągle się łudziła, że matka i ojciec toczą z nią jakąś grę.

Podtrzymując dół obszernej krynoliny, zaczęła pokonywać kolejne stopnie, przeskakując po dwa na raz, co, jak pamiętała, nie wypadało czynić dobrze wychowanej panience. Nawet w

pewnym momencie pomyślała, że mama ją za to złaja. O tak, w tej chwili oddałaby wszystko, aby otrzymać reprimendę od matki.

Lucas z westchnieniem rezygnacji podążył za siostrą. Dogonił ją na samej górze i schwycił za łokieć.

– Proszę cię, Elizabeth! Ich tu naprawdę nie ma.

– Nie! – Wyszarpnęła się. – Oni tu są. Na pewno gdzieś tu są.

Dostrzegła drzwi wiodące do buduaru matki i podbiegła do nich. Położyła dłoń na klamce, ale nie nacisnęła jej od razu. Zawahała się. Bardzo pragnęła tam wejść i przekonać się, iż wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie dni, było tylko kiepskim żartem Lucasa, ale jednocześnie bała się, że gdy otworzy drzwi, będzie musiała zaakceptować prawdę, którą tak uparcie odrzucała.

Lucas stał w miejscu, nie mając siły powstrzymać Elizabeth przed wejściem do pokoju matki. Wiedział, że gdy siostra otworzy drzwi, straci ostatnią iskrę nadziei. Patrzył więc tylko w milczeniu, jak szczupła, dziewczęca dłoń naciska klamkę.

– Mamo... – Elizabeth przekroczyła próg buduaru i omiotła wzrokiem puste pomieszczenie, w którym wszystkie sprzęty były pozakrywane białymi pokrowcami, podkreślającymi ich obecną bezużyteczność. Pustka zionęła z każdego zakamarka pokoju, będącego królestwem hrabiny Westmoore.

Elizabeth miała wrażenie, że opuszcza ją cała energia. Poczuła się zmęczona i słaba.

Wreszcie zaczęło do niej docierać, że stało się coś, czego nie można odwrócić. Życie ludzkie jest niezwykle ulotne. Nigdy nie wiadomo, jak długo będziemy mogli cieszyć się z czyjegoś towarzystwa. Wczorajsze wspólne dni niezwykle szybko mogą okazać się samotną przyszłością.

Dziś jesteśmy, jutro nas nie ma. Czasu się nie zatrzyma ani nie cofnie. Jedyne co nam zostaje, to pogodzić się z nieuchronnym. Ale to takie trudne... I tak bardzo bolesne.

Powolnym krokiem, jakby jej nogi ważyły tonę, podeszła do toaletki matki i ściągnęła z niej pokrowiec. Zerknęła w lustro, łudząc się, że może uchwyci w nim zakłętę w czasie

odbicie hrabiny Westmoore, jednak ze szklanej tafli patrzyły na nią tylko jej własne, niezwykle smutne oczy.

Przeniosła spojrzenie na pozostawione na blacie przybory toaletowe. Służba ich nie uprzątnęła, a jedynie przykryła, dlatego tkwiły w tym samym miejscu, w którym pozostawiła je ręka matki. Wpatrywała się w nie, przypominając sobie, jak matka rozczesywała włosy inkrustowaną szczotką, jak przypudrowywała policzki miękkim pędzlem z porcelanową końcówką.

Ostrożnie ujęła w dłoń chłodną rączkę szczotki. Obracała ją w palcach, przy okazji zauważając długie, pojedyncze pasma zaplątane pomiędzy włosie. Przyjrzała się im uważnie.

Promienie słoneczne wpadające przez wielkie okna zaigrały w jasnych nitkach, złocąc je.

Elizabeth pomyślała o ulotności ludzkiego życia, przyrównując je do pajęczej sieci. Lada podmuch może je przerwać.

Niežnośna gula wezbrała w gardle dziewczyny, utrudniając oddychanie. Pod powiekami wezbrały łzy, ale ani jedna z nich nie spłynęła po policzkach. Może łatwiej by było, gdyby pozwoliła sobie na płacz, jednak w tamtym momencie nie była do tego zdolna. Cierpiała wewnątrz, nie okazując smutku na zewnątrz. Katowała się wspomnieniami, odtwarzając w myślach każdą wspólną chwilę, którą spędziła z rodzicami. Najdrobniejsze, niby błahe wydarzenia, nagle nabrały bardzo istotnego znaczenia. To była prawdziwa katorgia, ale jednocześnie i ratunek. Zadawała sobie ból, ale ten ból przynosił ukojenie. Czasem, gdy traci się wszystko, jedyne co pozostaje to tylko wspomnienia. Słodkie, a zarazem bolesne. Jednak bez nich dalsze życie nie miałoby sensu.

Jeszcze tego samego dnia Lucas zabrał Elizabeth na cmentarz. Sama go o to poprosiła, a on nie potrafił jej odmówić. Wysoka, monumentalna kaplica rodziny Westmoore'ów była skryta wśród zieleni. Otoczona drzewami tonęła w ciszy i spokoju. Gwar miasta tu nie docierał, a czas zdawał się stać w miejscu. Nawet wiatr ucichł, jakby onieśmielony panującą dookoła powagą.

Dźwięk otwieranych masywnych drewnianych drzwi, ozdobionych mosiężnymi okuciami, był dla Elizabeth niczym skrzywienie wieka trumny. Miała wrażenie, że oto przekracza granicę pomiędzy światem żywych i zmarłych. Za nią zostało słońce, szum drzew i świergot ptaków. Znalazła się wewnątrz grobowca, spowita półmrokiem i chłodem, którym przesiąknięte było pomieszczenie.

– Tu jest tak zimno... – wyszeptała, dziwiąc się, jak obco brzmi jej głos. – Mama nie lubiła chłodu.

– Już go nie czuje.

Lucas nie wiedział, co odpowiedzieć siostrze. Jej zachowanie było dla niego totalnym zaskoczeniem. Jadąc po nią do Szkocji, spodziewał się rozpacz, omdleń, niemalże hysterii, a tymczasem Elizabeth podeszła do śmierci rodziców w zupełnie odmienny sposób. Zamknęła się w sobie, tak jakby nie chciała przyjąć do wiadomości faktu, że ojciec i matka stali się już tylko wspomnieniem. Uporczywie zaprzeczała prawdzie i wbrew zdrowemu rozsądkowi ciągle liczyła na cud.

Opieka nad Elizabeth spadła na Lucasa niczym grom z jasnego nieba. Nigdy wcześniej nie myślał, że kiedyś będzie musiał zatroszczyć się o jej przyszłość. Przecież rodzice byli jeszcze w sile wieku, cieszyli się dobrym zdrowiem. Nic nie zapowiadało tragedii. Ich śmierć wprowadziła ogromne zamieszanie w życiu młodego hrabiego.

Udając się po siostrę do majątku ciotki pod Edynburgiem, był pewien, że jedzie po nieco pyzată, ciekawską, wiecznie ślęczącą nad książką dziewczynkę, którą ostatni raz widział przed prawie trzema laty. Jakże był zaskoczony, gdy czekając wraz z księżną Sinclair w holu rezydencji, zobaczył młodą, śliczną kobietę, schodzącą po schodach. To była Elizabeth? Jego mała siostrzyczka? Nie tak ją sobie wyobrażał.

Cała przemowa, którą zawczasu przygotował, wydała mu się głupia. Po raz pierwszy w życiu poczuł się zmieszany i nie wiedział, co powiedzieć. Wprawdzie wcześniej ciotka zaoferowała pomoc, zapewniając, że kto jak kto, ale ona doskonale poradzi sobie z przekazaniem złych informacji, jednak duma, a przede wszystkim poczucie, że to on jest najbliższą osobą dla Elizabeth i to w jego gestii leży opieka nad nią, nie pozwoliły Lucasowi skorzystać z tej propozycji. Niestety, umiejętności dyplomatyczne młodego hrabiego okazały się mało wystarczające. Przez to w niezbyt miły sposób poinformował siostrę o śmierci rodziców. Był

nawet trochę zbyt obcesowy, za co później czynił sobie wyrzuty. Widząc, że Elizabeth uparcie odrzucała bolesną prawdę, uznał, że musi po prostu dać jej więcej czasu na oswojenie się z sytuacją. Przecież każdy inaczej przeżywa żałobę.

– Kamienie są takie zimne... – Dziewczyna podeszła do dużych rozmiarów sarkofagu, ozdobionego rzeźbionym motywem kwiatowym. Położyła na nim trzymany w ręku pęk kremowych róż, tych, które tak bardzo kochała hrabina Westmoore, i przejechała palcami po marmurowym wieku. – Takie zimne – powtórzyła. – I oddzielają nas od osób, które kochamy.

Wezbrane pod powiekami łzy, które tkwiły tam dotąd, wreszcie znalazły dla siebie ujście.

Spłynęły po policzkach, przez moment zamigotały na drżącym podbródku, by wreszcie skapnąć na suknię i na posadzkę.

Elizabeth osunęła się na kolana, opierając głowę o katafalk. Płakała rozdzierająco, zatracając się w rozpacz. Tu, w tym miejscu, dotarła do niej cała nieodwracalność sytuacji.

Rodziców już nie było i nigdy nie wrócą. Została sama z Lucasem.

Brat stał tuż za nią, ale nawet nie próbował ukoić jej żalu. Po prostu patrzył na wstrząsane szlochem ciało siostry. Sam czuł się najbardziej samotnym człowiekiem na świecie, w dodatku człowiekiem, na którego barkach spoczywały poważne obowiązki. Nie mógł pozwolić, aby kierowały nim emocje. Musiał zachować racjonalizm i chłodną logikę.

– Mamo! Tato! – łkała Elizabeth. – Dlaczego mnie zostawiliście? Gdzie mam was szukać? To nie tak miało być! Przecież wyjechałam tylko na wakacje! Przecież mieliście na mnie czekać. Mieliśmy tyle planów... Jak mam bez was żyć? Jak mam żyć?!

Tknięta nagłym impulsem odwróciła się do Lucasa, szukając u niego wsparcia. Zamiast tego napotkała jednak tylko chłodne, pozbawione emocji spojrzenie mężczyzny. Tak obce i niechętnie. Nie mogła liczyć na jego zrozumienie, lecz mimo to był jedyną najbliższą osobą, która jej pozostała.

Nie wiedziała, ile czasu spędzili w mauzoleum. Zdawało się jej, że całą wieczność.

Najchętniej zostałaby tam na zawsze, ale przecież musiała dalej żyć. Wbrew samej sobie, na przekór pragnieniu pogrążenia się w niebycie. Tylko jak miała to zrobić, czując tę przytłaczającą pustkę?

– Chodźmy. – Lucas podszedł do Elizabeth i niemalże siłą oderwał ją od kamiennego nagrobka.

Objął siostrę wpół, po czym poprowadził w stronę wyjścia. Bezwolnie postępowała u jego boku, cały czas oglądając się za siebie i patrząc na miejsce, gdzie jej rodzice mieli spędzić całą wieczność.

Z mroku rodzinnego mauzoleum wydostali się na zewnątrz. Powitały ich promienie zachodzącego słońca i lekki powiew ciepłego wiatru.

– Co teraz? – zapytała Elizabeth, nie oczekując jednak odpowiedzi od Lucasa.

– Teraz będziemy dalej żyć.

– Żyć... – powtórzyła bez przekonania. – Tylko co to będzie za życie?

Drewniane drzwi oddzieliły ich od najbliższych, a przekreślony w zamku klucz przypieczętował to rozstanie. Mimo iż opuścili już wnętrze grobowca, Elizabeth nadal odczuwała wszechogarniające zimno. Miała wrażenie, że ten chłód wydobywa się z głębi jej serca i promieniuje na całe ciało. Wręcz wydawało się jej, że sama stała się głazem. Była prawie pewna, że nigdy nie pozbędzie się już tego uczucia.

Oddałyby wtedy wszystko, aby móc wtulić się w ramiona brata, aby usłyszeć od niego kilka ciepłych słów otuchy. To może stopiłoby ten lód w głębi serca. Tak bardzo go teraz potrzebowała. Był blisko, tuż obok, a jednak dzieliła ich bezgraniczna przepaść, zbudowana przez tyle lat rozdzielenia.

Lucas nie potrafił pocieszyć Elizabeth. Nie potrafił ukoić ogromnego bólu, który przepętniał jej serce. Sam również cierpiał, ale nie okazywał tego po sobie. Zawsze uczono go, iż mężczyzna musi być silny i odpowiedzialny – i taki był. Wiedział, co musi zrobić. Słowa uważał

za zbędne, dla niego liczyły się czyny. Teraz to on stał się odpowiedzialny za Elizabeth i miał

pewność, że dobrze wywiąże się ze swego zadania. Potraktował to jako kolejne wyzwanie. Cóż, może zajmowanie się dorastającą panienką nie było tym, o czym marzył, ale nie zamierzał

uciekać przed problemem. Oddanie siostry pod opiekę jednej z ciotek wydawało się może kuszące i całkiem zrozumiałe, ale świadczyłoby o jego słabości, a do tej nie zamierzał się przyznawać.

Zaraz po śmierci rodziców podjął najważniejszą decyzję, która miała zaważyć na jego dalszym życiu. Ku zdziwieniu swoich przełożonych, którzy wróżyli mu wielką karierę

wojskową, opuścił Królewską Gwardię Konną, rezygnując z obranej w dzieciństwie ścieżki.

Teraz jego plany i marzenia wydawały się mniej istotne. Stając się głową rodziny, musiał przede wszystkim zadbać o swoją siostrę. Zależało mu na tym, aby Elizabeth miała czas na pogodzenie się ze stratą, aby w spokoju przeżyła okres żałoby.

Niestety, w Londynie cisza nie była im sądzona. Liczni znajomi, powodowani ciekawością, jak sobie radzi osierocone rodzeństwo, a także kierując się własnym interesem, upatrując w młodym hrabim dobrej partii dla swoich córek, postanowili wykorzystać okres żałoby Westmoore'ów na złożenie im wizyty. Wyrazy uszanowania i kondolencje składane osobiście przez przedstawicieli londyńskiej arystokracji, okazały się dość kłopotliwe. Za każdym razem, gdy kolejny gość przekraczał próg rezydencji, powtarzał się ten sam scenariusz, w którym ubolewano nad zaistniałą tragedią i zapewniano o swojej lojalności oraz oddaniu.

Elizabeth wyjątkowo źle radziła sobie z tymi odwiedzinami. Nie miała sił spotykać się z osobami, dla których była tylko osieroconą dziewczyną, dopustem bożym swojego brata, przez który musiał zrezygnować z tak cudownie zapowiadającej się kariery wojskowej. W końcu pewnego dnia, gdy jedna z szacownych dam, której nazwiska nawet nie pamiętała, zaczęła ubolewać nad smutnym losem Lucasa, dla którego jedynym wyjściem było teraz jak najszybsze wydanie siostry za mąż, nie wytrzymała i wybuchła gniewem.

Zerwała się z sofy, na której do tej pory w milczeniu siedziała, i spoglądając z niechęcią na dość tęgą kobietę wystrojoną w granatową krynolinę, której liczne koronki sprawiały, że sylwetka hrabiny wydawała się jeszcze bardziej zwalista, krzyknęła:

– Jak może pani mówić coś takiego? Przecież moi rodzice dopiero zmarli! Na pewno nie wyjdę za mąż ani teraz, ani nigdy w przyszłości! A jeśli Lucas uzna, że faktycznie jestem dla niego takim ciężarem, to sama zajmę się sobą!

Oburzona hrabina rozłożyła wachlarz i nerwowo zaczęła się nim wachlować. Z wrażenia zabrakło jej słów. Jeszcze żadna młoda, dobrze wychowana panienka nie potraktowała jej w ten sposób.

– Elizabeth! – Lucas obdarzył siostrę pełnym nagany spojrzeniem. – Nie powinnaś się tak zachowywać.

– A jak mam się zachowywać, kiedy ona...

– Dość, Elizabeth! – przerwał jej i wstał z fotela. – Idź do swojego pokoju. Później porozmawiamy.

Przygryzła dolną wargę. Zauważyła, że otyła hrabina uśmiechnęła się sarkastycznie.

Najchętniej powiedziałaaby jej, co o niej myśli, ale powstrzymała się przed tym. Już i tak na pewno wśród towarzystwa rozejdzie się wieść, jaki ma trudny i nieprzyjemny charakter.

– Idź do swojego pokoju – powtórzył Lucas.

Prychnęła gniewnie i obróciwszy się na pięcie, szeleszcząc krynoliną, opuściła salon.

– Bardzo panią przepraszam. – Lucas pokłonił się przed hrabiną. – Moja siostra przeżyła prawdziwy wstrząs. Jeszcze do siebie nie doszła.

– Współczuję panu, młody człowieku. – Stara dama z ubolewaniem pokiwała głową. –

Będzie pan miał prawdziwą drogę przez mękę z tą krnąbrną istotką. Pański ojciec, świętej pamięci hrabia Westmoore, za bardzo jej popuścił. Biedna Josephine często mi się żaliła, iż pozwala jej czytać nieodpowiednie książki. Teraz panu przyjdzie się z tym zmierzyć. Oby jak najprędzej znalazł się chętny, aby zdjęć panu ten ciężar z barków. Słyszałam, że lord Stanford ostatnio pilnie potrzebuje zastrzyku gotówki. Pochodzi z bardzo szacownej, ale niestety zubożałej rodziny. Ponoć próbuje rozkręcić biznes w Indiach, ale z pieniędzmi u niego krucho. Pańska siostra chyba dostanie ładne wiano...

– Dziękuję pani za troskę – przerwał hrabinie. – Sam wiem najlepiej, co jest dobre dla mojej siostry. Lorda Stanforda znam osobiście i nigdy nie oddałbym mu nawet pokojówki, a co dopiero siostry. Ale jeśli ma pani ochotę zeswatać z nim jedną ze swoich uroczych wnuczek, to nie będę miał nic przeciw.

Hrabina głęboko wciągnęła powietrze do płuc, a jej nalana twarz poczerwieniała z gniewu. Poczwała się znieważona.

– Widzę, że ma pan bardzo ograniczony światopogląd. Cóż, młodzieź teraz jest bardzo pewna swego. O, zapewniam pana, panie hrabio, że jeszcze przyjdzie pan do mnie po radę. –

Z

niemałym trudem podniosła zwaliste ciało z kanapy. W miejscu, gdzie siedziała, pozostało sporych rozmiarów wgłębienie.

– A ja zapewniam panią, że nie przyjdę. – Ponownie się skłonił. – Nie będę narzucać się pani ze swoimi problemami. Na pewno nie są tak zajmujące, jak wszystkie ploteczki, które tak chętnie pani roznosi.

– To już jest szczyt bezczelności! Przychodzę z dobroci serca, a tu mnie tak traktują?
Żegnam, młody człowieku.

Lucas odprowadził hrabinę wzrokiem, nie kłopotząc się, aby pójść z nią do drzwi.

Prawdę mówiąc, tak jak Elizabeth, też miał już dość tych wszystkich wymuszonych odwiedzin i nieszczerých rad. Najchętniej jak najszybciej opuściłby Londyn i zniknął z oczu żadnej sensacji hordzie ludzi z tak zwanego towarzystwa.

Spojrzenie Lucasa przeniosło się na wiszący nad kominkiem obraz, przedstawiający wiejską rezydencję Westmoore'ów. W jego umyśle pojawiły się wspomnienia ogromnego dworu, otoczonego wielkim ogrodem, znajdującego się w sporym oddaleniu od innych ludzkich siedzib.

Pamiętał lasy, do których ojciec zabierał go na polowania, pamiętał niewielki kościółek, stojący na wzgórzu. Nagle zatęsknił za tym spokojem i ciszą, która kojarzyła mu się z tym miejscem.

Tak, zdecydowanie właśnie tam powinien teraz zabrać Elizabeth. Tego jej było trzeba zamiast dusznego, gwarneę Londynu.

ROZDZIAŁ II

– Panienko Elizabeth! – Przed wielkie, dwuskrzydłowe drzwi tarasowe wyszła młoda służąca w zabawnym białym czepku na głowie. Jej długa, skromna, brązowa sukienka przepasana była szerokim, również białym fartuchem z falbaną.

Przechyliła się przez balustradę i spojrzała w głąb ogrodu. Bez problemu dostrzegła swoją młodą panią spacerującą alejką przed domem. Szybko zeszła więc po schodach i do niej podeszła.

– Panienko Elizabeth, proszę wrócić do środka. Jeszcze się panienka przeziebi. –

Pokłoniła się przed hrabianką.

– Nic mi nie będzie. – Na ustach Elizabeth pojawił się delikatny, ledwie zauważalny uśmiech. – Wzięłam szal. – Wskazała na wełniany materiał otulający jej ramiona.

– Ale zaraz się ściemni – nie ustępowała służąca.

– No i dobrze. Uwielbiam obserwować, jak noc zwycięża nad dniem i zawłaszcza coraz większe połacie okolicy, aż w końcu zawładnie nią całkowicie...

– W mroku nie ma nic ciekawego. – Służąca nieznacznie drgnęła. – Noc jest zła i lepiej nie wychodzić po zmroku z domu. Zwłaszcza teraz, gdy... – Gwałtownie umilkła i przycisnęła dłoń do ust, przerażona tym, że nieopatrznie mogłaby wygadać się przed panienką, a przecież pan wyraźnie zabronił ją niepokoić.

– Teraz, gdy? – podchwyciła Elizabeth. Z zaciekawieniem popatrzyła na dziewczynę, dostrzegając, iż ta trwożliwie rozgląda się dookoła, jakby czegoś się obawiała. – Dlaczego po zmroku lepiej nie wychodzić z domu?

– Panienko, jest zimno – pisnęła służąca i, nie zważając na niestosowność swojego zachowania, pociągnęła Elizabeth za rękę w stronę wejścia. – Panienka jest delikatna... Pan hrabia byłby zły, gdyby panienka się przeziebiła.

– Pewnie nawet by tego nie zauważył – prychnęła pogardliwie, wyszarpując się z uścisku, ale posłusznie weszła razem ze służącą do domu. – Przecież Lucasa prawie nigdy nie ma.

Zostawił mnie tu samą i pewnie gdzieś tam dobrze się bawi.

– Niech pani tak nie mówi – poprosiła pokojówka. – Pan hrabia dużo robi dla okolicznych mieszkańców. To bardzo dobry pan. Bardzo dobry – powtórzyła.

– Dużo robi? Ciekawe co takiego? Poluje? Objężdża na okrągło majątek? – zadrwiła Elizabeth.

Służąca nie odpowiedziała na pytania, udając, iż ich nie usłyszała. Dokładnie zamknęła drzwi na taras i dopiero upewniwszy się, że zasuwka broni dostępu z zewnątrz, wreszcie odwróciła się w stronę Elizabeth.

– Panienka da mi szal – poprosiła, sięgając po okrycie Elizabeth.

– Dlaczego powiedziałaś, że teraz po zmroku lepiej nie wychodzić z domu? – Elizabeth nie zamierzała odpuścić uprzedniego tematu. – Cóż takiego złego mogłoby mnie spotkać w naszym ogrodzie? Przecież otoczony jest wysokim murem, a przy bramie stoi strażnik.

– Ja... – Zapytana pochyliła głowę. – Ja, panienko... mam dużo obowiązków – wymigała się od odpowiedzi. – Panienka wybacz, ale muszę zająć się pracą. – Skłoniła się wyuczonym gestem i pospiesznie się oddaliła.

– Wróć tu w tej chwili! – zawołała za nią Elizabeth, ale pokojówka zignorowała wezwanie, co było bardzo dziwne i wręcz niespotykane. Jak służba mogłaby lekceważyć polecenia?

Zachowanie służącej nie tyle rozgniewało Elizabeth, co ją zaintrygowało. Wiedziona wrodzoną ciekawością świata, postanowiła zmusić dziewczynę do wyznania sekretu, który ta ewidentnie musiała mieć.

Nie zastanawiając się dłużej, ujęła w palce koniec szerokiej krynoliny, tak aby materiał nie krępował jej ruchów i niemalże biegiem udała się za pokojówką. W holu już jej nie zobaczyła, ale to jej nie zraziło. W poszukiwaniu nieposłusznej dziewczyny zajrzała do kilku pokoi, mając nadzieję, że tu ją znajdzie, ale przeliczyła się w swoich domysłach. Służąca zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu.

Słońce już zupełnie zaszło i świat we władanie objął mrok. Puste pokoje napawały Elizabeth strachem – nikt nie zapalił jeszcze świec i ciemność wypełzała z każdego kąta, biorąc w posiadanie coraz więcej przestrzeni. Irracjonalne uczucie zagrożenia i niepewności, pomieszane z ciekawością, nie pozwoliło jednak pannie Westmoore na zaprzestanie poszukiwań.

Podtrzymując dół długiej sukni, w milczeniu postępowała korytarzem, otwierając kolejne drzwi.

Dotarła do lewego skrzydła domu, w którym znajdowały się pomieszczenia gospodarcze.

Rzadko tu zaglądała, gdyż nie czuła potrzeby interesowania się tak przyziemnymi sprawami, jak gotowanie czy gromadzenie zapasów. Od tego była przecież służba.

Nie znając tej części rezydencji, czuła się tu trochę obco, a mrok jeszcze potęgował to uczucie. Idąc prawie po omacku, posuwała się teraz wolniej, ostrożnie stawiając stopy, obute w atlasowe pantofelki. Szła tak cicho, że wydawało się, iż jest zjawą nawiedzającą dom.

Doszła do zakrętu korytarza, a gdy zza niego wyszła, dostrzegła wąską smugę światła, padającą przez szparę w niedomkniętych drzwiach. Podeszła bliżej, nadal zachowując się niezwykle cicho i wsłuchując w odgłosy dobiegające z wnętrza pomieszczenia.

Dlaczego od razu nie weszła do środka? Dlaczego nie pchnęła drewnianych drzwi?

Zupełnie bezwiednie zatrzymała się przy wejściu i zerkając przez niewielką szparę, zajrzała do pomieszczenia, które okazało się kuchnią. Sama nie wiedziała dlaczego, ale zaczęła podsłuchiwać. Może to ton rozmowy tak ją zaciekał? Niemalże wyczuwała napięcie i strach towarzyszący rozmówcom.

Chwilę trwało, zanim rozróżniła głosy. Zorientowała się, iż wewnątrz znajdują się trzy osoby: pokojówka, z którą rozmawiała przed domem, stara kucharka Celeste, słynąca z przygotowywanych przez siebie wypieków, oraz zawsze posępny, chudy lokaj Joseph, będący przybocznym Lucasa.

– Musisz ją lepiej pilnować, Jane. – Z tonu głosu kucharki można było wywnioskować, że jest wyraźnie poirytowana. – Ona nie może wychodzić na zewnątrz po zachodzie słońca.

– Myślę, Celeste, że na razie w ogóle nie powinna wychodzić. – W zazwyczaj stanowczym głosie lokaja zauważalna była nutka strachu. – To robi się coraz niebezpieczniejsze.

Wczoraj w pobliżu wsi znaleźli ciało nieszczęsnego Boba Carpentera. A był już tak blisko domu... Jego matka jest w szoku. Miała tylko jego jednego. Kto by się spodziewał, że bestia zaatakuje tak blisko siedzib ludzkich?

– Hrabia Lucas mówił, że podwoi warty. Dziś miał się tym zająć. To złoty człowiek, tyle dla nas robi. – Kucharka niemalże z czcią wymówiła imię brata Elizabeth. – Myślę, że tu jesteśmy bezpieczni. Bestia na pewno nie podejdzie pod dwór – dodała, chcąc zapewne uspokoić nie tyle pozostałych, co samą siebie.

– A jak podejdzie? – Głos pokojówki drżał. – Ludzie mówią, że nie lęka się żadnej świętości.

– Najważniejsze, aby chronić panienkę Elizabeth. Ona o niczym nie może się dowiedzieć. Hrabia by nam nie darował, gdybyśmy choć słowem się przed nią zdradzili. Mówił przecie, że Elizabeth jest ciekawską osobką, i gdyby tylko zwąchała, co tu się dzieje, na pewno by tak łatwo

nie odpuściła. Mogłaby przez to napytać sobie jakiej biedy.

– O mało się przed nią nie wygadałam – przyznała Jane. – Palnęłam, że po zmroku lepiej nie wychodzić z domu.

– Ty to zawsze masz za długi ozór. Mielisz nim jak krowa na pastwisku – zezłościł się Joseph. – Co jeszcze jej powiedziałaś?

– Nic. W porę ugryzłam się w język.

– Nie podjęła tematu? – Zainteresowała się Celeste. – Ona jest bardzo bystra i ciekawska. Naprawdę musimy uważać.

– Wiem i obiecuję, że w przyszłości będę ostrożniejsza – zapewniła Jane. – Panienka zaczęła mnie nagabywać, dlaczego nie wolno po zmroku wychodzić, ale udałam, że mam dużo zajęć i nie mogę pozwolić sobie na rozmowę.

– Oj, niedobrze. Musisz wrócić do niej i zagadać tak, aby ją uspokoić. Mogła jednak nabrać jakichś podejrzeń. Lepiej zachować ostrożność.

– Trafiła się nam wyjątkowa panienka – zaśmiał się Joseph. – Dziewczyny w jej wieku są zazwyczaj trzpiotliwe.

„Oj, ja ci dam trzpiotliwe” – pomyślała ze złością Elizabeth.

– Naprawdę musimy zachować większą ostrożność. Panienka ma być bezpieczna i nieświadoma tego, co tu się dzieje – przestrzegła Celeste. – Zaraz przygotuję kolację dla Elizabeth, a ty, Jane, ją do niej zanieś. Na pewno powróci do uprzedniego tematu, a wtedy powiesz jej, że po zmroku powietrze tu jest bardziej ostre niż w Londynie, że szkodzi na cerę...

Że musi uważać, bo się rozchoruje, a do lekarza jest daleko... Takie zwyczajne, przyziemne tłumaczenia, które powinny do niej przemówić. Rozumiesz?

– Oczywiście – przytaknęła Jane, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Być może dziewczyna bała się, iż znowu niechcący zdradzi się czymś przed panienką.

– No dobrze, jak już jesteśmy przy tym temacie, to może jutro wybrałbym się do wiedźmy i wziął od niej trochę ziół? – niespodziewanie zaproponował Joseph. – Słyszałem od Rogera, że to zielsko na wszystko pomaga. Ponoć złe moce odpędza. Zresztą same pomyślcie.

Wiedźma w lesie mieszka, a bestia jej nie rusza. Coś musi być na rzeczy.

– Do wiedźmy? – Celeste zamyśliła się. Wstała od stołu i ruszyła w stronę drzwi. – Nie wydaje mi się, aby to był dobry pomysł. Na bestię żadne zioło nie podziała. Gdyby tak było, nie zginęłoby tylu ludzi. To, że wiedźmy nie rusza, może świadczyć, że jest z nią jakoś połączona...

W tym momencie Elizabeth, chcąc ukryć się przed kucharką, odruchowo cofnęła się o krok, nie dostrzegając ustawionego w korytarzu wysokiego, metalowego lichtarza. Nieopatrznie potrąciła go, a ten z łoskotem przewrócił się na ziemię, robiąc przy tym dużo hałasu.

Drzwi do kuchni otworzyły się na oścież i światło, do tej pory sączące się przez niewielką szparę, oblało swym blaskiem całą postać dziewczyny. W progu stała Celeste i podparłszy się pod boki, uważnie przyglądała się nieproszonemu gościowi.

– Panienka Elizabeth... – Joseph, który też spojrział w stronę wejścia, miał tak przerażoną minę, jakby właśnie zobaczył ową tajemniczą, wielce niebezpieczną bestię. – Panienka...

– Tak. Dokładnie wiem, jak mam na imię. – Elizabeth zachowała spokój. Zdecydowanym krokiem ruszyła do kuchni, a stojąca w progu Celeste automatycznie odsunęła się w bok, robiąc jej przejście.

– Czemu zawdzięczamy odwiedziny panienki? – Kucharka również starała się zachować zimną krew. Jako jedyna nie okazywała zdenerwowania, chociaż i jej serce na moment stanęło, gdy nagle usłyszała hałas dobiegający z za drzwi. – Zgłodniała panienka? Właśnie miałam przyszykować kolację.

– Nie musicie się tak kłopotać. Słyszałam wszystko. Wszystko – powtórzyła dobitnie

Elizabeth, patrząc na zebraną w pomieszczeniu służbę. – Jeśli zaraz nie wyjaśnicie mi dokładnie, o co chodzi z tą bestią, to obiecuję, iż Lucas dowie się o waszej bezmyślności i o tym, że wygadaliście się przede mną. Jeśli jednak zdradzicie mi sekret, to dam słowo, że nic mu nie powiem. Będę nadal udawać grzeczną dziewczynkę, nieświadomą zagrożenia czyhającego za progiem tego domu.

– Panienko. – Gruba kucharka z rezygnacją zdjęła z głowy biały czepek i położyła go na ogromnym, dębowym stole, stojącym pośrodku kuchni. – Nie powinna była panienka podsłuchiwać.

– Nie powinnam – zgodziła się. – Ale słyszałam, więc nic już się nie da zrobić. Musicie mi powiedzieć wszystko. Wszyściutko. Może na początek wyjawicie, co nam zagraża? Co to za bestia? – Usiadła na jednym z wysokich stołków. – Proszę, mówcie, Lucas niedługo wróci i byłby zły, gdyby dowiedział się o waszej nieodpowiedzialności.

– Ale... – Jane teatralnym gestem załamała ręce. – Ale przecież... Przecież pan hrabia nas zabije. Mieliśmy chronić panienkę.

– Najlepiej będę chroniona, jeśli będę wiedzieć przed czym. – Elizabeth tak łatwo nie ustępowała. Zawsze dostawała to, czego chciała i nie miała zamiaru iść na jakikolwiek kompromis.

– Dobrze. – Celeste pierwsza przerwała milczenie. Dosunęła drugi stołek i usiadła na wprost Elizabeth. Wyciągnęła spracowane, potężne ręce, ujmując w nie obie dłonie dziewczyny.

– Hrabia zabronił panience o tym mówić, aby panienkę chronić. Wszyscy jesteśmy w wielkim niebezpieczeństwie... To wróciło...

– Co?

– Bestia. – Kucharka mocno ścisnęła dłonie dziewczyny. – Coś... a może ktoś atakuje ludzi... Jakaś istota z innego świata. Może sam diabeł?

– Może jakieś zwierzę? – Podrzuciła myśl Elizabeth, próbując racjonalnie podejść do problemu. – Tu są lasy, musi być dużo zwierzyzny.

– Nie, panienko, to nie zwierzę. – Kucharka pokręciła przecząco głową. – Żadne zwierzę nie zabija w taki sposób. Rozrywa szyje ofiar i pozbawia ich ciała krwi. Hrabia Lucas dokładnie zbadał tę sprawę.

– Lucas? – Z wrażenia zakręciło się jej w głowie. Dobrze, że siedziała, bo gdyby stała, niechybnie by upadła. – Jak to zbadał?

– Zwłoki oglądał i takie tam... – Joseph pospieszył z wyjaśnieniami, ale Celeste zmroziła go wzrokiem, więc umilkł.

– Czy Lucas poluje na tę bestię? – zapytała Elizabeth, chociaż już i tak wiedziała, jaka będzie odpowiedź.

Celeste w milczeniu skinęła głową.

- Jak długo to już trwa?

- Będzie ze dwa miesiące. - Lokaj odważył się podejść bliżej i przezornie, aby uniknąć strofowania przez Celeste, stanął za jej plecami. - Hrabia zorganizował chłopów we wsi, rozstawił posterunki. Jeździ z innymi po polach i lasach, i szuka tropów...

- Czyli to są te jego polowania... - domyśliła się Elizabeth. - Mówił, że wybiera się na polowanie, a ja nie wiedziałam, że nie o zwierzynę mu chodziło.

- Ale i nie o człowieka - zastrzegł Joseph.

- Więc o co?

- O bestię. Nikt nie wie, co to lub kto to.

- A ta wiedźma, o której mówiliście? - przypomniała Elizabeth. - Może to ona jest bestią?

- Nie, panienko. - Kucharka ponownie pokręciła głową. - Ona pomaga ludziom ze wsi.

Zna zioła wszelakie i potrafi ulżyć w chorobach. Przyszłość przepowiada, duchy przepędza, złe moce odgania...

- To czemu nie odgoni tej całej bestii? - zainteresowała się.

- Bo nie jest tak silna, jak ona - wyjaśnił Joseph.

- Albo jest z nią w zмовie - dodała Celeste. - Tego nie wie nikt.

Elizabeth zadrzała. Przeraziła ją jedna myśl. Zrozumiała, że jej brat, badając tę sprawę, bardzo dużo ryzykuje. Jeśli to coś jest naprawdę takie silne, jak mówiła Celeste, to znaczyło, że Lucas cały czas się narażał. Może nawet w tej chwili stawał oko w oko z niebezpieczeństwem.

Jej brat, jej jedyna rodzina... Co by się stało, gdyby i jego straciła?

Nagle Elizabeth olśniło.

- Wiedźma potrafi przewidywać przyszłość? - zapytała.

- Ano tak ludzie powiadają - przyznała kucharka. - Ja do niej tylko raz jeden się wybrałam i to jako towarzystwo dla koleżanki. Dawno temu to było, oj dawno. Nie chciałam wrózb żadnych, ale ta wiedźma tak na mnie dziwnie popatrzyła i prawić mi różne rzeczy zaczęła.

Samotność mi wywróżyła, jakby to wielką tajemnicą było, że do żeniaczki mi niespieszno.

Przeciem ja wiedziała, że najlepiej mi samej będzie. Znałam swój los na długo, zanim ona go przepowiedziała.

- To może i mnie mogłaby coś wywróżyć?

- A niech panienkę Bóg broni! - Celeste przeżegnała się. - Gdzie tam panience do takich miejsc się udawać!

- Jeśli ta wiedźma zna przyszłość, to chcę się upewnić, że Lucasowi nic nie grozi.

- Pan hrabia sam o siebie zadbać potrafi. Niech panienka lepiej głupot nie wymyśla i kłopotów żadnych nie czyni. Pohaftuje coś, porysuje... Może jaką książkę poczyta - zaproponowała Celeste. - Pan hrabia mówił, że lubuje się panienka w książkach.

- Ale ja chcę wiedzieć, czy Lucas jest bezpieczny - uparła się Elizabeth. - Muszę poznać przyszłość. Jutro zabierzecie mnie do tej wiedźmy! - zadecydowała.

- W żadnym wypadku! - W oczach kucharki pojawiło się niekłamane przerażenie. - Niech panienka wybije sobie ten pomysł z głowy.

- Nie chcecie mnie do niej zaprowadzić?! - Elizabeth wyszarpnęła dłonie z uścisku służącej i zerwała się ze stołka. - Dobrze, czyli pójdę sama. Zapewniam was, że dowiem się, gdzie mieszka ta wiedźma! Nic mnie przed tym nie powstrzyma! Obiecuję, że nie dacie rady mnie upilnować, choćbyście strzegli mnie w dzień i w nocy! Skorzystam z pierwszej sposobności, aby się wam wymknąć, i do niej pójdę. Ja już podjęłam decyzję! - krzyknęła.

Niemalże w tej samej chwili przeciwległe drzwi, prowadzące z dworu, otworzyły się i do kuchni wszedł wysoki mężczyzna w długim płaszczu, z kapturem głęboko nasuniętym na czoło, który zasłaniał mu twarz. Musiał usłyszeć ostatnie słowa Elizabeth, bowiem stanął na środku pomieszczenia i zdejmując z głowy kaptur, z zaciekawieniem popatrzył na zebraną grupkę.

– Jaką decyzję? – zapytał.

– Lucas!

Elizabeth po raz pierwszy w życiu spojrzała na brata z niekłamanym podziwem. Do tej pory traktowała go nie jak członka najbliższej rodziny, ale obcego, pod którego opiekę trafiła.

Wychowywani osobno, wcześniej nie zdołali nawiązać między sobą prawdziwej więzi, jaka powinna łączyć rodzeństwo, a ostatnie tragiczne wydarzenia i chłód bijący od Lucasa tylko pogłębiły tę przepaść. Teraz jednak, słysząc o jego szlachetności i bezinteresowności, dostrzegła pod maską obojętności prawdziwą twarz młodego hrabiego. Zrozumiała, że bijący od niego chłód miał być tylko barierą, która chroniła go przed zranieniem. W głębi serca ten na pozór

pozbawiony emocji mężczyzna był szlachetnym człowiekiem, dla którego dobro innych stanowiło priorytet.

– Czyżbyś zaczęła interesować się prowadzeniem domu? – Błędnie odczytał obecność siostry w kuchni i ucieszył się, myśląc, że Elizabeth wreszcie zaczyna zachowywać się tak, jak przystało na pannę dziedziczkę.

– Masz rację, drogi bracie. – Skwapliwie podchwyciła tę myśl, postanawiając nie wyprowadzać Lucasa z błędu. – Stwierdziłam, że przyswoję sobie trochę wiedzy, jaką powinna posiadać każda pani domu. Na początek zabrałam się za przygotowanie menu na jutro. Jestem pewna, że to, co wybrałam, zaspokoi twój wykwintny gust.

– Na pewno wszystko będzie pyszne. Niestety nie będę mógł towarzyszyć ci przy obiedzie. Jutro, zaraz po śniadaniu, wybieram się do majątku Burtonów i spędzę tam cały dzień, a może i dwa... – Zamyślił się na chwilę.

– Znowu wyjeżdżasz?

– Obowiązki. – Bezradnie rozłożył ręce.

– Jakże? – dociekała. – Kolejne polowanie z przyjaciółmi?

– Hmm... Tak.

Wiedziała, że skłamał, ale wybaczyła mu to kłamstwo. Właściwie było jej na rękę, że brata nie będzie w domu. Dzięki temu mogłaby spokojnie wybrać się do wiedźmy.

– Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie zła, że poświęcam ci tak mało czasu?

– Cóż, czyż nie taka jest właśnie rola kobiet? Wy jeździcie po świecie, my siedzimy w domu.

Zmarszczył brwi, uważnie przypatrując się siostrze. Zdążył już się zorientować, że Elizabeth ma zgoła odmienne spojrzenie na to, jak postrzegane są kobiety, dlatego jej odpowiedź

go zaskoczyła.

– Jesteś dziś jakaś inna – stwierdził.

– Może wreszcie dorastam? – Wzruszyła ramionami. – Nie przejmuj się mną, drogi braciszku. Nawet gdy wyjeżdżasz, nie zostawiasz mnie samej. Mamy przecież wiernych służących, którzy naprawdę dobrze się mną opiekują. Możesz być pewien, że w ich towarzystwie czuję się bezpieczna i nabieram ochoty do dalszego życia. Lepszych opiekunów dla mnie nie mogłeś sobie wymarzyć. – Popatrzyła wymownie na Josepha, a następnie

przeniosła wzrok na kucharkę, zupełnie nie zwracając sobie głowy trzęsącą się z przerażenia Jane. Była pewna, że dopięła swego, i jutro pozna tajemniczą wiedźmę.

Lucas, z wyraźną ulgą w sercu, wszedł do swojego pokoju i postawiwszy na stoliku trzymaną w dłoni świecę, podszedł do ogromnego okna. Odsunął ciężkie kotary i opierając obie dłonie o marmurowy parapet, popatrzył przez szybę na spowity ciemnością ogród. Jednak w mroku nocy nie widział niczego poza własnym odbiciem połyskującym w szklanej tafli.

Był już znużony całą tą sytuacją. Gdyby to wszystko było takie proste. Gdyby mógł zabrać Elizabeth i pojechać do Londynu, albo udać się w którekolwiek inne miejsce na świecie.

Zabrałby ją jak najdalej stąd i nigdy już tu nie wrócił. Nie mógł jednak zostawić tych ludzi samych. Potrzebowali go. Byli bezbronni i całkowicie wystawieni na łaskę lub niełaskę bestii. A on... Cóż mógł on? Niby też był tylko słabym człowiekiem, ale przede wszystkim był żołnierzem. Przygotowywano go do tej roli od najmłodszych lat i mimo iż odszedł z armii, w głębi serca nadal nim pozostał.

Miał dopiero dwadzieścia sześć lat, ale czuł się bardzo zmęczony życiem. Zwłaszcza ostatni rok od śmierci rodziców okazał się dla niego wyjątkowo trudny. Musiał zmienić wszystkie swoje przyzwyczajenia. Opuścił armię, przestał podlegać rozkazom dowódców. Teraz to on dowodził i to jemu ludzie ufali. Czuł odpowiedzialność za innych i chociaż go przytłaczała, nie chciał niczego zmieniać.

Elizabeth... Gdy pomyślał o niej, ponownie się uśmiechnął. Jego mała, nieporadna siostrzyczka. Kiedy wyjeżdżał do szkoły, była płaczącym brzdącem w różowym beciku. Później, gdy zjawiał się w domu podczas przerw w nauce, widział jak się zmienia, jak przeistacza się w cichą, nieco pulchną dziewczynkę z wielkimi kokardami wpiętymi we włosy. Nigdy nie myślał, że kiedyś będzie musiał zastąpić jej rodziców.

Odszedł od okna i usiadł na wielkim, stylowym łożu, zwieńczonym czterema kolumnami z baldachimem. Położył się w ubraniu w poprzek materaca i przymknął oczy. Chciał chwilę odpocząć, a także przywołać pod powieki obraz niedawnych jeszcze, szczęśliwych chwil, które bezpowrotnie minęły.

Lucas był wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Jasne, długie włosy, takie same, jakie miała matka, płynnie okalały jego szczupłą twarz i opadały na kołnierzyk koszuli. Gdy igrał w nich wiatr i promienie słońca, wydawały się złote jak len. Oczy, w tej chwili przysłonięte powiekami, miały barwę zachmurzonego nieba. Nos prosty, wyraźnie zarysowana szczęka i pięknie wykrojone usta dopełniały obrazu.

– Panie hrabio?

Do pokoju bez pukania zajrzał lokaj, przerywając krótką chwilę ciszy. Lucas momentalnie zerwał się z łóżka i stanął wyprostowany, jak na komendę „baczność”.

– O co chodzi, Josephie? – W jego głosie znowu brzmiała troska.

– Właśnie przybyli posłańcy od Burtonów. Jeden z ich koniuszych został zaatakowany w pobliżu zabudowań gospodarczych. Bestia podchodzi już pod same ludzkie siedziby.

– Spodziewałem się czegoś takiego, odkąd tylko zabroniliśmy ludziom zapuszczać się w las i opuszczać domy po zmroku. – Westchnął ciężko. – Głód zmusił bestię do bardziej odważnych działań. Jeśli urządzimy dobrą zasadzkę, na pewno wpadnie w nasze sidła. Czyli mówisz, że podeszła pod zabudowania gospodarcze Burtonów?

- Tak, ale... - Lokaj zawahał się.
- Ale co? - podchwycił Lucas.
- Tym razem bestia nie dokończyła dzieła. - Głos lokaja lekko drżał, co świadczyło o tym, że jest rozemocjonowany.
- To znaczy? - Młody hrabia był już zniecierpliwiony wyciąganiem wszystkiego od służącego. Nawykł do krótkich i treściwych raportów.
- Ano ten człowiek żyje. Ma rozszarpaną szyję, stracił dużo krwi, ale nadal żyje.
- Żyje? - Lucas momentalnie sięgnął po surdut i pospiesznie nałożył go na siebie. - Mówił coś? Opisał napastnika? - Poczul, jak ogarnia go napięcie. Być może za chwilę będzie można zidentyfikować groźną bestię, a stąd już tylko krok do jej unieszkodliwienia.
- A gdzie tam, panie. Nieprzytomny jest. Ponoć nie dociągnie do ranka.
- Powiedz Tomowi i Johnowi, aby byli gotowi do drogi. Natychmiast ruszam do Burtonów - zdecydował Lucas.
- Ale panie hrabio, ten człowiek nic panu nie powie. Lepiej przeczekać noc w bezpiecznym domu i wyruszyć rano, tak jak wcześniej było ustalone - zasugerował lokaj.
- Mój drogi Josephie. Nie wiesz, że przed śmiercią ludzie często odzyskują na chwilę przytomność? Może i ten nieszczęśnik na moment się ocknie i powie coś bardzo ważnego. Wolałbym wtedy przy tym być.
- Ale jechać tak po nocy? - Joseph cofnął się o krok i uczynił w powietrzu znak krzyża, jakby odpędzał się od złego. - Przecie to niebezpieczne.
- Żołnierz nie boi się niebezpieczeństw.
- Ale...
- Wystarczy, Josephie - przerwał mu zdecydowanie. - Ja już podjąłem decyzję. Miałem jechać rano, ale naprawdę lepiej przyspieszyć wyjazd. Poza tym istnieje prawdopodobieństwo, że bestia jeszcze się tam gdzieś czai. Jeśli zostawiła ofiarę przy życiu, to znaczy, że została spłoszona. Musi być nadal głodna, więc może wrócić... Nie darowałbym sobie, gdyby przez moją opieszałość ktoś jeszcze ucierpiał. Chodźmy. - Energicznym krokiem opuścił pokój, nie czekając na swojego lokaja.
- I nie ma z nim rozmowy. - Joseph westchnął z rezygnacją. - On już podjął decyzję. Taki sam jak i jego siostra.
Podszedł do stołu i zabrawszy z niego lichtarz ze świecą, podążył za swoim panem. Pokój zalała ciemność.

Elizabeth wstała wcześniej rano, podekscytowana wyprawą do tajemniczej wiedźmy. Jako młoda dziewczyna nie podchodziła zbyt poważnie do obaw i lęków, jakie mieli służący.

Owszem, wczoraj trochę się przestraszyła, ale winna temu była atmosfera panująca w domu.

Wieczór, ciemność, poczucie osamotnienia, to wszystko sprawiło, że przejęła się podsłuchaną rozmową, a późniejsze wyjaśnienia kucharki jeszcze bardziej ją zaniepokoiły. Teraz jednak był

ranek. Mrok nocy odpłynął w nieznane, a świat tonął w promieniach słońca. Czegóż można bać się w taki dzień?

Nie czekając na pokojówkę, Elizabeth ubrała się sama i rozczesała swoje długie niesforne loki. Zebrała je w luźny kucyk i sięgnąwszy po kapelusz leżący na komodzie, wybiegła z pokoju.

Po dużych, marmurowych schodach zeszła do holu. Tu natknęła się na Jane, która długą miotełką odkurzała wiszący na ścianie portret jednego z zacnych przodków Westmoore'ów.

– Witaj, Jane! – zawołała radośnie Elizabeth. – Czyż to nie piękny dzień na wyprawę do lasu?

– O, to panienka już wstała? – Pokojówka na jej widok wypuściła z dłoni miotełkę i odruchowo cofnęła się o krok, jakby zobaczyła groźną zjawę, a nie siedemnastoletnią hrabiankę.

– Tak wcześnie?

– Szkoda tracić czas na sen. Zresztą, mówiąc szczerze, niewiele spałam – przyznała, zniżając głos do szeptu. – Jestem bardzo podekscytowana spotkaniem z wiedźmą. Ale cicho sza.

– W wymownym geście przyłożyła palec do ust, nakazując służącej milczenie. – Lucas nie może się dowiedzieć o mojej wyprawie. Wszystkim nam bardzo na tym zależy, prawda?

– Prawda – przytaknęła Jane, pochylając się po upuszczoną miotełkę.

– Mój brat zjadł już śniadanie? – zainteresowała się Elizabeth. – A może nadal jest w pokoju stołowym? – Ruszyła w kierunku jadalni, jednak głos służącej zatrzymał ją w miejscu.

– Pan hrabia wyjechał.

– Już? – Zdziwiona obejrzała się na dziewczynę. – Tak wcześnie? Mieliśmy razem zjeść śniadanie – przypomniała.

– Pan hrabia wyjechał wczoraj wieczorem – wyjaśniła służąca. Uwagi Elizabeth nie umknął fakt, że ręce pokojówki trzęsły się jak w ataku febry.

– Wieczorem? Czy coś się stało? – Zaniepokoiła się. – Znowu coś przede mną ukrywacie? Gdzie jest Lucas?

– Pojechał do majątku Burtonów – odparła Jane, a trzymana przez nią miotełka wręcz wibrowała. Pokojówka nie zdołała wytrzymać dłużej pytającego spojrzenia młodej pani. Dygnęła pospiesznie i pędem rzuciła się w kierunku kuchni.

– Znowu uciekasz? – Elizabeth ze złością tupnęła nogą. – Na okrągło tylko te tajemnice.

Czuję się, jakbym ciągle była małym dzieckiem, które należy trzymać pod kloszem.

Kuchnia nie była ulubionym miejscem hrabianki, ale nie miała innego wyjścia, jak po raz kolejny odwiedzić to pomieszczenie. Szybko podążyła do lewego skrzydła pałacu i znanym już sobie korytarzem dotarła do otwartych kuchennych drzwi.

Zauważyła grubą kucharkę stojącą przy wielkim, kamiennym piecu i tulącą w ramionach płaczącą Jane. Ciałem pokojówki wstrząsał szloch, który skutecznie utrudniał jej wyłuszczenie gospodyni powodu tego nagłego ataku płaczu.

– Ja nie mogę... Ja już nie wiem... Ja się boję panienki... – łkała dziewczyna, a kucharka nieporadnie gładziła ją po plecach, tak jakby chciała pocieszyć, uspokoić.

– No pięknie! – Elizabeth stanęła na wprost nich. – To ja powinnam płakać, bo ciągle jestem oszukiwana. Gdzie jest Lucas? Czy ktoś wreszcie odpowie mi na to pytanie?

– Ale czy to powód, panienko, aby tak wystraszyć Jane? – Celeste z wyrzutem spojrzała na Elizabeth.

– Nie straszyla jej. Zapytałam tylko, co się stało, że Lucas wyjechał wieczorem zamiast rano. Czy to takie trudne pytanie?

– Ech, panienko. – Celeste zdecydowanym ruchem odsunęła od siebie Jane i wytarła dłonie w wielki fartuch, którym była przepasana. Westchnęła. – Wczoraj wieczorem przyjechał

poślaniec od Burtonów. – Podeszła do stołu i sięgnąwszy po leżący na blacie nóż, powróciła do krojenia warzyw, którą to czynność przerwało jej pojawienie się płaczącej Jane. – W ich majątku zdarzył się wypadek – ciągnęła, uważnie dobierając słowa. – Bestia podeszła pod zabudowania gospodarcze i zaatakowała jednego z ludzi Burtona, ale... – Celeste zamilkła.

– Ale co? – Elizabeth czuła wielką gulę rosnącą w gardle – Ale co? – dopytywała.

– Tym razem została przepłoszona i nieszczęśnik uszedł z życiem. – Kucharka miarowo siekała marchewki. Wyglądało to dziwnie, biorąc pod uwagę fakt, o czym rozmawiały.

– Czyli ten człowiek żyje?

– Przynajmniej żył wieczorem, gdy dotarł tu poślaniec. Jaśnie pan natychmiast kazał siodłać konie i wraz z chłopakami pojechał do Burtonów. Mówił, że chce być tam wcześniej, aby móc usłyszeć, co powie ten nieszczęśnik, jeśli odzyska świadomość. Poza tym hrabia organizuje ludzi do obrony, więc pewnie chciał wykorzystać sytuację, że bestia czai się gdzieś w pobliżu i zastawić jakąś pułapkę.

– O Boże! – Elizabeth zachwiała się i aby nie upaść, musiała przytrzymać się brzegu stołu. Jej brat znowu wystawił się na niebezpieczeństwo. Nie myślał o sobie ani o tym, co stanie się z nią, gdy jego zabraknie, tylko pospieszył z pomocą obcym ludziom! Cały Lucas!

– Sama panienka widzi, jak niebezpiecznie dookoła. Bestia podchodzi już pod ludzkie siedziby. Może lepiej, panienko, zrezygnujemy z wyprawy do wiedźmy? – zaproponowała Celeste. – Proszę mi wierzyć, to naprawdę zły czas na takie eskapady. Zły to czas. Bardzo zły.

Nie pójść do wiedźmy? Elizabeth głęboko wciągnęła powietrze do płuc. Ale jak to?

Przecież to była najważniejsza rzecz, jaką musiała teraz zrobić. Wiedźma jawiła się jako jedyna osoba, która mogła rzucić nieco światła na przyszłe losy Lucasa oraz jej samej. Nie wytrzymałaby już ani chwili dłużej tej niepewności. Już raz opuściła rodziców, myśląc, że udaje się na wakacyjny wypoczynek. To krótkie, w założeniu, rozstanie stało się ostatecznym. Nie zdążyła się z nimi pożegnać ani zapewnić ich o swojej miłości. Gdyby wtedy, wyjeżdżając do ciotki Sinclair, miała świadomość tego, co przyniesie przyszłość, nigdy nie zdecydowałyby się na podróż. Zostałaby z nimi do końca. Może potrafiłaby ich ocalić? Nigdy się nie dowie, co by się wtedy stało, ale miała pewność, że sto razy bardziej wolałaby mieć wolność wyboru, niż zdawać się na ślepy los.

Wiedźma, która miała zdolność przewidywania przyszłości, urastała w oczach Elizabeth do rangi niemalże boskiej. Znajomość tego, co ma nastąpić, nęciła i dawała nadzieję na możliwość decydowania. Wszak wiedząc, że coś ma się stać, można postąpić inaczej. Oszukanie losu to nie przestępstwo, ale konieczność, zwłaszcza gdy w grę wchodzi życie najbliższych. Jeśli się dowie, co czeka Lucasa, będzie mogła go ochronić. A jeśli przy okazji pozna też własną przyszłość...

– Nie! – zaprotestowała gwałtownie. – Musimy pójść do wiedźmy! Celeste, zresztą pomyśl sama. Jeśli bestia była wczoraj wieczorem u Burtonów i kogoś tam zaatakowała, to pewnie nadal kręci się gdzieś w okolicy ich majątku. Myślę, że właśnie dlatego Lucas się tam udał. To doskonała okazja dla nas. Lucas ściga bestię, bestia jest u Burtonów, a my możemy bezpiecznie iść do wiedźmy.

– To brzmi zbyt pięknie. – Kucharka pokręciła głową. – Jakoś mnie panienka nie przekonuje.

– Obiecaliście – przypomniała Elizabeth.

– Niczegośmy nie obiecywali. To panienka na nas wymogła. Szantażem – dorzuciła Jane, zbierając się na odwagę.

– A więc dobrze – orzekła Elizabeth, zmieniając taktykę. – Zostańmy w domu. Gdy Lucas wróci, na pewno z miłą chęcią wysłucha mojej opowieści, jak to roztaczaliście przede mną mrozące krew w żyłach opowieści o bestii. Dodam może też, jak bardzo byłam przerażona.

O proszę, jak się trzęsę. – Wyciągnęła przed siebie rękę i potrząsnawszy nią kilkakrotnie zademonstrowała Celeste, jak drżą jej ze strachu dłonie.

– Panienka nie ma dla nas litości.

– A wy ją dla mnie macie? Ile czasu mnie oszukiwaliście?

– Chcieliśmy chronić panienkę.

– Pozwólcie, że sama o siebie zadbam. To, że urodziłam się kobietą, nie czyni ze mnie bezbronnej istoty – oświadczyła, odrobinę wysuwając do przodu podbródek, podkreślając tym gestem pewność siebie.

– No nie wiem... – Kucharka odłożyła nóż i spojrzała na Elizabeth. – A jeśli bestia się pojawi?

– Przestańcie! – krzyknęła. – Ciągłe widzicie tylko same najgorsze rzeczy. Chyba już wyczerpałam pulę wszystkich możliwych nieszczęść. Od tej pory może być już tylko lepiej.

Pójdziemy dziś do wiedźmy! – powiedziała stanowczo. – A poza tym przypominam wam, że gdy Lucasa nie ma w domu, to mnie musicie słuchać.

Celeste nic nie odpowiedziała na tę przemowę. Podeszła do kredensu i wyjęła z szafki półmisek z rumianymi bułeczkami. Postawiła je na stole.

– Niech panienka siada i je – zachęciła. – Przed wyprawą do lasu warto się odrobinę posilić. Jane pisnęła z przerażenia, ale kucharka zgromiła ją wzrokiem.

– Idź, powiadom Josepha, aby szykował powóz – zakomenderowała.

Elizabeth usiadła na jednym ze stołków, położyła kapelusz na kolanach i sięgnęła po rumianą bułeczkę, która nęciła ją smakowitym zapachem. Z przyjemnością zatopiła w niej ząbki.

Ciasto było pulchne, słodkie, okraszone dużą ilością rodzynek. Wręcz rozpływało się w ustach, zostawiając po sobie posmak wanilii.

– Niech panienka pije. Na zdrowie. – Kucharka postawiła przed Elizabeth gliniany kubeczek, do którego nalała świeżego mleka prosto z pękatego dzbanka, stojącego na stole.

Takiego prostego, wiejskiego śniadania Elizabeth jeszcze nigdy nie jadła. Zawsze spożywała posiłki albo w ogromnej, stylowej jadalni, albo w swoim pokoju. Wyszukane potrawy

serwowano jej na porcelanowej, delikatnej zastawie, wnoszonej na srebrnych tacach.

– Dziękuję. – Uśmiechnęła się do służącej. – Te bułeczki są pyszne.

– Według przepisu mojej babki. – Celeste usiadła na stołku obok hrabianki. – Czy panienka naprawdę musi iść do tej wiedźmy? – zapytała po chwili milczenia.

– Tak, jestem zdecydowana. – Elizabeth skusiła się na kolejną bułeczkę. – Odkąd tylko o niej usłyszałam, jestem jej bardzo ciekawa – przyznała.

– Ale dlaczego?

– Bo to takie ekscytujące.

– Ekscytujące? Raczej, proszę o wybaczenie za to, co powiem, głupie.

– Oj tam, Celeste. Dlaczego głupie? Sama mówiłaś, że kiedyś u niej byłaś –

przypomniała.

– Ale to było szmat czasu temu. Wtedy faktycznie byłam głupia i naiwna.

– Co nie zmienia faktu, że jednak u niej byłaś. Ja też chcę ją zobaczyć. Chcę się przekonać...

– O czym, panienko?

– O tym, co nas czeka.

– Jużem prawiała, że czeka nas to, co sami sobie uszykujemy.

– To tylko twoje gadanie, Celeste. Przyszłość jest już zapisana, ale można ją zmieniać, gdy się wie, jakie są skutki naszych działań.

– A co też panienka za herezje opowiada?

– To nie herezje. Tak pisali w książkach taty, które czytałam.

– Przedziwna lektura jak dla młodych pańienek. – Celeste aż cmoknęła z dezaprobaty. –

Gdy ja młoda byłam, to pańienki haftu się uczyły, gry na instrumencie i...

– A powiesz mi, jak wyglądała ta wiedźma? – przerwała jej Elizabeth. Nie miała ochoty wysłuchiwać wspominek starej służącej.

– No, jak każda kobieta. – Wzruszyła ramionami. – Gdy ja ją widziałam, była jeszcze całkiem młoda. Mogła mieć ze dwadzieścia lat... Miała takie długie, jasne włosy, zaplecione w warkocz. Ten warkocz zapamiętałam najbardziej. Ogólnie piękna była – przyznała – ale to było z pięćdziesiąt lat temu. Teraz to staruszka już pewnie. Zresztą nie wiem, bo od dawna unika kontaktu z ludźmi. Przychodzą do niej, ale ona im się nie pokazuje. Większość czasu siedzi w tej swojej chacie i zioła warzy, a jak wychodzi, to w kapturze głęboko nasuniętym na twarz. Jakby się bała, że ją kto zobaczy. Pewnie czas nie obszedł się z nią zbyt łaskawie i szpetna jest okrutnie.

– Niesamowite. – Elizabeth znowu poczuła ekscytację. Panna z jej kręgów towarzyskich raczej nie miała co liczyć na tak emocjonujące wydarzenia. Owszem, bale w Londynie i wakacje w szkockim majątku ciotki to było coś wspaniałego, ale zarazem przyziemnego i normalnego.

Spotkanie z prawdziwą wiedźmą to dopiero nie lada gratka.

Wróciła Jane i słabym głosem obwieściła, że powóz jest już gotowy. Do tej pory ciągle miała nadzieję, że Josephowi nie uda się go przyszykować i będą mogli odwołać wyprawę, ale niestety, jak na złość, nie pojawiły się żadne komplikacje.

Elizabeth momentalnie podniosła się ze stołka, włożyła na głowę kapelusz, trzymany do tej pory na kolanach, i podbiegła do drzwi. Rozpierała ją energia i ciekawość tego, co miało nastąpić.

– Jesteś pewna? – Jane odczekała, aż została w kuchni tylko z Celeste. – Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł, aby tam jechała?

– Nie – zaprzeczyła kucharka. – To najgorszy z możliwych pomysłów, ale nie mamy wyjścia. Usłyszała naszą rozmowę i nie popuści. Aż strach pomyśleć, co mogłaby nawygadywać jaśnie panu. A przecież nie chcemy dokładać mu kolejnych zmartwień. Ufa nam.

– No właśnie, ufa. A my zawiedziemy jego zaufanie. Mieliśmy strzec pańienki.

– I strzeżemy. Przecież nie puścimy jej samej do lasu.

– Ale czy Joseph sam da sobie z nią radę? On już jest trochę leciwy – powątpiewała Jane.

– Dlatego ty będziesz towarzyszyć pańience – wyjaśniła spokojnie Celeste.

– Ja?! – krzyknęła pokojówka i teatralnym gestem załamała ręce. – Nie mogę! Tylko nie to! Do lasu? Do wiedźmy? Tam czai się bestia! O Matko Przenajświętsza, tylko nie to!

- Nie panikuj mi tutaj, tylko raz-dwa się ogarnij – poleciła Celeste.
- A ty nie możesz z nią jechać? – Dziewczyna uchwyciła się rąbka nadziei.
- No cóż, ja też jestem trochę leciwa. – Celeste puściła do Jane oczko. – Zbieraj się migiem, bo panienka czeka.
- Przecież hrabia nas zabije, gdy się dowie, gdzie zabraliśmy jego siostrę – wychlipała Jane.
- Zabić nie zabije, ale nie będzie zbyt szczęśliwy – westchnęła Celeste. – Cóż, nie mamy jednak innego wyjścia. Po prostu miejcie oko na Elizabeth. I niech Bóg ma was w swej opiece.

ROZDZIAŁ III

Pogoda była cudowna, wręcz wymarzona na przejażdżkę odkrytym powozem. Słoneczko mocno przyświecało, a wiatru prawie nie można było wyczuć. Od pól pachniało ziołami i świeżo zżętym zbożem. Wszędzie był taki spokój, iż wszelkie nocne lęki ponownie wydały się Elizabeth nierealne i odległe. Minęli wieś, gdzie każdy napotkany człowiek kłaniał się im uniżenie, a następnie przejechali pomiędzy dwiema połaciami pól.

Gdy powóz wjechał w las, słońce skryło się pomiędzy wysokimi konarami drzew i spod krzaków zaczął wypełzać lekki półmrok. Elizabeth zobaczyła, jak siedząca obok Jane wzdryga się przy każdym głośniejszym szeleście czy odgłosie wydawanym przez ptaki. Hrabianka, w przeciwieństwie do swojej służącej, nie czuła żadnych obaw. Była podekscytowana i bardzo szczęśliwa.

Powóz się zatrzymał.

– Dalej musimy iść pieszo – oświadczył Joseph, gramoląc się z ławeczki, na której dotąd siedział, powoząc dwoma gniadymi końmi.

Stanął przy powozie i otworzywszy drzwiczki wyciągnął rękę, pragnąc pomóc Elizabeth.

Jednak hrabianka zignorowała jego gest. Sama zwinnie zeskoczyła na leśną dróżkę i ciekawie rozejrzała się dookoła.

– Ale tu ślicznie – wyszeptła z zachwytem.

Joseph z niedowierzaniem pokręcił głową. Nie mógł zrozumieć, jak młoda panienka może tak jawnie kpić z niebezpieczeństwa, wręcz samodzielnie wychodzić mu naprzeciw.

– Prowadź, Josephie! – zdecydowała Elizabeth, gdy już nasyciła wzrok pięknem lasu.

– Tak, proszę pani. –

Pierwszy zagłębił się pomiędzy drzewa, tam, gdzie prowadziła wąska dróżka. Po przejściu kilkudziesięciu metrów ścieżka jeszcze bardziej się zwężyła, co wskazywało, iż w głąb lasu zapuszczało się niewielu śmiałków. Wkrótce zupełnie zakryły ją wyjątkowo bujnie rosnące paprocie. Przez kolejne dziesięć minut niemalże przedzierali się przez nie, torując sobie drogę.

Elizabeth była już trochę zmęczona tak długim spacerem, ale ani jej w głowie było przyznać się do tego przed swoimi towarzyszami. dzielnie podążała do przodu, postępując tuż za Josephem, który torował przejście. Jane starała się dotrzymać im kroku, chociaż każdy szelest, każdy dźwięk dobiegający z głębi lasu powodował, iż jej serce zaczynało szybciej bić. Bała się i najchętniej zawróciłaby do powozu, ale strach przed samotnym powrotem uniemożliwiał jej podjęcie takiej decyzji.

W końcu, po długim marszu, wyszli z lasu na polanę zalaną słonecznym światłem. Na skraju polanki ukazał się ich oczom mały, drewniany domek, porośły mchem i otoczony niewielkim, dość krzywym płotkiem. Przed domkiem stała kamienna ławeczka, a na niej wiklinowy kosz pełen świeżych ziół.

Wypaczona furtka zaskrzyphiała nieprzyjemnie, gdy Joseph ją pchnął. Mimo iż hałas był spory, nikt nie pojawił się na powitanie niezapowiedzianych gości.

– Możemy tak tutaj wchodzić? – zapytała niepewnie Jane. – A jeśli rozzłości się na nas?

– Ten las należy do mojego brata, więc jestem tu u siebie.

Zapewnienie Elizabeth nie rozwiało wątpliwości pokojówki. Wystraszona rozglądała się dookoła, w każdej chwili spodziewając się ataku.

Joseph podszedł do drzwi wejściowych i energicznie w nie zastukał.

– Czy jest tu ktoś? – zawołał, jednak nie doczekał się odpowiedzi. – Nie ma nikogo – orzekł, gdy powtórnie zapukał i gospodarz domku nadal nie wyszedł im na spotkanie.

– No to wracamy! – Jane wyraźnie poweselała. Poczuła ulgę, że nie zastali sławetnej wiedźmy, na temat której krążyły niesamowite opowieści. Ludzie gadali, że zielarka pomaga potrzebującym, ale nie robi tego bezinteresownie. Ma ponoć zawarty pakt z samym diabłem.

Takiej osobie lepiej nie wchodzić w drogę.

– Jestem, jestem. Wiedziałam, że przyjdziecie, i poszłam po jagody, aby was godnie ugościć. Nie ma nic lepszego nad słodkie, pyszne jagody wprost z krzaczka. – Nagle rozległ się kobiecy, dźwięczny i młody głos, a za chwilę zza drzew wyłoniła się wysoka postać okutana w długie, dość zniszczone szaty. Jej twarz zasłaniały poły obszernego kaptura, który nasunięty głęboko na czoło, uniemożliwiał dostrzeżenie lica zielarki.

Kobieta przeszła przez otwartą furtkę i niespiesznym krokiem podeszła do przybyłych.

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że sama hrabianka Elizabeth Westmoore zdecydowała się zawitać w moje skromne progi. Przyjmijcie proszę ten skromny podarek. – Wyciągnęła przed siebie skrytą w szerokim rękawie dłoń, w której trzymała pałąk wiklinowego koszyka pełnego dojrzałych jagód.

– Dziękuję. – Elizabeth odebrała od niej ten niespodziewany prezent i podała Jane.

Pokojówka niechętnie przyjęła kosz. Wzdrygnęła się, czując pod palcami wiklinową rączkę, którą jeszcze chwilę temu trzymała wiedźma. Trzęsąc się ze strachu, pospieszenie schowała się za plecami Josepha, tak jakby stary lokaj mógł ją w jakikolwiek sposób ochronić.

Pochyliła głowę, nie mając odwagi unieść wzroku na przybyłą i uparcie wpatrując się w dorodne kuleczki jagód. Po raz pierwszy w życiu poczuła niechęć do tych owoców.

Joseph nadal starał się zachowywać pozory odwagi, więc stał wyprostowany, udając pewnego siebie, ale w głębi duszy opanował go paniczny lęk. Najchętniej uciekłby gdzie pieprz rośnie, jednak nie mógł przecież pozostawić panienki na łasce wiedźmy. W myślach wyrzucał

sobie, że nie był dość stanowczy, aby powstrzymać ją przed tą eskapadą.

– Skąd wiesz, kim jestem? – Jedyne Elizabeth nie straciła rezonu. Ciekawie przyglądała się przybyłej, starając wypatrzyć jej twarz, co jednak okazało się niewykonalne.

– W końcu jestem wiedźmą! – zaśmiała się kobieta. – Czyż nie przybyłaś tutaj, aby zapytać mnie o przyszłość?

– Naprawdę umiesz ją przepowiadać?

– Tak, umiem – potwierdziła. – Dlatego wiedziałam, kim jesteś i że się tu dziś zjawisz.

Zresztą czekałam na ciebie już od dłuższego czasu.

– Naprawdę? – Zdziwiła się. – Czekaaś na mnie?

– Tak. Zapraszam do środka. – Postać otworzyła drzwi i stanąwszy przed nimi, ruchem ręki zachęciła do wejścia.

Elizabeth, nie bacząc na grożące niebezpieczeństwo, pierwsza przekroczyła próg drewnianej chatki. Joseph, chcąc nie chcąc, ruszył tuż za swoją panią, ale wiedźma go powstrzymała. Stanęła w przejściu, uniemożliwiając służbie wejście do środka.

– Wy nie! – oznajmiła kategorycznym tonem. – Chcę rozmawiać tylko z nią. Zaczekajcie tutaj.

Nie byli zachwyceni poleceniem, ale musieli się do niego zastosować. Z wiedźmą lepiej nie zadzierać. Zostali przed drzwiami, z niecierpliwością wyczekując powrotu młodej panienki.

- A jak ta baba coś jej zrobi? – pisnęła cichutko Jane.
- Nie słyszałem, aby skrzywdziła jakiegoś człowieka, więc bądźmy dobrej myśli – odpowiedział Joseph.
- A jeśli jednak?
- Módlmy się więc – zdecydował. – Teraz została nam tylko modlitwa.

Wewnątrz chaty było nawet całkiem przyjemnie, chociaż nie tego Elizabeth się spodziewała. Izba była urządzona skromnie, nie odbiegała jednak zasadniczo od wystroju wieśniaczych chat. Wprawdzie przez dwa małe okienka do środka wpadała niewielka ilość światła, wystarczająca jednak, aby rozróżnić sprzęty. Drewniane łóżko, przykryte ręcznie haftowaną w piękne, orientalne wzory narzutą, zajmowało największą część pokoju. Niski stół i okrągłe stołeczki o trzech nóżkach ustawiono pośrodku pomieszczenia. Pod jedną ze ścian stał

drewniany kufer z metalowymi okuciami, a naprzeciwko niego znajdował się ogromny, w tej chwili wygaszony piec. Podłoga zasłana była słomą, która przykrywała widoczne gdzieś tam klepisko.

Uwagę Elizabeth przykuły zioła, których nieprzebrane ilości zdawały się stanowić główny element wyposażenia izby. Pachnące wiązanki suszu wisiały pod sufitem, nad oknami i łóżkiem, rozłożone były na piecu, a także stały w wiadrze na stole. Poobwieszane nimi były ściany. Wszędzie, gdziekolwiek by spojrzeć, widać było pęki ziół, a także przeróżne większe i mniejsze buteleczki pełne nieznanych Elizabeth substancji.

- Ładnie tu. – Elizabeth podeszła do pieca i sięgnęła po wiszący nad nim wianuszek ziół.

Uniosła go do nosa i ostrożnie powąchała. – Na co to? – zapytała.

- To odgania złe sny. – Kobieta wskazała jej jeden z niskich stołeczków i nie czekając, aż hrabianka usiądzie, sama zajęła drugi. – Cieszę się, że mnie odwiedziłaś. Od dawna zastanawiałam się, kiedy to nastąpi.

- A ja dopiero wczoraj się o tobie dowiedziałam. – Elizabeth odwiesiła wianuszek i zajęła wskazane miejsce. – Muszę przyznać, że byłam ciebie bardzo ciekawa.

- Wiem. – Wiedźma roześmiała się. – I jak twoje wrażenia? Jestem taka, jak się spodziewałaś?

- Trudno mi to orzec, bo skrywasz przede mną swą twarz.

- No to przekonajmy się. – Jednym zwinnym ruchem ręki zsunęła z głowy kaptur, odrzucając go na plecy.

Oczom Elizabeth ukazała się twarz ślicznej, młodziutkiej, jasnowłosej, około dwudziestoletniej dziewczyny. Piękne zielonozłote oczy wpatrywały się w Elizabeth tak, jakby przewiercały jej duszę na wylot.

- Ty jesteś tą słynną wiedźmą? – zapytała z niedowierzaniem.

- Czyli jednak nie tak sobie mnie wyobrażałaś. Pewnie sądziłaś, że jestem starą, poskręcaną reumatyzmem kobietą, o długim, zakrzywionym nosie, na szczycie którego tkwi ogromna kurczajka. – Dziewczyna pogładziła się po małym, kształtnym nosku.

- Masz rację – przyznała Elizabeth. – Nie tak sobie ciebie wyobrażałam. Cóż, określenie wiedźma samo nasuwa pewne skojarzenia.

- To może zamiast nazywać mnie wiedźmą, zaczniesz używać mojego prawdziwego imienia? – zaproponowała.

- Jakiego?

- Mam na imię Caroline.
- Caroline – powtórzyła Elizabeth.

Intensywnie zastanawiała się, czy siedząca przed nią jasnowłosa dziewczyna jest tą samą osobą, która przed laty przepowiedziała przyszłość kucharce. Nie, to nie mogła być ona. Celeste mówiła, że była u wiedźmy przed półwieczem. Tamta kobieta powinna teraz mieć około siedemdziesięciu lat. Powinna być stara i pomarszczona, a nie olśniewająco piękna i wysmukła jak topola.

„Może to jej córka, albo wnuczka – pomyślała Elizabeth. – Może magiczne umiejętności są dziedziczne?”.

A jednak dla pewności zdecydowała się zadać kolejne pytanie.

- Ile masz lat? Wydajesz się niewiele starsza ode mnie. Mieszkasz tu sama czy z rodziną?
- Jestem sama. – Caroline posmutniała. – A jeśli chodzi o mój wiek... Czymże w ogóle jest czas? To tylko ludzie utrudniają sobie nim życie. Ja nie liczę mijających dni i lat. Po prostu żyję.

- To musi być fascynujące, gdy zna się przyszłość. – Elizabeth poczerwieniała z przejęcia.

- Nie zawsze. Uwierz mi, że czasem wolałabym czegoś nie wiedzieć.

- A widzisz moją przyszłość? – Nie zdołała powstrzymać ciekawości.

- Tak – przyznała po chwili milczenia.

- Czekam na coś wspaniałego? Widzisz moje długie i szczęśliwe życie? – dopytywała gorączkowo.

- Twoje życie bardzo się zmieni. Ty zmienisz los wielu ludzi. Napiszesz nowy rozdział w dziejach świata... Czekam na długą podróż, ale najpierw... – Zamyśliła się. – Już wkrótce spotkasz swoje przeznaczenie... Mężczyznę, który jest ci sądzony. Odnajdziecie się wśród drzew... Taka miłość rzadko się zdarza... Przetrwaj wszystko, nawet śmierć...

- Czy ja umrę? – Elizabeth nagle poczuła ucisk w żołądku. Ostatnie słowa Caroline zabrzmiały złowroźnie.

- Każdy kiedyś umrze. – Zielarka spoważniała, jakby się zasmuciła. – Taka jest kolej rzeczy. Ale miłość, która jest ci pisana, nie przeminie nigdy. Będzie trwać przez wieki.

- Ten mężczyzna... Kiedy go poznam? Kto to jest? – Elizabeth jednym tchem wyrzuciła z siebie kilka pytań.

- On już jest obok, już nadchodzi... Wraz z nim łyż i strach... Ale po burzy zawsze świeci słońce... Jest blisko, coraz bliżej... Musisz zaufać tej miłości i całkowicie się jej oddać.

Nieważne, co by się działo.

- Ja...

- Nic więcej ci o nim nie powiem. Wkrótce sama zrozumiesz... Spotkasz go i będziesz wiedzieć.

- A Lucas? Czy jemu coś grozi? Martwię się o niego bardzo, bo tropi groźną bestię i...

- Zamilcz! – Caroline uciszyła ją ruchem ręki. – Twój brat również długą przebędzie drogę i bardzo męczącą. Coś straci i coś zyska... Stanie się kimś zupełnie innym, ale będzie żył... Długo... Bardzo długo... Odnajdzie szczęście w dalekim świecie. Nie dziś, nie jutro, ale kiedyś, w przyszłości. Więcej nie widzę.

- Nie widzisz nic więcej? – Ogarnął ją żal. Spodziewała się dowiedzieć czegoś bardziej konkretnego. – A co z bestią? Lucas ją złapie?

– Powinnaś już pójść. – Caroline wstała z miejsca i wyprostowała się. – To wszystko, co chciałam ci powiedzieć. On się zbliża, a ty czekaj na niego. Znajdzie cię. – Odwróciła się do niej plecami i znowu narzuciła na głowę przepastny kaptur.

Elizabeth wyszła z chaty tuż za Caroline. Zauważyła, że na jej widok Joseph i Jane niemal równocześnie odetchnęli z ulgą.

– Cieszę się, że mogłam was gościć. – Wiedźma stanęła przy furtce. – Wracajcie bezpiecznie do domu. Do widzenia, Elizabeth.

– Czy to znaczy, że jeszcze się spotkamy? – Hrabianka poparzyła na Caroline.

– Nasze drogi nie przecięły się przypadkowo. Co ma być, to będzie. Wkrótce się przekonasz.

– Chodźmy, panienko. – Joseph, nie chcąc przedłużać pobytu u wiedźmy, pospiesznie chwycił Elizabeth pod rękę i niemalże ciągnąc ją za sobą, wyprowadził za furtkę. Jane podążyła tuż za nimi.

Elizabeth odwróciła się i jeszcze przez chwilę patrzyła na stojącą nieruchomo postać.

Miała wrażenie, że wiedźma coś przed nią ukryła, że nie chciała powiedzieć wszystkiego, co zobaczyła.

Caroline w milczeniu odprowadzała ich wzrokiem. Dostrzegła spojrzenie Elizabeth i przez chwilę poczuła ucisk w sercu. Targały nią sprzeczne emocje. Gdyby teraz powiedziała o wszystkim, co zobaczyła w swoich wizjach, zapobiegłaby tragedii. Gdyby przekonała Elizabeth, aby ta uciekła jak najdalej od tego miejsca... Była władna ją do tego namówić. Jednym słowem mogłaby zmienić przyszłość. Mogła, ale tego nie zrobiła. Miała dość bycia inną, osamotnioną, żyjącą na marginesie. Musiała poświęcić tę dziewczynę, aby samej doznać oczyszczenia. Może i gdzieś na dnie duszy czuła żal czy też współczucie, ale spychała je w otchłań niebytu. Już dość samotności, dość strachu... Cokolwiek stało się przed wiekami, wreszcie musi się zakończyć.

Tylko Elizabeth jest władna tego dokonać. Tylko jej ofiara...

Wracali do powozu, prawie w ogóle się do siebie nie odzywając. Joseph koncentrował się na torowaniu drogi wśród paproci, zaś Jane nadal była zbyt przerażona, aby wydusić z siebie chociaż jedno słowo. Postępowała na końcu grupy, cały czas dzierżąc w dłoniach kosz z jagodami otrzymany od wiedźmy, i zastanawiała się, co z nim zrobić. Nawet nie brała pod uwagę tego, aby zjeść owoce.

Również Elizabeth pogrążyła się w milczeniu, które jednak nie było oznaką strachu, a wynikiem zadumy nad tym, co usłyszała. Ciągle rozbrzmiewały w jej głowie słowa Caroline.

Miała spotkać miłość swego życia. Taką prawdziwą, cudowną, wyśnioną. Kogoś, kto będzie z nią na dobre i złe. Kogoś, kto zabierze ją w daleką podróż, z kim będzie mogła zwiedzać świat.

Czyż to nie wspomniała? Caroline wspomniała, że to będzie wielka miłość, która przetrwa wszystko...

Cichutko westchnęła i przystanęła. Idąca z tyłu Jane nie zdążyła się zatrzymać i wpadła na hrabiankę. Koszyk, który trzymała w ręku, przechylił się, a jagody rozsypały się dookoła, niknąc pomiędzy rozłożystymi, wysokimi paprociami.

– Ojej, panienko, przepraszam! – krzyknęła pokojówka.

– Co się stało? – Joseph odwrócił się i popatrzył na dziewczynę.

– Jagody się wysypały – jęknęła Jane, roztrącając rozrosłe liście, i wypatrując wśród nich granatowych kuleczek.

– Bogu niech będą dzięki – mruknął pod nosem Joseph, ciesząc się, iż pozbyli się niechcianego podarku. – Trudno. Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

– Nad rozsypanymi jagodami – poprawiła go Elizabeth. – Ale słuchajcie, skoro już jesteśmy w lesie, to przecież możemy nazbierać nowych jagód. Na pewno jest tu ich sporo – podsunęła myśl.

– To nie jest dobry pomysł. – Pospiesznie zaprotestował Joseph. – Już wystarczy tych spacerów. Nie kuśmy losu.

– Przecież tu jest całkiem bezpiecznie. – Elizabeth zatoczyła ręką półokrąg. – Skorzystajmy z okazji i nazbierajmy jagód. Prawdę mówiąc, nabrałam ochoty na placek jagodowy.

– Nie, panienko, to nie jest możliwe. – Joseph przecząco pokręcił głową. – Na dziś wystarczy przygód. Wracamy do powozu.

– Ale jesteście! – prychnęła Elizabeth. – W ogóle nie liczycie się z tym, czego ja chcę.

Wybaczcie, ale tak się składa, że to ja jestem panią, a wy powinniście wykonywać moje polecenia – przypomniała. – A teraz mam ochotę na jagody i zamierzam trochę ich nazbierać.

Wyrwała osłupiałej Jane koszyk z dłoni i nim ktokolwiek zdołał zareagować, uskoczyła w bok, znikając za najbliższymi gęstymi zaroślami.

– Panienko Elizabeth! – W głosie Josepha zabrzmiała nuta przerażenia. Błyskawicznie rzucił się w pogoń za niesforną hrabianką, zupełnie zapominając o swoim wieku. Jane, nie chcąc zostać samą pośrodku lasu, musiała pójść w jego ślady.

Elizabeth miała gdzieś nawoływania służby. Ogarnęła ją prawdziwa ekscytacja.

Przedzierała się przez chaszczę, nie zwracając uwagi na to, że te zahaczają i szarpią materiał jej zwiewnej sukienki. Jedna z gałązek strąciła kapelusz z głowy hrabianki, ale ta nawet tego nie zauważyła. Biegła, zatracając się w pędzie i czując niczym nieskrępowaną swobodę. Coraz dalej zapuszczała się w las. W końcu nie docierały do niej już żadne odgłosy pogoni. Wkoło były tylko wysokie drzewa, które, zastygłe w swych wyniosłych pozach, obserwowały w milczeniu mknącą pomiędzy nimi dziewczynę.

Wreszcie zwolniła i rozejrzała się dookoła. Zabrnęła w ostępy nieskalane ludzką stopą.

Trawy i paprocie sięgały jej prawie do kolan, utrudniając dalszą wędrówkę. W pobliżu nie było krzewów z jagodami, ale za to rosły jakieś dziwne, nieznanne Elizabeth kwiaty. Ich kolory wabiły i przyzywały, dziewczyna odłożyła więc niepotrzebny koszyk i zaczęła zrywać kwiaty, by upleść z nich wianek. Gdy był ukończony, założyła go na głowę, dopiero teraz zauważając brak kapelusza. Ta strata jednak nie za bardzo ją przejęła.

Śpiew ptaków brzmiał przyjemnie, lekki wiaterek pieścił twarz, poprzez gęste konary drzew nieśmiało przebijały się promienie słońca, kładące się złocistymi refleksami na soczystej zieleni paproci. Dzień był taki piękny, wręcz wymarzony na spacer po lesie. Obawa przed bestią wydała się Elizabeth czymś abstrakcyjnym. Bestia? Jaka bestia? To pewnie tylko wymysł

wieśniaków, którzy lubują się w sensacjach. Być może za potwora uznali zwykłe zwierzę, które szukając pożywienia, podeszło za blisko do ich siedzib.

Tę sielską atmosferę zakłócił nagle dziwny i dość niepokojący dźwięk. Coś przypominającego ni to parsknięcie, ni to pomruk. Zaskoczona Elizabeth, słysząc go, odwróciła się w stronę, skąd dobiegał.

Uśmiech zamarł na twarzy dziewczyny. Oto była sama, bezbronna, pośrodku polany porośniętej kwiatami, a na wprost niej stał wielki czarny wilk, szczerzący ogromne żółte kły.

Z

pyska wilka skapywała gęsta ślina, zwieszając się długimi smugami i sklejjając sierść na brodzie.

Elizabeth zrozumiała, że w starciu z tym potworem nie miałyby żadnych szans. Stała więc i patrzyła na dzikie zwierzę, niosące ze sobą śmierć.

Serce biło jej jak oszalałe, miała wręcz wrażenie, że za moment wyskoczy z piersi. Jakże żałowała swojej lekkomyślności i głupiego uporu... Zachowała się niczym krnąbrne dziecko, które przyzwyczajono, że zawsze otrzymuje to, czego zapragnie. Wymusiła na służbie wyprawę do wiedźmy, naraziła wszystkich na niebezpieczeństwo, a co gorsza, sama zdawała się kusić los.

Caroline mówiła o miłości, która jest jej sądzona... To już nigdy się nie spełni. Wiedźma się myliła.

Elizabeth nie była zdolna wykonać najmniejszego ruchu. Wydawało się jej, że wielkie, przekrwione ślepia zwierza wręcz ją hipnotyzują. Stała więc bezwolnie, czekając na koniec, który lada chwila miał nadejść. Wilk pochylił łeb, jeszcze bardziej wyszczerzył kły i wydał z siebie przerażające, gniewne warknięcie. Wstrzymała oddech, spodziewając się nieuchronnego ataku.

W tym samym momencie pomiędzy drzew ktoś wyszedł na polanę. Elizabeth nie widziała go dobrze, gdyż cały czas wpatrywała się we wściekłego wilka, jedynie kątem oka dostrzegła kształt spowitej w czerń sylwetki. W pierwszej chwili pomyślała, że to pewnie Joseph albo Jane, ale wkrótce zrozumiała, że przybyszem jest ktoś zupełnie obcy. Co więcej, uzmysłowiła sobie, że przybysz, kimkolwiek był, wyłonił się z lasu bezszelestnie, tak iż zwierz nawet go nie zauważył.

Elizabeth spróbowała poprosić nieznajomego o pomoc, ale głos nie zdołał wydobyć się z jej ściśniętej strachem krtani. Ogromny wilk przyczaił się, szykując do skoku, i kiedy już miał się wybić, aby rzucić się na bezbronną ofiarę, stało się coś niesamowitego. Przybysz w błyskawicznym, nadludzkim wręcz tempie pokonał odległość dzielącą go od Elizabeth i zasłoniwszy ją własnym ciałem, spojrzał prosto w ślepia rozwścieczonej bestii. Wydał przy tym z siebie mrozący krew w żyłach odgłos przypominający wycie.

Elizabeth nadal nie widziała twarzy nieznajomego, gdyż stała za jego plecami, ale gdyby ją zobaczyła, zapewne przeraziłaby się bardziej niż widoku wilka. Mężczyzna lekko pochylił

głowę, a jego czarne oczy zapłonęły dziwnym blaskiem. Rysy twarzy nabrały ostrości, jakiejś zwierzęcej dzikości. Skóra stała się blada, niemalże biała, tak jakby w jednej chwili odpłynęła z niej cała krew. Z ogromnym skupieniem, nie przestając wyć, wpatrywał się prosto w ślepia zwierzęcia, okazując mu przy tym swoją przewagę. Wilk, o dziwo, musiał uznać wyższość swego przeciwnika. Chociaż wydawało się to nieprawdopodobne, nagle podkulił ogon jak skarcony szczeniak, skulił uszy, schował kły i skomląc uciekł w przestrachu w las. Pierwszy raz w swoim życiu Elizabeth miała do czynienia z czymś tak niezwykłym: ogromny, dziki zwierz zmykał

przed człowiekiem, który nie użył żadnej broni.

Dopiero gdy wilk zniknął pomiędzy drzewami, nieznajomy odwrócił się do Elizabeth przodem, tak iż wreszcie mogła się mu dokładnie przyjrzeć. Mężczyzna był zapewne w wieku Lucasa i dorównywał mu wzrostem. Czarne, długie za ramiona włosy nieznajomego, zaczesane były gładko do tyłu i spięte w kitkę na wysokości karku. Ich końcówki wiły się lekko, naturalnie skręcając w delikatne loki. Równie czarne, przenikliwe oczy błyszczały jak dwa kawałki węgla płonącego w kominku. Prosty nos, ładnie wykrojone wąskie usta i niezwykle regularne, szlachetne, trochę nawet kobiece rysy twarzy, sprawiały, iż mężczyzna wyglądał niczym anioł, który chyba przez czysty przypadek zstąpił z nieba na Ziemię. Był po prostu ucieleśnieniem marzeń Elizabeth. Dziewczyna miała wręcz pewność, że wielokrotnie o nim śniła.

To spotkanie zakrawało na kolejny z tych snów. Bo czyż może być prawdą, że wymarzony, piękny rycerz ocalił ją przed wilkiem, a teraz stał na wprost niej i wpatrywał się w nią tymi niesamowitymi oczami? Elizabeth poczuła, że do jej umysłu wkrada się chaos.

Właściwie nie wiedziała już, co jest jawą, a co snem.

– Pan mnie uratował... – wyszeptała z trudem i były to ostatnie słowa, jakie zdołała wypowiedzieć. Siły ją opuściły, a nogi odmówiły posłuszeństwa.

Zachwiała się i zapewne upadłaby na ziemię, gdyby nieznajomy w porę zwinnym ruchem nie chwycił jej w pól. Oparła się o niego całą sobą, odnajdując w nim wsparcie, którego od tak dawna potrzebowała. Wreszcie poczuła się bezpieczna.

Mężczyzna podniósł ją i wzięwszy na ręce, przytulił do piersi. Nigdy nie było jej tak dobrze. W tym uścisku mogłaby trwać całe wieki. Chociaż nie знаła go, chociaż nie miała pojęcia, co to za człowiek, była pewna, że to na niego czekała przez wszystkie lata swojego życia. To było wręcz magiczne doznanie.

Mężczyzna nie odezwał się do niej ani słowem. Niosąc ją na rękach, ruszył przed siebie, kierując się w bliżej nieokreślonym kierunku. Zresztą Elizabeth i tak było wszystko jedno, gdzie ją zabierze. Ważne, że była z nim. Nic innego się nie liczyło.

Nieznajomy, jakby czytając w myślach Elizabeth, spojrzał jej prosto w oczy i na jego pięknych ustach pojawił się cień uśmiechu. Zaraz jednak ten uśmiech zniknął, a wargi mężczyzny zacisnęły się, tworząc wąską kreskę. Oderwał spojrzenie od oczu dziewczyny.

Szedł cicho, wręcz bezszelestnie. Można było odnieść wrażenie, że unosi się w powietrzu, stopami prawie nie dotykając ziemi. Chociaż dookoła znajdowały się połacie lasu, on zdawał się doskonale orientować, w którą stronę należy się udać. Wkrótce drzewa zaczęły się przersedzać i w dali zamajaczył prześwit traktu. Mężczyzna zatrzymał się w cieniu ostatnich drzew. Przez chwilę wpatrywał się w widoczny nieopodal powóz, przy którym w panice kręcili się służący Westmoore'ów. Obserwował ich, sam pozostając dla nich niezauważalny.

Joseph starał się uspokoić szlochającą Jane, chociaż sam był również przerażony zniknięciem Elizabeth. Od kilkudziesięciu minut nadaremnie próbowali odnaleźć hrabiankę i coraz bardziej nabierali pewności, że to się im nie uda. Wreszcie stary lokaj uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie powrót do dworu i zebranie większej gromady ludzi do poszukiwań.

Niestety, Jane, przerażona perspektywą spotkania z Lucasem i wyjawienia mu, co się stało z jego siostrą, wpadła w histerię, i odmówiła powrotu. Sprzeczali się więc, nie mogąc dojść do porozumienia, a tajemniczy wybawca Elizabeth stał w oddaleniu, pomiędzy drzewami i bacznie się im przyglądał.

Hrabianka Westmoore, która przyczyniła się do paniki służby, najmniej robiła sobie ze zmartwienia, jakie im sprawiła. Nadal wtulona w ramiona nieznanego, nie spuszczała wzroku z jego olśniewająco pięknej twarzy. Coś ją zahipnotyzowało w tym mężczyźnie. To było bardzo dziwne, ale od momentu, gdy pierwszy raz na nią spojrzął, zrozumiała, że jest jego częścią.

Wreszcie nie czuła się samotna. Przez całe życie otaczali ją ludzie, ale nie potrafiła nawiązać z nimi głębszego porozumienia. Nawet rodzice nie mogli jej zrozumieć. Zawsze była inna, nieco zagubiona w tym świecie. Tęskniła za czymś nieokreślonym, za czymś, na co uparcie czekała.

Do tej pory nie wiedziała, co to takiego, ale teraz nabrała pewności, że jej oczekiwanie właśnie się skończyło. Że jest tak, jak od początku powinno być.

Powiał wiatr i rozwiął czarną pelerynę nieznanego. Łopot materiału dotarł do Josepha. Odwrócił się i zmrużywszy oczy wpatrzył w linię drzew. Nie od razu dostrzegł tajemniczego mężczyznę. Dopiero gdy ten postąpił do przodu i wyszedł z cienia, służący zrozumieli, że nie są sami. W pierwszej chwili przerazili się i zamierzali uciekać, ale nieznanemu odezwał się do nich.

– Chyba to tej pani szukać. – Wskazał głową na trzymaną w objęciach Elizabeth.

– O wszyscy święci! – W Josepha wstąpiły nowe siły. Rzucił się ku nieznanemu, chcąc jak najszybciej odebrać od niego hrabiankę. – Co się stało? Ileśmy się pani szukać!

– Wszystko w porządku – wyjaśnił czarnowłosa mężczyzna. – Wasza pani zagubiła się w lesie, a ja przypadkiem ją spotkałem. – Postawił Elizabeth na ziemi, ale nadal podtrzymywał ją w pół, gdyż była zbyt oszołomiona.

Jane dopadła do hrabianki i również objęła ją ramieniem. Jednocześnie sięgnęła po przekrzywiony wianek, który nadal tkwił na głowie Elizabeth i zdjąwszy go z niej, odrzuciła na pobocze.

– Bogu dzięki, że wszystko w porządku! – Joseph wznosił ręce do góry.

– Nie musielibyście Bogu dziękować, gdybyście lepiej pani pilnowali. – Nieznajomy popatrzył z ironią na lokaja. – Mielicie szczęście, że dom od Ettonów wynajmuję i wybrałem się na spacer po okolicy. Gdybym akurat nie zawędrował do lasu, wasza pani nadal by się błąkała w tej głuszy.

– Na spacer wielmożny pan wybrał się do lasu? – W oczach Josepha pojawiło się niedowierzanie. – Nikt o zdrowych zmysłach po lesie teraz nie chodzi.

– A czemu to?

– To pan nie wie? – zdziwił się sługa. – Przecież bestia tu grasuje. Ludziom szyje rozrywa i krew z nich do cna wypija.

– Bestia, powiadasz? Większej bzdury nie słyszałem. – Nieznajomy się roześmiał.

– Bzdura, nie bzdura, ale na przyszłość niech pan samopas po lesie nie chodzi – poradził

Joseph. – A na pewno nie bez broni. – Krytycznym wzrokiem przypatrzył się szczupłej sylwetce mężczyzny, który bez szabli ani rewolweru wybrał się na spacer po okolicach nawiedzanych przez bestię.

– Kiedy jemu broń nie jest potrzebna. – Elizabeth wreszcie odzyskała zdolność mówienia.

– Wilka wielkiego samym spojrzeniem przepędził.

– A cóż też pani prawi? – W oczach Josepha pojawiło się przerażenie graniczące z niedowierzaniem.

– Wybaczcie pani, bo w szoku jest. – Nieznajomy lekceważąco machnął ręką. –

Wyolbrzymia swoją przygodę, chociaż niewątpliwie dla niej to była moc wrażeń. – Zaśmiał się sztucznie. – Mały wilczek odłączył się od stada i napędził stracha tej młodej damie. Spłoszył się, gdy na niego krzyknąłem.

Elizabeth chciała zaprotestować, powiedzieć, że to był ogromny, wściekły wilk, któremu piana toczyła się z pyska, ale spojrzenie czarnych oczu mężczyzny ponownie sprawiło, że zakręciło się jej w głowie.

– Komu możemy być wdzięczni za uratowanie hrabianki Westmoore?

– Nazywam się Roderick Robillard – usłyszała Elizabeth, zanim jej zmysły spowiła mgła.

ROZDZIAŁ IV

Roderick Robillard stał bez ruchu w miejscu, z którego już z dobre dziesięć minut temu odjechał powóz z Elizabeth. Stał i patrzył w dal, jakby chciał wzrokiem nadal podążać za nim, mimo że ten dawno zniknął za horyzontem. Gdy się ocknął z tego zamyślenia, jego spojrzenie spoczęło na leżącym w piaskowym pyle wianku, uplecionym przez Elizabeth. Podeszedł do niego i ostrożnie podniósł go dwoma palcami. Przez chwilę obracał w powietrzu, a następnie dotknął

nim policzka i zaciągnął się zapachem. Wśród przytłumionego już aromatu kwiatów wyczuł

delikatną woń dziewczyny. Przymknął oczy, a w jego duszy pojawiła się dziwna tęsknota, o której zapomniał przed wiekami.

Perlisty, kobiecy śmiech wyrwał go z tej zadumy. Momentalnie odwrócił się, szukając osoby, która miała czelność zakłócać mu ciszę. Na wprost siebie dostrzegł Caroline. Jasnowłosa wiedźma wyszła z lasu i, klaszcząc w dłonie, śmiała się mu prosto w twarz. W jej oczach widoczna była lekka kpina, gdy patrzyła na trzymany przez niego wianuszek.

– Wielki Roderick! No proszę, proszę – szydziła. – Nieugięty, niepokonany! Postrach wszystkich okolicznych mieszkańców! Krwawa bestia z lasu... A tak roztkliwia się nad marnymi kwiatuskami. Och, gdyby teraz mogli cię zobaczyć ci, którzy tak się ciebie lękają...

– To była ona, prawda? – zapytał, nie zważając na jej drwiny. – Ta, o której mówiłaś.

– Poczułeś to? – zainteresowała się. Przestała się śmiać i podeszła bliżej do Rodericka.

– Nie sądziłem, że to będzie tak silne... Nie spodziewałem się tego... Nigdy nie miałem podobnych odczuć. Zobaczyłem ją w lesie, jak stała przed wilkiem. Taka mała, drobna, zalękniona. Nie miała żadnych szans w starciu z tym zwierzęciem. Od ataku dzieliły ją sekundy.

I wiesz, co zrobiłem? Zamiast patrzeć, jak wilk rozrywa jej ciało na strzępy, zamiast czerpać przyjemność z tej sceny, rzuciłem się pomiędzy nich, i zasłoniłem tę dziewczynę. Rozumiesz?

Zasłoniłem ją i przepędziłem wilka.

– Dlaczego tak postąpiłeś? – zapytała z powagą.

– Nie wiem. Po prostu poczułem, że tak trzeba. Wystarczyło, że na nią spojrzałem. Ona musiała żyć. Byłem gotowy na wszystko, aby ją ocalić. Do tej pory nie zawahałem się ani razu, nie okazałem współczucia i litości żadnej z ofiar. Nic mnie nie wzruszało. Ale ona... Rozumiesz, Caroline? Popatrzyłem na nią nie jak na ofiarę, tylko jak na kogoś mi bliskiego...

– Mówiłam ci, że tak będzie. Wreszcie zaczyna wypełniać się moja przepowiednia. Twoje życie się zmieni. Życie nas wszystkich się zmieni.

– Ale to niemożliwe, Caroline. Wiesz kim jestem. Ta dziewczyna nic nie zmieni w moim życiu. To tylko chwilowy poryw serca, wspomnienie czegoś, co od dawna nie jest dla mnie osiągalne. Odebrałaś mi wszystko!

– Wszystko, czyli co? Śmierć, która była ci sądzona?

– Skazałaś mnie na wieczne cierpienie.

– Nie skazałam. Dałam tylko szansę na życie. Cała reszta była twoim wyborem. Ja zdołałam się powstrzymać przed dopełnieniem cyklu – przypomniała.

– Jak widać, nie miałem tyle szczęścia, co ty. Cokolwiek powiesz, nic już tego nie zmieni.

Twoje ziółka mi nie pomogą.

– Ona ci pomoże. – Caroline położyła dłoń na jego ramieniu. – Przez wszystkie te lata byłam pewna, że któregoś dnia pojawi się tutaj, wśród nas, i odmieni twoje życie. Wiem, że tak będzie, i ty też w to uwierz. Nie rezygnuj z tego, co dziś poczułeś... To twoje pierwsze ludzkie odczucie od bardzo, bardzo dawna. To coś znaczy. Tam, pod tą skorupą, kryje się jednak odrobina człowieczeństwa.

– Sama w to wątpisz. – Drwiący uśmiech wykrzywił jego piękną twarz. – Czy ktoś mógłby pokochać kogoś takiego jak ja? Czy ktoś mógłby związać się z kimś takim? Jestem najstraszniejszą istotą, jaka chodzi po tym świecie!

– Więcej wiary w siebie. Więcej wiary w nią. Była dziś u mnie. Rozmawiałam z nią. To odważna młoda dama i zapewniam cię, że nie ulęknie się ciebie. Jesteście sobie przeznaczeni, a przeznaczeniu nie można się sprzeciwiać.

Roderick mocniej zacisnął palce na wianku, który jeszcze tak niedawno zdobił włosy Elizabeth. Te przywiedłe kwiatuszki napawały go dziwną siłą. Dodawały odwagi do spojrzenia w przyszłość. A może to jej zapach, który nadal tlił się pomiędzy splecionymi łodyżkami, tak bardzo go nęcił, że odbierał zdolność logicznego myślenia? Przecież nie powinien marzyć!

Przecież nie powinien myśleć, że ktoś taki jak on ma prawo do miłości.

– Wasze losy są ze sobą nierozzerwalnie połączone – dodała Caroline. – Nie walcz z przeznaczeniem. Zaakceptuj to, co daje ci los. To jedyna szansa, abyś znowu poczuł się człowiekiem

– Abym znowu poczuł się człowiekiem – powtórzył, a jego oczach pojawił się niewysłowiony żal. Ból minionych wieków. – Czy to w ogóle możliwe?

Elizabeth z trudem wyrwała się z objęć snu. Pod jej powiekami ciągle przesuwwały się obrazy ze spotkania z nieznanym. Widziała jego piękną twarz i te oczy... Gdy trzymał ją w objęciach i patrzył na nią... Dla takiej chwili warto było żyć. Dla takiej chwili warto było przejść przez to wszystko, aby znaleźć się tu, na tej zapomnianej prowincji. Życie w Londynie wydało się jej odległe i takie banalne. Bale, spotkania towarzyskie, opera, cóż to wszystko znaczyło wobec tych cudownych oczu, które niczym ogień paliły jej serce i zdawały się docierać aż do samego dna duszy.

Roderick Robillard... Zapamiętała imię i nazwisko nieznanego i powtarzała je w myślach bez końca. Napawała się ich dźwiękiem i starała się przypomnieć sobie, czy gdzieś już nie obity się jej o uszy. Może matka lub któraś z szacownych dam z towarzystwa wspomniała Robillarda? Wszak mężczyzna wyglądał na bardzo dystyngowanego i bywałego w wielkim świecie. Wręcz wydawało się niemożliwe, aby nie zaszczycił swoją obecnością jednego z londyńskich przyjęć. A może Lucas go zna? Sądząc po jego wyglądzie wydawało się jej, że musieli być równoletkami.

Lucas? Wspomnienie brata otrzeźwiło Elizabeth. Gwałtownie usiadła na posłaniu i przez chwilę trwała w bezruchu, próbując zorientować się, gdzie się znajduje.

Była w domu, chociaż nie pamiętała momentu powrotu. Zauważyła, że ma na sobie koszulę nocną, co wskazywało na to, że pokojówka musiała ją przebrać, zanim położyła do łóżka. Nie mogła jednak skojarzyć żadnych faktów z tym związanym.

W umyśle Elizabeth panowała czarna dziura od momentu, gdy usłyszała nazwisko nieznanego, aż do teraz. Trochę wyglądało to tak, jakby z jej życiorysu została wyrwana

jedna kartka. Nie miała pojęcia, jak dotarła do domu, kto się nią zajmował, a najgorsze w tym wszystkim było to, że nie wiedziała, czy Lucas był tego świadkiem. Jeśli wrócił już od Burtonów, to musiał być zaskoczony widokiem nieprzytomnej siostry, wnoszonej przez służbę do rezydencji. Pewnie był bardzo zły za tę jej eskapadę.

Elizabeth zaczęła nasłuchiwać odgłosów dobiegających z wnętrza domu, łudząc się, że może jej obawy są bezpodstawne, bo Lucas jeszcze nie wrócił i nie ma zielonego pojęcia o tym, co się stało. Jeśli faktycznie był nieobecny, to powinna jak najszybciej przekonać służbę, aby nie

wspominali mu o tym, co zaszło. Przecież to powinno leżeć w ich obojnym interesie.

Wstała z łóżka i boso, w samej koszuli nocnej, przebiegła przez pokój. Stąpając cichutko, na palcach, wyszła na korytarz, zamierzając udać się na poszukiwanie Jane. Jednak ledwie przebyła kilka kroków, gdy z dołu domu doleciał ją głos brata. Wszelkie nadzieje przysły jak bańka mydlana. Lucas był w domu!

Lecz oto do głosu Lucasa dołączył inny, dziwnie znajomy. Elizabeth aż zadrżała. Przecież to nie mogła być prawda! Niczym zjawa przemknęła przez pusty korytarz i doszła do schodów.

Stanąwszy u ich szczytu, spojrzała w dół. Przy drzwiach wejściowych zobaczyła Lucasa rozmawiającego z... Robillardem.

Poczuła dziwną, obezwładniającą słabość, więc pospiesznie oparła się dłońmi o balustradę. Ten czarnowłosy mężczyzna działał na nią w niewyobrażalny sposób. Powinna jak najprędzej wycofać się i skryć w swoim pokoju, ale widok Rodericka powodował, że nie była zdolna poruszyć się o krok. Stała więc i wpatrywała się w swojego wybawcę, zaklinając w myślach czas, aby ta chwila trwała wiecznie.

Roderick nie zamierzał przychodzić do Westmoore'ów, właściwie miał ochotę obserwować Elizabeth tylko z daleka, jednak bilet wizytowy od hrabiego, dostarczony do domostwa Ettonów, sprawił, że zmienił swoje plany. Nie wypadało przecież odmówić zaproszeniu od człowieka, który chciał mu osobiście podziękować za uratowanie siostry.

– Miło mi poznać wybawcę Elizabeth. – Lucas uważnym spojrzeniem taksował swojego rozmówcę. Nigdy wcześniej nie miał styczności z Robillardem ani nie słyszał nic o nim, próbował więc z tego pierwszego spotkania wyciągnąć jakieś wnioski dotyczące tajemniczego mężczyzny. – Przejdźmy do gabinetu. Wypijemy kieliszek brandy...

– Pan wybaczy, hrabio, ale na dzisiaj mam inne plany – przerwał mu Roderic. –

Wyrwałem się z domu dosłownie na chwilę. Po otrzymaniu pańskiego bileciku zrozumiałem, że w dobrym tonie będzie się przedstawić. Sam byłbym zaniepokojony, kogo też spotkała moja siostra.

– Czyli pan też ma siostrę? – podchwycił Lucas, chcąc dowiedzieć się nieco o Robillardzie.

– Niestety, jestem jedynakiem.

– Pańscy rodzice mieszkają wraz z panem u Ettonów?

– Moi rodzice nie żyją.

– Przykro mi...

– Umarli dawno temu, więc temat ten nie sprawia mi już bólu.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale moja żołnierska natura sprawia, że nie jestem zbyt ufny w stosunku do ludzi, których nie znam. Nie miałem przyjemności widzieć pana wcześniej w towarzystwie, więc...

– To naturalne, że nie może mnie pan znać, gdyż wychowywałem się we Francji. Dopiero niedawno przyjechałem do Anglii. Nawet nie zdążyłem jeszcze kupić domu, tylko wynająłem ten od Ettonów. A jeśli chodzi o tak zwane towarzystwo... Przedkładałem samotność nad wszelkie zabawy.

– Oczywiście, rozumiem. Ja również nie jestem miłośnikiem spędów towarzyskich.

– Jeśli to wszystko, czego chciał pan się o mnie dowiedzieć, to będę już szedł. Czekam na ważnego gościa.

– Dziękuję, że odpowiedział pan na moje zaproszenie. Ulżyło mi, że wybawcą mojej siostry okazała się osoba z klasą.

– A gdybym był żebrakiem, inaczej potraktowałby pan to ocalenie? – Oczywiście Rodericka stała się jeszcze ciemniejsza. Ich spojrzenie wręcz mroziło. – Chyba nie o to chodzi, kto pomoże, ale o to, że w ogóle pomoże. Będąc żebrakiem, tak samo ratowałbym pańską siostrę, jak będąc hrabią czy też księciem.

– Ależ oczywiście, ma pan całkowitą rację – pospieszył z zapewnieniami Lucas. – Po prostu wyraziłem się trochę nieodpowiednio. Chciałem powiedzieć, że cieszę się z tego, że wybawcą mojej siostry okazała się tak kulturalna i światowa osoba jak pan, gdyż dzięki temu możemy zacieśnić naszą znajomość.

– Cóż, faktycznie źle pana zrozumiałem.

– Mam nadzieję, że ten niefortunny początek nie położy się cieniem na naszych dalszych relacjach.

– Też mam taką nadzieję.

– Dziękuję, że znalazł pan chwilę, aby do nas zajrzeć. Wiem, że sam powinienem pojechać do pana i podziękować za uratowanie siostry, ale ostatnio mam tyle obowiązków... Być może przez to jestem trochę rozkojarzony i popełniam błędy towarzyskie. Ostatniej nocy prawie w ogóle nie spałem... Pewnie pan słyszał o bestii grasującej w okolicy.

– Obiło mi się coś o uszy – przyznał Roderick. – Ale, prawdę mówiąc, nie przykładałem do tego większej uwagi. Ludzie lubią wszystko wyolbrzymiać.

– Wyolbrzymiać?! Przez ostatni miesiąc zginęło siedemnaście osób. – W głosie Lucasa wyczuwalne było poirytowanie. – Widziałem rany, jakie odnieśli ci nieszczęśnicy. Rozerwane szyje... Ich ciała wyglądały jakby coś... jakby coś wyssało z nich całą krew...

– Muszę przyznać, że pańska opowieść przypomina trochę historię o wampirach.

– Wampiry to bajki. – Lucas pokręcił przecząco głową. – To, z czym mamy do czynienia, jest realne. To albo jakieś zwierzę, albo wyjątkowo perfidny morderca. Niemniej czymkolwiek lub kimkolwiek by było, nie zasługuje, aby chodzić po ziemi, i mam zamiar, razem z moimi ludźmi, wreszcie to wytropić.

– Mam nadzieję, że się to panu uda. Proszę jednak uważać, bo nigdy się nie wie, z kim ma się do czynienia – dodał, a w jego głosie pojawiła się nuta przestrogi. – Pan wybaczy, ale będę już się zbierał. Tak jak mówiłem, czekam na przyjazd ważnego gościa – przypomniał.

– Rozumiem. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Chciałbym należycie podziękować panu za pomoc.

– Naprawdę nie zrobiłem nic takiego. Byłem po prostu w odpowiednim miejscu o odpowiedniej porze.

– No właśnie... – Lucas wszedł mu w słowo. – Proszę ograniczyć samotne spacerunki po lesie, a najbezpieczniej będzie zupełnie z nich zrezygnować. Lepiej nie kusić losu.

– Cóż, to moje kuszenie losu na coś się przydało, bowiem mogłem pomóc pańskiej siostrze.

– Za co jestem panu niezmiernie wdzięczny. – Lucas ponownie się pokłonił. – Tak właśnie pomyślałem, czy w ramach podziękowania pozwoli pan zaprosić się do nas na sobotni obiad?

Roderick ukradkiem zerknął na stojącą u szczytu schodów Elizabeth. Wiedział, że tam stoi, a jej widok powodował drżenie jego serca. Zdawał sobie sprawę, że najlepiej by było, gdyby odmówił, ale nie był w stanie tego zrobić.

– Dziękuję. Z wielką przyjemnością skorzystam z zaproszenia.

– Będziemy zaszczyceni pańskimi odwiedzinami. Do tego czasu siostra na pewno poczuje się lepiej i osobiście podziękuje panu za ratunek.

– Proszę pozdrowić siostrę ode mnie i złożyć jej w moim imieniu wyrazy uszanowania.

– Oczywiście, przekażę. Do widzenia. – Lucas uniósł dłoń na pożegnanie.

Roderick się zawahał. Przez ułamek sekundy patrzył na wyciągniętą rękę, jakby się zastanawiał, co zrobić, w końcu jednak uściśnął ją. Podanie dłoni Lucasowi kosztowało go dużo wysiłku, gdyż od dawna nie obcował z ludźmi. Czując pod palcami skórę mężczyzny, opanował

go nagły przypływ głodu.

– Do widzenia. – Skłonił się i pospiesznie, nie oglądając się na nadal stojącą u szczytu schodów Elizabeth, wyszedł przez ogromne drzwi, które otworzył przed nim czekający w pobliżu odźwierny.

Dopiero kiedy rozległ się szcęk zamykanej zasuwki, Elizabeth odzyskała siły.

– Lucas! – zawołała i niczym zjawą spłynęła po marmurowych schodach, zamiatając je dołem zbyt długiej koszuli nocnej.

– Na litość boską, Elizabeth! Co ty tu robisz? – Lucas spojrzał na siostrę i aż cofnął się o krok. Wyglądał na wstrząśniętego. – Jak ty wyglądasz? Całe szczęście, że mój gość już wyszedł, bo narobiłabyś sobie niezłego wstydu. W takim stroju biegasz po domu i to jeszcze na bosaka?

Natychmiast wracaj do pokoju! Wystarczy mi twoja jedna eskapada! – krzyknął. – Czy ty w ogóle o czymkolwiek myślałaś, wybierając się do lasu? I na domiar złego szantażem zmuszałaś służbę, aby zataiła przede mną twoje plany?

Elizabeth przygryzła wargę. Jeszcze nigdy nie widziała, aby Lucas był tak zdenerwowany. Właściwie do tej pory nigdy na nią nie krzyczał.

– I co tak na mnie patrzysz? Powiedziałem, abyś udała się do swojego pokoju! Muszę się zastanowić, co z tobą zrobić, dziewczyno! Twoja niefrasobliwość zaczyna mnie przerażać. Może oddanie cię na wychowanie do jednej z ciotek wcale nie byłoby takim głupim pomysłem.

Elizabeth prychnęła gniewnie. Już, już szykowała się, aby odpowiedzieć bratu, ale powstrzymała się przed tym. Widmo odesłania do ciotki okazało się skutecznym straszakiem.

Zwłaszcza teraz, gdy na horyzoncie pojawił się Roderick Robillard.

Zacisnęła wargi i odwróciwszy się na pięcie, szybko uciekła na górę. Pokonała odległość dzielącą ją od sypialni i gdy tylko wbiegła do pokoju, z łoskotem zatrzasnęła za sobą drzwi. Rzuciła się na łóżko, pragnąc wypłakać cały swój gniew. I właśnie w tym momencie dostrzegła coś niezwykłego. Na poduszce leżał przywiedły wianuszek, ten sam, który uplotła w lesie, a który Jane strąciła z jej głowy. Skąd się tu wziął? Przecież była pewna, że został w przydrożnym pyle.

Rozejrzała się dookoła, a jej wzrok zatrzymał się na niedomkniętym oknie. Przez ułamek sekundy miała wrażenie, że za szybą dostrzegła twarz Rodericka. Krzyknęła i podbiegła do okna.

Otworzyła je na oścież.

Czego się spodziewała? Że go tu zastanie? Ale przecież to niemożliwe! Jej sypialnia usytuowana była na piętrze, więc Robillard musiałby mieć skrzydła, aby znaleźć się na wysokości okna. Roześmiała się, zdając sobie z tego sprawę.

Tylko skąd w takim razie wziął się w pokoju ten wianek? Żadne logiczne wyjaśnienie nie przychodziło jej do głowy. Odwróciła się i postąpiła dwa kroki przed siebie. Jej wzrok spoczął na zwierciadle ustawionym na wprost okna. Zamrugła gwałtownie, bowiem w szklanej tafli ponownie dostrzegła twarz Rodericka. Momentalnie wykonała w tył zwrot. I ponownie, tak jak poprzednim razem, za oknem nie było nikogo. A przecież widziała go tak wyraźnie.

– Ja chyba zwariowałam – wyszeptęła, pocierając dłonią czoło. – Ten mężczyzna... On...

Widziałam go przez chwilę, a mam wrażenie, że znam go całe życie.

Do soboty, a więc dnia, w którym Roderick miał się zjawić u Westmoore'ów na obiedzie, zostały trzy dni. Siedemdziesiąt dwie godziny, które wlekły się Elizabeth w nieskończoność.

Umoralniająca rozmowa z Lucasem w ogóle jej nie wzruszyła. Właściwie wcale jej nie słuchała, dla świętego spokoju przytakując głową, że niby zgadza się ze słowami brata. Uznała, że lepiej będzie nie drażnić go bardziej. Już i tak był dość wściekły za jej samowolną eskapadę.

Jako karę otrzymała całodniowy zakaz opuszczania pokoju, co nawet było jej na rękę. Wolą w ciszy własnej sypialni rozpamiętywać spotkanie z Roderickiem i marzyć o kolejnym rendez-vous.

Lucas jednak nie zamierzał długo odizolowywać siostry. Następnego dnia rano kazał służącej poprosić ją na dół na śniadanie. Milcząca Jane, która od czasu wycieczki do lasu nie miała odwagi spojrzeć Elizabeth w oczy, zaprowadziła ją do jadalni. Lucas już siedział za stołem, ale na widok siostry natychmiast podniósł się i poczekał, aż ona zajmie swoje miejsce. Mimo złości na nią nadal był dżentelmenem w każdym calu.

– Przemyślałaś swoje nieodpowiedzialne zachowanie? – zapytał na wstępie, zanim Jane nałożyła hrabiance porcję naleśników z konfiturą jabłkową i nalała kawy z mlekiem.

– Długo będziesz do tego wracał? – Elizabeth spojrzała na niego poprzez szerokość stołu.

– Tyle, ile będzie trzeba, abyś zrozumiała, co zrobiłaś źle.

Odkroiła widelczykiem kawałek naleśnika. Bezwiednie zaczęła go rozgniatać, tworząc zeń miazgę.

– Lucasie, ja wiem, że masz prawo się na mnie złościć, bo nie posłuchałam twojego polecenia...

– Złościć? To mało powiedziane. Czy wiesz, że mogło ci się coś stać? Gdybyś natknęła się na bestię... Wyglądałabyś jak ten naleśnik, nad którym tak się znęcasz. – Wskazał głową na jej talerz.

– Ale się nie natknęłam – odburknęła.

– Tym razem miałaś szczęście – przyznał. – Co jednak nie znaczy, że tak łatwo puszczę to w niepamięć. Mam do ciebie ogromny żal, gdyż...

– A nie pomyślałaś, że ja też mogę mieć do ciebie żal? – przerwała mu. Ze złością odłożyła widelec na obrus, nawet nie skosztowawszy naleśnika.

– Do mnie? – Lucas zmrużył oczy. – Nie rozumiem, o co ci chodzi, droga siostrze.

– O to, że ukrywałaś przede mną, co się tu dzieje. Traktowałaś jak dziecko, które trzeba chronić.

– Jesteś dzieckiem – zauważył ze spokojem. – Dla mnie nim jesteś.

– Mam skończone siedemnaście lat! Dziewczyny w moim wieku są już żonami.

– Czyżbyś sugerowała, że powinienem wydać cię za mąż? – Uśmiechnął się ironicznie.

Sięgnął po kawę i upił łyk.

Elizabeth denerwowało jego opanowanie.

– Czyli nigdy nie zamierzałaś powiedzieć mi o... bestii?

– Nigdy – przyznał. – Nigdy nie powinnaś się o niej dowiedzieć.

– Dlaczego? Bo uważasz mnie za dziecko? Czy może dlatego, że jestem kobietą, więc nawet mając pięćdziesiąt lat, będę dla ciebie tylko malutką, głupiutką siostrzyczką, którą trzeba odgradzić od świata?

– Czyż opieka nad kobietą nie jest obowiązkiem mężczyzny? – wpadł jej w słowo. – To, że nie chciałem ci o tym mówić, było wynikiem mojej troski.

– A jeśli ja nie potrzebuję twojej troski?! – Uderzyła pięścią w stół, aż zadźwięczały ustawione na nim naczynia. – Jestem kobietą, ale to nie czyni ze mnie kogoś ułomnego. Mam prawo sama decydować o sobie i o tym, co jest dla mnie dobre. Nie możesz podejmować decyzji, nie pytając mnie o zdanie. Nawet jeśli ta bestia jest tak przerażająca, to powinnam o niej wiedzieć. Powinnam mieć świadomość, co mi grozi. Ukrywanie przede mną takiej wiadomości wcale nie sprawi, że będę bezpieczniejsza. Wręcz przeciwnie! Może doprowadzić do tego, że

bezwiednie wystawię się na niebezpieczeństwo.

Elizabeth nie należała do osób czujących respekt przed starszymi. Nauczona przez ojca, że jest takim samym człowiekiem jak mężczyźni, potrafiła walczyć o swoje racje, co nie było zbyt popularne i dobrze widziane w czasach, w których przyszło jej żyć.

Wystąpienie siostry zaszokowało Lucasa. Był na nią zły, że w tajemnicy wyprawiła się do lasu, jednak nie wziął pod uwagę faktu, że sam zawinił, gdyż nie poinformował jej o tym, co dzieje się w okolicy. Starając się ją chronić, niepotrzebnie zataił wiadomość o groźnym niebezpieczeństwie. Gdyby o nim wiedziała, być może nie popełniłaby takiej głupoty.

Odchrząknął z zakłopotania i powoli dopił resztkę kawy. Elizabeth wpatrywała się w niego, zaskoczona, że tak spokojnie przyjął jej wybuch. Denerwowało ją przedłużające się milczenie brata.

– Czemu nic nie powiesz? – zniecierpliwiła się.

– Czasem dobrze jest pomilczeć i zastanowić się nad tym, co chce się powiedzieć. –

Odstawił filiżankę na stół i dał Jane znak ręką, żeby nie dolewała kawy. – Myślę, że każde z nas ma swoją rację. Tu jest naprawdę niebezpiecznie. Nawet mnie trudno jest o tym mówić, a obrazy, które widziałem, na zawsze pozostaną w mojej głowie... Elizabeth, tu giną ludzie! Rozumiesz?

To nie jest zabawa. To się dzieje naprawdę. Najchętniej natychmiast kazałbym nas spakować i wróciłibyśmy do Londynu. Nie mam jednak prawa uciekać z pola bitwy. Jestem właścicielem tego majątku i nie mogę zachować się jak tchórz! Myślałem, że jeśli zamknę cię w domu, odgradzę od tego wszystkiego, to w wystarczający sposób zadbam o twoje bezpieczeństwo.

Chciałem, byś nie musiała się bać. Byś była nieświadoma tych okropieństw. Jak widać byłem w błędzie. Przyznaję, powinienem wyznać ci prawdę. Nie zrobiłem tego i teraz nad tym boleję. Nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić... Może najlepszym rozwiązaniem dla nas będzie, jeśli na jakiś czas pojedziesz do księżnej Sinclair. Przecież bardzo podobało ci się w Szkocji.

– Nie!

Elizabeth poderwała się z miejsca tak gwałtownie, że aż przewróciła filiżankę.

Aromatyczna kawa rozlała się na śnieżnobiały obrus. Jane, stojąca do tej pory tuż za krzesłem hrabianki, natychmiast rzuciła się do sprzątnięcia.

– Zostaw nas samych – powiedział do niej Lucas.

Dziewczyna grzecznie dygnęła przed hrabią i posłusznie wycofała się za drzwi.

– Mnie też odprawisz? – zadrwiła Elizabeth. – To wychodzi ci najlepiej.

– Uspokój się w tej chwili! – Nadal nie wstawał z krzesła. Najspokojniej w świecie sięgnął po maślany rogalik. – Cokolwiek powiesz czy też zrobisz, jest bezcelowe. Jeśli podejmę decyzję, nie będę cię pytał o zdanie.

– Dlatego, że jestem kobietą?

– Dlatego, że jestem za ciebie odpowiedzialny.

– Ale to jest moje życie! Mam takie samo prawo decydować o własnym losie, jak ty o swoim. Nie zamierzam nigdzie stąd wyjeżdżać. Jesteś moim bratem, a ja twoją siostrą. Jesteśmy sobie najbliżsi i powinniśmy się wzajemnie wspierać i chronić...

– A co ja innego robię? Czyż nie chronię cię i nie wspieram?

– Nie! – Potrząsnęła głową. – Ty mi rozkazujesz. Całymi dniami jesteś poza domem i nie zdajesz sobie nawet sprawy, że ja też martwię się o ciebie. Narażasz własne życie, ryzykujesz dla innych... Czy myślisz, że będąc u ciotki, mogłabym zapomnieć, iż wystawiasz się na niebezpieczeństwo? Cały czas wypatrywałam wieści od ciebie i umierałam z niepokoju.

Stanowisz moją jedyną rodzinę. Straciłam rodziców, nie chcę stracić i ciebie. Jesteśmy tu razem i tylko razem wrócimy do domu! Chociaż właściwie tu też jest nasz dom.

Odłożył przełamany rogalik na talerz i wstał z krzesła. Zamaszystym krokiem podszedł do siostry. Jej ostatni występ nie należał do najmądrzejszych, ale, musiał to przyznać, Elizabeth nie była już małą dziewczynką, za jaką ją uważał. Oto stała przed nim młoda kobieta, która w gruncie rzeczy mówiła dość sensownie i miała sporo racji.

– Dobrze, Elizabeth. – Zgodził się. – Niech tak będzie. Dam ci jeszcze jedną szansę.

Zostaniesz tu, ale jeśli nadal będziesz lekceważyć ustalone przeze mnie zasady i choć jeden raz wystawisz się na niebezpieczeństwo, to przyrzekam, że nieodwołalnie wyślę cię do Szkocji. I żadne twoje płacze oraz inne babskie sztuczki na mnie nie podziałają.

Lucas był zły na siebie, że nie potrafił odpowiednio zaopiekować się siostrą. Może gdyby dorastali razem, wszystko wyglądałoby inaczej. Byliby bardziej zżyci i serdeczni wobec siebie.

Lata rozłąki zrobiły jednak swoje. Tego już raczej nie można było nadrobić. Jednak mimo wszystko kochał Elizabeth i zabiegał o jej szczęście, chociaż pojmował je trochę inaczej niż ona.

Nie brał na przykład pod uwagę faktu, że siostra potrafi samodzielnie myśleć. Traktował ją nadal jak małą dziewczynkę, którą przecież od dawna nie była. Musiał to zrozumieć i zaakceptować, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie przyjdzie mu to lekko.

Natłok różnych obowiązków, które spływały na niego po śmierci rodziców, wydawał się nie mieć końca. Zarządzanie majątkami, nadzór nad ludźmi, inwestycje ojca, opieka nad siostrą i jeszcze ta sprawa z bestią... Życie żołnierza, chociaż ciężkie i pozbawione wygód, było niczym w porównaniu z tym obecnym. Lucas nigdy nie sądził, że kiedyś zatęskni za surowymi warunkami w koszarach podczas manewrów.

Po śniadaniu, chcąc ochłoniąć po dość burzliwej rozmowie z siostrą, hrabia Westmoore postanowił udać się na konną przejażdżkę. Oczywiście nie miał na myśli tylko względów rekreacyjnych. Przy okazji zamierzał objechać majątek i sprawdzić, jak radzą sobie wyznaczone przez niego stráže, składające się z okolicznych chłopów wyposażonych w karabiny, z których sam uczył ich strzelać.

Koniuszy podprowadził konia na podjazd przed rezydencją. Lucas przejął od niego skórzane wodze i zwinnym ruchem wskoczył na siodło. Z wysokości spojrzął na dwór, który przez tyle lat kojarzył mu się ze spokojem, a który obecnie stał się centrum dowodzenia podczas łowów na krwiożerczą bestię.

W tej samej chwili z wnętrza domu na taras wyszła Elizabeth. Niespiesznym krokiem podeszła do balustrady i oparła o nią dłonie. Zwróciła twarz w stronę brata. Lucas przez moment miał ochotę unieść dłoń i tak po prostu pomachać do siostry – byłby to odruch zupełnie naturalny. Wstrzymał się jednak z tym gestem. Na pożegnanie jedynie skinął jej głową.

Dostrzegła to, ale nie zareagowała. Nadal była na niego zła. Patrzyła więc tylko, jak Lucas, odczekawszy chwilę, trzyma w dłoni wodze i, odwracając się w stronę otwartej bramy, ścisną boki konia nogami. Ponaglony zwierzę ruszyło z miejsca, szybko przechodząc ze stępu do kłusa, a następnie galopu. Po chwili zniknął pomiędzy szpalerem starych buków.

Obserwowała, jak strażnik zamyka bramę za Lucasem, odgradzając świat zewnętrzny od tego znajdującego się za murami rezydencji. Elizabeth westchnęła. Zazdrościła bratu jego swobody. Cóż by dała, aby móc tak beztrudnie wsiąść na konia i pognać w siną dal, ścigając się z wiatrem...

Po szerokich marmurowych schodach zeszła z tarasu do ogrodu, i tak jak to miała w zwyczaju, udała się alejką pomiędzy starannie przyszczyżonymi żywopłotami, prosto do ukrytego wśród drzew, porośniętego rzesą stawu. Zatrzymała się przy samym brzegu wody. To było jej ulubione miejsce. Nie było stąd widać dworu ani nie było słychać odgłosów z niego dobiegających. Jedynymi dźwiękami, jakie docierały do jej uszu, były ptasie trele i kumkania

żab.

Ogromna wierzba płacząca, rosnąca niemalże na granicy z wodą, smętnie zwieszała gałęzie, muskając nimi ciemnoniebieską taflę. Zdawało się, że faktycznie drzewo płacze, a z jego obwisłych ramion skapują liściaste łzy, których bezmiar utworzył staw.

To miejsce wyjątkowo przypadło Elizabeth do gustu. Lubiła je, gdyż stanowiło jej maleńką oazę ciszy i spokoju. Skryta przed innymi mogła tu siedzieć całymi dniami i rozmyślać.

Czasem przychodziła z książką, gdyż lektura w tak urokliwym zakątku sprawiała jej większą przyjemność, niż czytanie w bibliotece czy też salonie. Wprawdzie leżący nieopodal wierzby powalony, stary pień drzewa nie zapewniał takiej wygody podczas siedzenia jak fotel, jednak w zupełności wystarczał, aby na nim przycupnąć i pograć się w zadumie.

Elizabeth usiadła na pnium i splótłszy dłonie na kolanach zapatrzyła się w połyskującą taflę wody. Myśli dziewczyny odpłynęły w stronę Rodericka. Wyobraziła sobie jego czarne oczy i

magnetyzm, jaki wydawał się z nich promieniować. Z wrażenia zakręciło się jej w głowie, a serce zaczęło szybciej bić. Słyszała wyraźnie każde uderzenie, które zdawało się wręcz rozsadzać klatkę piersiową.

Przymknęła powieki, próbując uspokoić rozszalałe emocje i odgonić od siebie niebezpieczne myśli. Ten mężczyzna zdecydowanie zbyt mocno na nią działał. Aby się nieco opanować, zaczęła liczyć od jednego do dwudziestu i na odwrót. Jej tętno powoli się normowało, chociaż dziwna ekscytacja nadal jej nie opuszczała. Kilkukrotnie odetchnęła głębiej i otworzyła oczy.

I wtedy naprawdę go zobaczyła. Na początku był to tylko cień, zaledwie zarys sylwetki widoczny na tle drzew, ale z każdą chwilą stawał się wyraźniejszy. Od razu miała pewność, że to właśnie on. Nie zastanawiała się ani przez chwilę, skąd się tu wziął, jak tu trafił, ani jak ją znalazł. Od początku podświadomie czuła, że się zjawi.

Roderick podszedł bliżej i zatrzymał się dwa kroki od powalonego pnia drzewa, na którym siedziała. Milczał, ale z uwagą wpatrywał się w Elizabeth, jakby czekając na jej reakcję.

Może myślał, że się wystraszy? Właściwie powinna się go bać, bo, prawdę mówiąc, prawie go nie знаła, a poza tym Roderick wdarł się na teren rezydencji, co samo w sobie było złe i niestosowne. Ale Elizabeth miała gdzieś konwenanse. Czuła się tak, jakby znała Robillarda od samych początków świata i miała dziwną pewność, że on tak samo postrzega ją. Jego spojrzenie jej o tym powiedziało. Podniosła się z pniaka i postąpiła krok ku niemu. Teraz stali tak blisko siebie, że jego oddech owiewał jej twarz.

Roderick, tak jak poprzednim razem, ubrany był w czarny strój. Nie miał na sobie peleryny, surduta ani kapelusza, które to składniki garderoby uznawane były wręcz za nieodzowne przez panów z towarzystwa. Jedwabna cienka koszula z ząbotem i wywiniętymi mankietami, wąskie spodnie opinające zgrabne, umięśnione nogi, wysokie czarne buty, wszystko z dobrego gatunkowo materiału, pozwalały wysnuć przypuszczenie, że Robillard należy do osób zamożnych. O jego wysokim statusie materialnym świadczył też fakt, że stać go było na wynajem wielkiego domu Ettonów, w którym Elizabeth wprawdzie nigdy nie była, ale kiedyś widziała go z daleka podczas jednego z wcześniejszych pobytów na wsi.

– Dziękuję – wyszeptała, decydując się pierwsza przerwać nienaturalną ciszę, w której wyjątkowo głośno słychać było bicie jej serca. – Dziękuję, że uratował mi pan życie.

Nie odpowiedział. Cały czas intensywnie się w nią wpatrywał, a był przy tym tak skupiony i poważny, że w pewnym momencie poczuła dziwny lęk. Wyczuł to chyba, bowiem na jego twarzy pojawił się wyraz smutku.

Wyciągnął rękę i opuszkami palców delikatnie dotknął włosów Elizabeth. Wydał przy tym jakiś dziwny dźwięk, ni to jęk, ni to zawodzenie. Mimowolnie zadrżała, a on momentalnie opuścił dłoń.

– Boisz się mnie? – zapytał tym swoim uwodzicielskim, śpiewnym głosem, który tak bardzo na nią działał. Nawet nie zauważyła, że zwrócił się do niej bezpośrednio, bez stosowania grzecznościowych tytułów.

– A powinnam? – Teraz to ona wyciągnęła ku niemu rękę.

Nie cofnął się przed jej dotykiem, chociaż początkowo miał taki zamiar. Pozwolił, aby musnęła jego twarz, aby odgarnęła mu z czoła niesforne kosmyki. Od lat nikt go nie dotykał, nikomu nie pozwalał się do siebie zbliżyć, ale dotyk tej dziewczyny sprawiał mu przyjemność.

Dawał mu namiastkę czegoś ludzkiego. Czegoś, o czym już prawie zapomniał.

Chciał jej powiedzieć, że powinna uciekać, natychmiast stąd wyjechać, zaszyć się w jakimś ustronnym miejscu, gdzie by jej nie wytropił. Gdyby jednak tak się stało, wiedział, że przez resztę życia szukałby jej i nic by nie mogło go zatrzymać. To, co przepowiedziała Caroline, stało się faktem, i oto miał przed sobą dziewczynę, która trzymała w swoich dłoniach jego los.

Elizabeth czekała na odpowiedź, ale ponieważ jej nie otrzymała, ponowiła swoje pytanie.

– A powinnam? Przecież to pan uratował mi życie. Musi pan być dobrym człowiekiem.

Zaśmiał się krótko, tak jakoś nienaturalnie, ale mogłaby przysiąc, że jego twarz rozpoznała się, już nie była taka posągowa.

– Człowiekiem? Dobrym? – powtórzył z niedowierzaniem, tak jakby jeszcze raz chciał usłyszeć te wyrazy. – Od bardzo, bardzo dawna nikt mnie tak nie nazywał. – Znowu spoważniał.

– Dla mnie jest pan najwspanialszym bohaterem – zapewniła gorąco. – Naprawdę jestem wdzięczna losowi, że postawił pana na mojej drodze.

– Raczej powinnaś przeklinać swój los. – Odsunął się od niej i potrząsnął głową. Dziś nie miał spiętych włosów, więc te swobodnymi kaskadami opadały mu na ramiona i rozwiewane przez wiatr chwilami przesłaniały twarz.

– Dlaczego? – zaciekała się.

– Bo dla ciebie byłoby lepiej, gdybyś mnie nigdy nie poznała.

Odwrócił się, jakby chciał odejść, a wtedy Elizabeth pochwyciła go za łokieć.

Zdecydowała się na taki gest, chociaż mogło to zostać odebrane jako narzucanie się.

– Zostań – poprosiła, również rezygnując z tytułowania.

– Czy wiesz, o co mnie prosisz? – zapytał z niedowierzaniem.

Skinęła głową. Wahał się jeszcze przez chwilę. Odejść było łatwiej niż zostać.

Odchodząc, dalej byłby sobą, zostając, skazywał się na męki. Siebie i ją... Nie mógł jednak jej zostawić. Ta dziewczyna była częścią jego duszy, człowieczeństwem, o którym myślał, że stracił

je bezpowrotnie. Już sam fakt, że stał tu przy niej, że uratował ją, że rozmawiał z jej bratem...

Tyle osób go widziało i wszystkie nadal żyły. Zazwyczaj jego twarz była jedyną rzeczą, jaką człowiek widział przed wydaniem ostatniego tchnienia.

Elizabeth wyminęła go i podeszła do brzegu stawu. Końce jej długiej krynoliny dotknęły tafli wody. Patrzył na tę dziewczynę i zdawał sobie sprawę, jak bardzo była bezbronna i krucha.

Gdyby teraz rzucił się na nią, nie zdążyłaby nawet krzyknąć. Może tak właśnie powinien zrobić?

Pozbyłby się wspomnień swego człowieczeństwa, uwolnił od tego nieznośnego bólu. Oczy Rodericka nabiegły krwią. Poczul falę gorąca, która zalała jego ciało. Nieznośne pragnienie zdawało się przejmować kontrolę nad umysłem mężczyzny. Brakowało tak niewiele, aby spełnił swój zamiar. Jeszcze chwila i rzuciłby się na Elizabeth. Jednym ruchem rozszarpałby jej gardło i pił krew, która trysnęłaby z rany. O tak! Piłyby ją i pił. Niemalże widział czerwone kaskady, jeszcze ciepłe i tętniące życiem. Och, poczuć ten smak, ten aromat! Zatracić się w nim, tak jak zawsze.

Ostatkiem sił odgonił od siebie tę przerażającą wizję. Zaciśnął dłonie w pięści i z całej

siły walnął w powalony konar drzewa. Elizabeth nie widziała tego, ponieważ stała do niego tyłem, zapatrzona w toń stawu, jednak kiedy usłyszała huk, odwróciła się i zobaczyła roztrzaskany pień, na którym przed chwilą siedziała.

– Co się stało? – Z przerażeniem patrzyła na mężczyznę, który lekko pochylony, z przesłoniętą włosami twarzą, dyszał ciężko, jak po długim biegu.

– Widzisz ten pniak? To mogło spotkać ciebie – odpowiedział sucho, prostując się. –

Mogę cię zniszczyć w ułamku sekundy. – Dосkoczył do niej i pochwycił w ramiona, zamykając w mocnym uścisku. – Czy ty nie rozumiesz, kim jestem? Nie rozumiesz, czym jestem?

Nie chciała rozumieć. Nie chciała wiedzieć. Nawet gdyby był samym diabłem. Było to jej zupełnie obojętne. Najważniejsze, że stał tu, koło niej, i trzymał ją w ramionach. W nich mogłaby umrzeć. Nawet teraz, zaraz.

– Byłeś u mnie w pokoju. Przyniosłeś mi mój wianek... – Sama nie wiedząc dlaczego, z ufnością przytuliła policzek do jego piersi. Czuła się taka bezpieczna, chociaż było to przecież irracjonalne. – Nie wiem, jak się tam dostałeś, bo mniemam, że nie potrafisz latać...

Roześmiał się.

– Potrafię być, gdzie tylko zechcę – wyszeptał, pochylając głowę. – Mogę być, kim zechcę. Nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych. Jestem niepokonany... Byłem niepokonany do dnia, w którym spotkałem ciebie – poprawił się.

– Nie jesteś człowiekiem – raczej stwierdziła niż zapytała. Wyczuła to już wcześniej, ale odsuwała od siebie tę myśl.

– Nie jestem – potwierdził. – Ludzie na sam dźwięk nazwy, którą mnie obdarzyli, uciekają w popłochu.

– Ja nie uciekam. Nieważne, kim jesteś. Uratowałeś mnie, nie możesz więc być potworem.

– Gdybyś mnie znała, nie byłabyś tego taka pewna. – Z lubością wdychał zapach jej włosów. Pachniały tak pięknie mieszanką kwiatów i ziół... – Gdyby twój brat wiedział, kim jestem, nie ucinałby sobie ze mną miłej pogawędki. – Ta myśl rozbawiła go. – Zaprasza do własnego domu swojego największego wroga... Wydaje obiad dla kogoś, kto jest postrachem całej okolicy... Dla kogoś, kogo tropią bezskutecznie od tyłu wieków... Dla kogoś, kto jest...

bestią... – dokończył ciszej.

Elizabeth już знаła prawdę. Właściwie domyśliła się jej wcześniej. Od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła, miała wrażenie, że jest to ktoś niezwykły, ktoś wzbudzający strach, ktoś, kogo ona może się jednak nie lękać. Bestia... Potwór... Morderca... Istota nie z tego świata, której jedynym celem było zabijanie ludzi. Istota, na którą polował Lucas. Istota, którą pokochała z całego serca.

Co zaskakujące, Elizabeth nie bała się o siebie, nie bała się o brata, nie bała się o tych wszystkich wieśniaków. Bała się o Rodericka. O to, że jego sekret może się wydać, a wtedy mężczyzna zostanie zabity. Poczucia potrzebę chronienia go, chociaż było to zupełnie niedorzeczne. Tu, w tym parkowym zakątku, zasłonięci przed wzrokiem służby, trwali w uścisku swoich ramion, wydając się oderwani od rzeczywistości. To nie mogło jednak trwać wiecznie.

– Panienko Elizabeth!

Z oddali doleciał głos Jane. Widocznie służba zaniepokojona długą nieobecnością hrabianki zaczęła jej szukać. Roderick momentalnie się wyprostował, wypuszczając Elizabeth z objęć. Przycisnął się tak, jakby szykował się do ataku.

– Spokojnie. – Elizabeth położyła mu dłoń na ramieniu, gestem, jakim zazwyczaj uspokaja się niesfornego psiaka. – To tylko Jane. Muszę iść do domu. Bardzo mnie tu pilnują.

Boją się bo...

– Bo bestia grasuje w pobliżu – dokończył z ironią.

– Dla mnie nie jesteś bestią – zapewniła żarliwie. – Jeśli robiłeś to, o czym mówią, to domyślam się, że byłeś do tego zmuszony.

– Jeśli chcę żyć, muszę zabijać. Potrzebuję tych ludzi... Potrzebuję ich krwi...

Na moment zabrakło jej tchu w piersiach. Jakoś trudno jej było wyobrazić sobie tego pięknego mężczyznę zabijającego bezbronnych wieśniaków i pijącego ich krew. W jej głowie odżyły wszystkie zasłyszane w Londynie historie. Zaraz, zaraz... Kto żywi się krwią, kto zabija ludzi, kto żyje wiecznie? Wampir!

Bez trudu odczytał jej myśli i zobaczył to obrzydzenie, które wywołało w niej wyobrażenie jego jako krwiożerczego drapieżnika. Czyli jednak się go bała! Czuła przerażenie i wstręt do tego, co robił. Odwrócił się, aby odejść i uciec jak najdalej od Elizabeth i tego ciepła, które od niej biło.

– Nie odchodź. – Powstrzymała go ponownie. – Chcę, abyś został. Teraz muszę iść do domu, ale wrócę tu. Obiecuję. To będzie takie nasze tajne miejsce.

– Chcesz spotkać się ze mną ponownie? – Zaskoczyło go to oświadczenie. Po tym, co usłyszała, nadal miała ochotę przebywać w jego towarzystwie.

– Chcę – zapewniła. – Przyjdę tu po obiedzie i dokończymy naszą rozmowę. Czekać na mnie.

– Panienko Elizabeth. – Głos Jane słyhać było coraz bliżej.

Elizabeth nieśmiało uśmiechnęła się do Rodericka i pobiegła ku nadchodzącej służącej.

ROZDZIAŁ V

Przejażdżka nie pomogła Lucasowi się odprężyć. Kolejny atak bestii, tym razem tuż koło dworu, i to za dnia, nie wróżył nic dobrego. Okazało się, że rozstawione strażę, wyposażone w karabiny, na niewiele się zdały. Ciało dwóch mężczyzn zrekrutowanych do obrony przed bestią, zostały odnalezione właśnie przez Lucasa. Leżały na poboczu, tuż przy samej drodze, a bezużyteczna broń spoczywała w bezpośredniej ich bliskości. Sądząc po tym, że nie została odbezpieczona, napadnięci nawet nie zdołali po nią sięgnąć. Wyglądało to tak, jakby do ostatniej chwili nie zdawali sobie sprawy, że zaraz zginą. Napastnik zaskoczył ich zniemacka, uniemożliwiając jakąkolwiek reakcję.

Obrażenia mężczyzn jednoznacznie wskazywały na atak bestii. Rozszarpane gardła i ciała pozbawione krwi. Tym razem jednak oprawca wykazał się większym okrucieństwem. Wręcz oddzielił głowy ofiar od tułowia.

Nie to jednak najbardziej przerażyło Westmoore'a. Najgorsza była świadomość, że bestia zaatakowała w bezpośredniej bliskości rezydencji, tak jakby naigrawając się ze wszelkich wysiłków Lucasa, mających na celu zapewnienie bezpieczeństwa w okolicy i dając mu tym samym znać, że nadchodzi. Że jest tuż obok.

Zagrożenie okazało się większe, niż hrabia przypuszczał, musiał więc zacząć wdrażać bardziej radykalne działania. Natychmiast udał się do kolejnego punktu obserwacyjnego i przekazał wiadomość o ataku oraz polecił zorganizować ludzi do zabrania zwłok. Następnie zawrócił do rezydencji, postanawiając zająć się tym, co najważniejsze. Elizabeth.

Lucas zrozumiał, że dalsze przetrzymywanie siostry na prowincji nie ma sensu. W

okolicy zrobiło się naprawdę niebezpiecznie. Jeśli bestia potrafiła podejść do uzbrojonych ludzi i pokonać ich z taką łatwością, to przecież bez problemu mogła sforsować mur rezydencji i wdrzeć się do środka. Szykowała się długa walka, w której Elizabeth nie powinna brać udziału.

Westmoore zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej by było, gdyby zamiast oddawać siostrę pod opiekę jednej z ciotek, po prostu wydać ją za męża. Dziewczyna była przecież w odpowiednim wieku do zamążpójścia, a i pewnie byłoby wielu kandydatów, chcących ją poślubić. Gdyby znalazł się jakiś porządny, uczciwy mężczyzna, oczywiście z odpowiednią pozycją społeczną, mógłby zaopiekować się Elizabeth i zdjąć jeden ciężar z ramion Lucasa. Co więcej, w razie gdyby Lucasowi coś się stało, jego siostra miałaby zapewnione wsparcie.

Przez jedną króciutką chwilę w umyśle hrabiego pojawił się obraz Robillarda jako przyszłego męża Elizabeth, ale szybko odgonił od siebie tę myśl. Przy całej swojej wdzięczności do Rodericka za uratowanie siostry, podświadomie czuł, że nie powinien mu ufać. W postawie tego mężczyzny było coś dzikiego, niewytłumaczalnego. Nawet jego oczy wydawały się takie szatańskie, zupełnie niepodobne do oczu człowieka. Lucasowi kojarzył się raczej z drapieżnikiem, niż z człowiekiem. Nie był pewien, czy dobrze zrobił, zapraszając go na sobotni obiad. Jego wątpliwości jeszcze się spotęgowały, gdy wypytyjąc w okolicy o obecnego najemcę domu Ettonów, nie uzyskał żadnej informacji o czarnowłosym mężczyźnie. Nikt go nie znał.

Nikt nic o nim nie wiedział.

– Jaśnie panie... – Joseph powitał hrabiego przy drzwiach. – Jak minęła przejażdżka?

– Gdzie jest moja siostra? – Nie odpowiedział na zadane pytanie.

– W jadalni. Właśnie kończy obiad. Chcieliśmy poczekać na jaśnie pana, ale pan tak długo nie wracał... Czy coś się stało?

– Później, Joseph. – Zniecierpliwiony machnął ręką, uciszając sługę. Pospiesznie przeszedł holem w stronę jadalni.

Elizabeth właśnie kończyła posiłek i tęsknie zerknęła w stronę wielkich okien wychodzących na ogród. Myślami była już przy Rodericku. Słyszając dźwięk otwieranych drzwi, spojrzała w stronę wejścia.

– Chciałbym z tobą porozmawiać, Elizabeth. – Lucas podszedł do stołu, ale nie odsunął krzesła i nie zajął miejsca.

– O czym? – Uniosła głowę, patrząc mu prosto w oczy. – Jeśli masz zamiar znowu prawić mi kazania za wczoraj...

– Podjąłem decyzję dotyczącą twojej przyszłości. – Lucas położył obie dłonie na zagłówku krzesła i mocno zacisnął na nim palce.

– Mojej przyszłości? A to bardzo ciekawe – przyznała, odsuwając od siebie talerz. – A nie pomyślałeś, że powinieneś zapytać mnie, czego ja bym chciała? Podjąłeś decyzje dotyczące mojego życia, nie pytając mnie o zdanie?

– Żyjemy w świecie, w którym nikt nie pyta młodych dziewcząt, czego by chciały.

– I to jest błąd! – krzyknęła. – Te, jak je nazwałeś, młode dziewczęta, też mają rozum i pragnienia...

– Tylko są zbyt młode, aby wiedzieć, co jest właściwe – uciął krótko. – Twoja nierozważna eskapada do lasu jest dowodem na słuszność moich słów. Nie masz się co spierać, Elizabeth. To ja jestem twoim prawnym opiekunem i to ja muszę zatroszczyć się o twoją przyszłość. Odesłanie do ciotki, o którym wcześniej myślałem, nie rozwiązuje problemu. Jeśli coś by mi się stało, pozostałabyś bez należytej opieki. Dlatego postanowiłem, że to najlepsza pora, aby wystarać się dla ciebie o odpowiednią partię.

– Co? – Gwałtownie podniosła się z krzesła. – Jaką partię? Chcesz znaleźć mi męża?

– Dokładnie tak. – Skinął głową.

Zagryzła wargi i przez chwilę mierzyła go wzrokiem. Po prostu nie mieściło się jej w głowie, że mógł powiedzieć coś takiego.

– Nie jestem specjalistą od mariaży – ciągnął dalej Lucas – ale zasięgnę porady naszych ciotek. Na pewno znajdziemy ci odpowiedniego męża.

– Mówisz o tym tak, jakbyś chciał kupić mi szczeniaczka! – Nie zdołała dłużej powstrzymać emocji. – Nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała! Nie cierpisz mnie! Wręcz nienawidzisz, gdyż przeze mnie musiałeś opuścić armię. Wiem, że jestem dla ciebie przykrym obowiązkiem. Ale żebyś mnie tak potraktował? To jest... To jest po prostu podłość!

–

Rozpłakała się i odsunawszy z rozmachem krzesło, wybiegła z jadalni.

– Elizabeth, wróć tu w tej chwili! – krzyknął za nią. – Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy!

Nie zareagowała. Szybko pokonała schody i odprowadzana spojrzeniem zaskoczonego Josepha, który stał przy frontowym wejściu, dostała się na piętro. Wpadła do swojego pokoju, głośno zatrzaskując za sobą drzwi, tak aby Lucas na dole mógł to usłyszeć.

– Nienawidzę go! – krzyknęła i z płaczem rzuciła się na łóżko. Ukryła twarz w poduszce i pozwoliła swobodnie spływać łzom.

Roderick usłyszał łkanie Elizabeth, chociaż w tej chwili znajdował się spory kawałek od rezydencji. Odkąd zobaczył ją w lesie i napotkał spojrzenie jej niebieskich oczu, miał wrażenie, że jest z nią w niewytłumaczalny sposób połączony. Uratował ją wtedy przed śmiercią, gdyż nie byłby w stanie patrzeć na cierpienie tej dziewczyny. Teraz też nie mógł pozostać obojętny na jej rozpaczliwy szloch. Elizabeth była nieszczęśliwa, czuł to. Przyzywała go całą sobą, musiał więc

się zjawić, nawet jeśli akurat przebywałby w najgłębszych czeluściach piekieł.

W okamgnieniu, korzystając ze swoich nadprzyrodzonych zdolności, zjawił się w jej pokoju. Odległość, wysokość, zamknięte drzwi i okna nie stanowiły dla niego przeszkody. Stał

przy łóżku Elizabeth i patrzył na tę kruchą istotę, wstrząsaną spazmatycznym szlochem.

Odczuwał cały ogrom jej cierpienia, nie wiedział jednak, co powinien zrobić, aby ją pocieszyć.

Taka sytuacja była mu zupełnie obca. Od wieków nie przejmował się niczym ani nikim. Myślał, że już wiecznie tak będzie, a tymczasem...

– Elizabeth... – wyszeptał, po czym ostrożnie przysiadł na brzegu łóża i uniósł dziewczynę za ramiona. Przyciągnął ją do siebie. – Elizabeth – powtórzył.

Pochyliła głowę, zasłaniając twarz długimi włosami, tak aby nie widział jej zapłakanej, i skuliwszy się, przywarła do niego całą sobą. Chociaż pojawienie się Rodericka samo w sobie było czymś niezwykłym, Elizabeth podeszła do tego jak do czegoś najnormalniejszego w świecie. Nawet on dziwił się, że tak łatwo zaakceptowała to, kim naprawdę był. Co więcej, nie tylko zaakceptowała. Ona mu zaufała. Ta ufność po części go przerażała, a po części napawała radością, gdyż dawała cię nadziei, że to, co mówiła Caroline, może być prawdą.

– Już dobrze, dobrze. – Odgarnął włosy z twarzy Elizabeth i uniósł jej podbródek, zmuszając, aby spojrzała mu prosto w oczy. Zobaczył łzy skrzące się na jej rzęsach, rozmazane na policzkach... Opuszkami kciuka starł jedną z nich i przez chwilę patrzył, jak kropla błyszczy na jego palcu. Ten widok zafascynował Rodericka. Łzy były mu obce. Sam nigdy nie płakał, chociaż gdzieś tam, w zakamarkach jego mrocznej duszy, tliło się wspomnienie o nich. Było jednak tak odległe, że prawie nierealne.

– Nie powinno cię tu być. – Elizabeth pierwsza ochłonęła i zrozumiała, że Robillard wiele ryzykuje, zjawiając się w jej pokoju. – Gdyby Lucas cię zobaczył...

– Nie zobaczy – zapewnił cicho. – Nikt mnie nie zobaczy, zaufaj mi. – Sam się zdziwił, że poprosił ją o zaufanie. On, okrutna bestia z lasu, śmiał poprosić tę kruchą dziewczynę, aby bezgranicznie mu zawierzyła?

– Ufam ci. – Jej deklaracja jeszcze bardziej go zaskoczyła. – Lucas chce, abym wyjechała. Boi się, że tu nie jest zbyt bezpiecznie. A poza tym... – zawahała się. – On chce znaleźć mi męża...

Milczał, wpatrując się w Elizabeth i zastanawiając nad tym, co mu powiedziała i co sam wyczytał z jej umysłu. Lucas zamierzał ją stąd odprawić, gdyż obawiał się o jej bezpieczeństwo.

Dopóki bestia grasuje w pobliżu, nikt nie może czuć się pewnie. Jednak jeśli bestia by zniknęła...

Roderick nagle zapragnął stać się tak bardzo ludzki, jak to tylko możliwe. Dla Elizabeth byłby gotów na każde poświęcenie. Tylko jak przeżyć, nie zaspokajając głodu? Przecież

pragnienie, które odczuwał, zdawało się skręcać każdą komórkę jego ciała. Czy byłby w stanie nad nim zapanować? Raz już zawiódł...

– Nie chcę stąd wyjeżdżać – rozpaczła Elizabeth. – Nie chcę cię opuszczać.

– Nie opuścisz – przemówił, a spokojny ton jego głosu podziałał na nią niczym balsam na zbolełą duszę. – Będę wszędzie tam, gdzie ty. Nie czuję się przywiązany do żadnego miejsca na tym świecie. Jestem wolny i mogę być wszędzie, gdzie zechcę. Nic mnie nie zatrzyma, pójdę wszędzie, gdzie się udasz.

– Ale Lucas chce, abym wyszła za męża. Abym poślubiła jakiegoś mężczyznę... A ja nie chcę nikogo... – „Prócz ciebie” – pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. On jednak odczytał jej myśli.

– Nie, Elizabeth, ja nie jestem odpowiednim partnerem – zaprotestował. – Za mną idzie tylko śmierć. Mogę być w pobliżu ciebie, bo pewnie nie zniosłbym rozstania z tobą, ale nie możesz wiązać ze mną swojej przyszłości. Ty masz życie. Ja już nie.

– Przecież żyjesz – upierała się. – Jesteś tu ze mną, rozmawiasz, oddychasz.

– Tak, masz rację. Chodzę, oddycham, rozmawiam... Nawet odczuwam emocje. Ale jest coś, co różni mnie od ludzi. Aby istnieć, muszę zabijać. Zawsze będę mordercą! Będę nieść ból, strach, śmierć. Nie chcę dla ciebie takiej przerażającej przyszłości. Cokolwiek czuję, nie może to być ważniejsze niż twoje długie, szczęśliwe życie. Kiedyś, za wiele lat, gdy będziesz już pogodną staruszką otoczoną wianuszkami wnucząt, przyznasz mi rację. Gdy nadejdzie kres twych dni, zaśniesz spokojnie, żegnana przez najbliższych. Obiecuję, że zawsze będę w pobliżu ciebie, chociaż nikt nigdy mnie nie zobaczy. Będę przy tobie do samego końca, a później odejdę wieść dalej swoje bezsensowne istnienie, ciągle mając pod powiekami twój obraz. Spotkanie z tobą zmieniło mnie, pozwoliło odkryć coś, o czym nie miałem pojęcia. Będę ci za to wdzięczny przez całą wieczność.

– Nie, nie, nie! – Potrząsnęła głową i zatkała uszy rękoma. – Nie chcę tego słyszeć. Nie!

Nie! Nie!

– Elizabeth, to, co nas łączy, jest zaprawdę wspaniałe, ale niemożliwe. Ty i ja to dwa różne światy. Mój świat to świat mroku, twój to polana zalana słońcem. I tak ma pozostać.

– Nie! Zobaczysz, przekonam cię, że te światy mogą się połączyć. Jeśli jesteś mrokiem, to ja rozświetlę twoje istnienie.

– Chciałbym wierzyć, że to możliwe – zapewnił. – Jednak zbyt dobrze znam życie i wiem, że istoty takie jak ja nie zasługują na szczęście. Właściwie, dla twojego własnego dobra, powinienem jak najprędzej odejść stąd i nigdy nie wracać. Ale nie potrafię. Tam, w lesie, gdy cię zobaczyłem stojącą przed tym wilkiem... To niesamowite, ale w ułamku sekundy zrozumiałem, że jesteś dla mnie kimś niezwykle ważnym. Sam nie wiem, jak to opisać. Caroline mówiła mi, że spotkam dziewczynę, która zmieni moje życie, ale jej nie wierzyłem. Myślałem, że kłamię. Jak ktoś taki jak ja mógłby liczyć na cud? Jak mógłby oczekiwać, że ktoś go pokocha? Przepraszam cię, za to, że pojawiłem się w twoim życiu i wprowadziłem tyle zamętu.

– Nie przepraszaj. Ja czuję to samo i...

– Ciii – uciszył ją, kładąc palec na jej ustach. – Lucas tu idzie. – Poderwał się z miejsca i zniknął, jakby rozpułnął się w powietrzu. Elizabeth nawet nie zdołała się zorientować, co się dzieje. Jeszcze chwilę temu przytulał ją do swojej piersi, a teraz siedziała całkiem sama na łóżku w zupełnie pustej sypialni.

Rozległ się szczepek klamki i drzwi się otworzyły. Do pokoju wszedł Lucas. Zdążył już odbyć krótką rozmowę z Celeste, która poinformowana przez Jane, obecną podczas kłótni w jadalni, o jego decyzji względem Elizabeth, pospieszyła udzielić mu dobrej rady. Chociaż na początku nie zamierzał słuchać słów służącej, szybko zrozumiał, że stara kobieta ma sporo racji.

Zagalopował się w swoich braterskich obowiązkach, uznając, iż sam wie najlepiej, co jest dobre dla jego siostry i przez to nieświadomie ją zranił. Elizabeth to nie jeden z jego podwładnych, którym mógł wydawać rozkazy.

– Czy mogę ci przeszkodzić? – zapytał niepewnie, zatrzymując się zaraz za progiem.

– Czyżbyś już znalazł mi odpowiedniego kandydata na męża? – zadrwiła. – Bardzo szybko, braciszku.

– Przepraszam za moje wcześniejsze słowa. – Zamknął drzwi i postąpił kilka kroków w jej stronę. – Nie powinienem proponować czegoś takiego.

– Proponować? Ty po prostu poinformowałeś mnie o tym, co zrobisz. To nie była propozycja tylko...

– Wiem – przerwał jej. – I za to przepraszam. Wybacz mi, Elizabeth. Bycie twoim opiekunem to dla mnie nowość. Nie za bardzo wiem, jak w tym wszystkim się poruszać. Niestety nie uczą tego w szkole oficerskiej – spróbował żartować. – Bardzo się staram sprostać tej roli.

Zależy mi na twoim szczęściu, a przede wszystkim bezpieczeństwie. Gdyby coś mi się stało...

Jesteś czytana dziewczyną, więc dobrze wiesz, że w przypadku mojej śmierci cały majątek przejdzie w ręce naszego dalekiego kuzyna. Ty będziesz miała wypłaconą tylko niewielką rentę po rodzicach. Pomyślałem więc, że gdybym wydał cię za mąż...

– To twój najgłupszy z pomysłów!

– Być może – przyznał.

– Co? – Pospiesznie, wierzchem dłoni, wytarła łzy z policzków. – Zgadasz się ze mną, że to głupi pomysł? – zapytała z niedowierzaniem.

– Być może jest głupi – odpowiedział ostrożnie. – Jeśli nie jesteś gotowa na małżeństwo, nie będę cię zmuszał. Bezwzględnie jednak musisz stąd wyjechać.

– Nie! – stwierdziła twardo.

– Jak to nie? – zdziwił się.

– Chcę tu zostać.

– Ale tu jest niebezpiecznie. Bestia nie odpuszcza. Dziś, podczas konnej przejażdżki, natknąłem się na ciała dwóch mężczyzn, którzy patrolowali teren w pobliżu rezydencji. Czy ty to rozumiesz, Elizabeth? To byli uzbrojeni ludzie, których sam szkoliłem. Bestia nie dała im żadnych szans. Pomyśl tylko, co by się stało, gdyby sforsowała ogrodzenie i dopadła ciebie?

Elizabeth nerwowo splótła dłonie. A gdyby Lucas dowiedział się, że bestia przechadzała się dziś nad stawem i chwilę temu siedziała na łóżku w tym właśnie pokoju...?

– Obiecuję bardzo na siebie uważać – zapewniła.

– Obawiam się, Elizabeth, że to nie wystarczy. Nie ma przeszkody, której bestia by nie pokonała. Czasami mam wrażenie, że to jakiś demon. Zastanawiające jest to, że te ataki pojawiają się regularnie co kilkadziesiąt lat... Jakby były związane z jakimś cyklem...

- Lucasie, demony nie istnieją! To musi być zwierz. Może to wędrujący gatunek, który co jakiś czas wraca w te same rejony. Wiesz, czytałam o takich zwierzętach i...

- Wątpię, Elizabeth, aby to był zwierz.

- Dlaczego? Masz jakieś dowody?

- Żadnych. Po prostu to moje przeczucie.

- Przeczucie to dość niepewna rzecz. Trudno na nim polegać. Proszę, wstrzymaj się z odsyłaniem mnie do ciotki. Poczekajmy jeszcze kilka dni. Jeśli faktycznie ataki nie ustaną, to wtedy wrócimy do tego tematu.

- Elizabeth, Elizabeth. - Pokręcił głową. - Czemu nie możesz być jak inne panienki w twoim wieku? Ataki nie ustaną, dopóki nie dopadniemy bestii.

- Proszę. - Złożyła ręce jak do modlitwy. - Nie odsyłaj mnie, bo jeśli coś ci się stanie, nie przeżyję tego. Wtedy, gdy umierali nasi rodzice, też byłam daleko od domu, jednak nie zdawałam sobie sprawy, że zostałam sierotą. Teraz, gdybyś wysłał mnie do ciotki, wiedząc, co tu się dzieje, przez cały czas zdręczałabym się myślami, czy nadal żyjesz, czy nic ci się nie stało.

To by była prawdziwa katusza. Chcesz tego dla mnie?

Patrzył na nią w napięciu, marszcząc przy tym czoło, co było oznaką tego, że intensywnie myślał. Nie mógł odmówić sensu słowom Elizabeth. W jego duszy toczył się zacięty bój pomiędzy tym, co właściwe, a tym, czego sam by chciał. Rozumiał podejście Elizabeth i doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że będąc na jej miejscu, zachowywałby się podobnie.

- Dobrze, Elizabeth. - Wreszcie podjął decyzję. - Trzy dni. Nie dłużej. Jeśli ataki będą się powtarzać, to nieodwołalnie jedziesz do Szkocji.

Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia, uznając, że to już koniec rozmowy.

- Dziękuję! - krzyknęła za nim.

- Ale jeden twój kolejny wybryk i nasza umowa przestanie obowiązywać - przestrzegł, zatrzymując się przy drzwiach. - Żadnego samowolnego opuszczania rezydencji.

- Ale do ogrodu mogę wychodzić? - zapytała z niepokojem.

- Lękam się, że tam może nie być zbyt bezpiecznie. Na razie zostań w domu.

- W domu? - Jęknęła. - Chcesz mnie uwięzić?

- Masz wybór. - Uśmiechnął się do niej. - Ten, o który tak walczyłaś. Szkocja lub zamknięcie w domu.

Chwyciła poduszkę z łóżka i rzuciła w stronę brata, ten jednak zdołał się uchylić.

- Wiesz co?! To nie bestia jest przerażająca! Prawdziwym potworem jesteś ty!

Elizabeth miała nadzieję, że gdy Lucas opuści jej pokój, natychmiast zjawi się w nim Roderick. Wypatrywała go z niecierpliwością, krążąc od drzwi do okna. Każdy szelest sprawiał, że serce dziewczyny zaczynało szybciej bić, a wzrok nerwowo przesunął się po pokoju w poszukiwaniu Robillarda. Zamykała powieki, przekonując się w myślach, że gdy je otworzy, on będzie przed nią stać. Ale ilekroć je otwierała, jego nadal nie było.

Zegar na dole wybił osiemnastą i pokojówka zaanonsowała kolację, jednak Elizabeth nie zamierzała na nią zejść. Otworzyła okno i mimo iż niebo zachmurzyło się i pierwsze krople deszczu zaczęły spadać na ziemię, usiadła przy nim. Wzmagający się wiatr targał jej włosy i szarpał materiał cienkiej sukienki, a ona niczym posąg trwała w bezruchu i wpatrywała się przed siebie, tak jakby chciała przywołać wzrokiem Rodericka.

Nieobecność siostry podczas kolacji nie zaniepokoiła Lucasa. Był pewien, że Elizabeth ciągle się na niego dąsa, postanowił więc dać jej trochę czasu na ochłonięcie. Uznał, że kolejna sprzeczka nic by nie wniosła, a w obecnej sytuacji, gdy każde z nich twardo stało przy swoich racjach, dojście do porozumienia nie wchodziło w rachubę. Już i tak wykazał maksimum dobrej woli, pozwalając Elizabeth zostać w rezydencji. Gdyby miał w sobie więcej stanowczości, bez wahania wysłałby ją do księżnej Sinclair.

– Czy zanieść panience posiłek na górę? – zapytała Jane, gdy Lucas opuszczał jadalnię.

– Jeśli nie zjawiała się na kolacji, to znaczy, że nie jest głodna – uznał.

Jane pozbierała naczynia i udała się do kuchni.

– No nie zjedli w ogóle – zaczęła biadolić Celeste, gdy zobaczyła ledwie tknięte półmiski.

– Człowiek się stara, a oni...

– Panienska Elizabeth nie zeszła na posiłek – wyjaśniła Jane.

– Jak to nie zeszła? – Kucharka oparła dłonie na biodrach. – Chora?

– Posprzeczała się z jaśnie panem.

– Skaranie boskie z tą naszą panienką. – Celeste pokręciła głową. – Takie to drobne, takie delikatne, a takie uparte. Jak coś postanowi, to żadna siła nie zmieni jej przekonań. A i jaśnie pan nie popuści.

– Nie pozwolił zanieść panience posiłku. – Jane zniżyła głos do szeptu i obejrzała się na drzwi, jakby się bała, że Lucas stoi w progu.

– W domu, w którym służę, nikt na głodnego nie będzie chodził spać – orzekła Celeste.

– Ale pan powiedział...

– A niech sobie gada. Jeszcze się nam panienska rozchoruje i problem będzie.

– Ale...

– Nie bój się, sama jej zaniosę – pocieszyła Jane. – Jakby co, na mnie będzie, nie na ciebie.

Szybko przejrzała zawartość półmisek. Odkroiła sporą porcję pasztetu z gęsi, przełożyła ją na talerz i obficie polała sosem żurawinowym. Na drugi talerzyk nałożyła kilka rogalików z

nadzieniem migdałowym. Wszystko to ustawiła na srebrnej tacy, na której znalazł się też czajniczek z kawą i filiżanka.

– Jak pan zobaczy, to będzie zły – zaznaczyła Jane, patrząc na przygotowania.

– Mówiłam już, że na mnie, nie na ciebie. A z roboty mnie nie wyrzuci, bo kto mu będzie gotował?

Celeste ujęła tacę w pulchne dłonie i wyszła na korytarz. Bez przeszkód dotarła do schodów. Postawiła nogę na pierwszym stopniu, gdy drzwi od gabinetu otworzyły się i stanął w nich Lucas.

– Gdzie się wybierasz? – zapytał.

– Niosę kolację panience – odpowiedziała zgodnie z prawdą.

– Przecież zabroniłem.

– A kto to słyszał, aby własnej siostrze jedzenia bronić? Toż to potworem trzeba by być.

Lucas drgnął. Kolejna osoba powiedziała mu, że jest potworem.

– Elizabeth nie zeszła na kolację, co znaczy, że nie jest głodna.

– Nie, to znaczy, że nie chce się z panem widzieć – sprostowała. – Szkoda, że moja rada nie poskutkowała i się państwo nie pogodzili. Świętej pamięci rodzicom państwa na pewno przykro patrzeć, jak się tak nawzajem szarpiecie. Oj, wielmożny panie, wszak Elizabeth to najbliższa panu osoba. Tak się nie godzi. Nie godzi.

– Daj jej tę kolację – mruknął niechętnie.

Skinęła głową i z trudem pokonując kolejne stopnie, udała się na górę. Lucas patrzył za nią, zastanawiając się, ile jeszcze osób widzi w nim potwora. Czy ludzie, którymi dowodzi, również czują przed nim lęk?

Celeste wreszcie doczłapała do pokoju Elizabeth. Zatrzymała się i przez chwilę nasłuchiwała dobiegających zza drzwi odgłosów. Jednak mimo tego, że uważnie nadstawiała uszu, niczego nie usłyszała. W pokoju Elizabeth panowała cisza.

– Panienko Elizabeth! – zawołała. – Kolację przyniosłam.

Nikt nie odpowiedział.

– Panienko Elizabeth!

Celeste mocniej chwyciła tacę, ujmując ją tylko jedną ręką, a drugą nacisnęła klamkę.

Drzwi z lekkim skrzypieniem uchyliły się i w twarz kucharki uderzył powiew chłodnego wiatru.

– O święci pańscy! – wykrzyknęła.

Już nie zważała na swoją tuszę i ograniczenia wynikające z niedoskonałości ciała. Szybko weszła do środka i postawiwszy tacę na stoliku, dopadła do okna, przy którym siedziała Elizabeth. Hrabianka była pochylona do przodu, z czołem opartym o parapet.

– Panienko... – Celesta dźwignęła ją i zaczęła szarpać się z okiennicą popychaną wiatrem.

– Co tu się dzieje? – Do pokoju zajrzał Lucas, zwabiony na górę krzykiem Celeste.

Natychmiast dopadł do siostry i pochwycił ją na rękę, odciążając kucharkę, która wreszcie mogła uporać się z zamknięciem okna. Gdy obie jego połówki zostały zaryglowane, wiatr ucichł.

Lucas przeniósł Elizabeth na łóżko. Otworzyła oczy, gdy ją na nim kładł. W pierwszej chwili była pewna, że to Roderick, więc uśmiechnęła się blado, widząc jednak brata, natychmiast spoważniała.

– Co ty wyprawiasz, Elizabeth? – wyszeptał, rozcierając zmarznięte dłonie siostry. –

Chcesz się nabawić zapalenia płuc?

– Może tak by było najlepiej – odpowiedziała, odwracając od niego twarz.

– Jak w ogóle możesz tak mówić?

– Przecież jestem dla ciebie tylko kłopotem, którego chcesz się pozbyć. Nie myślisz o mnie, nigdy się mną nie przejmowałaś. Jestem twoją siostrą, a czuję się jak zupełnie obca osoba.

– Niepotrzebnie dramatyzujesz – zdenerwował się. – Odpocznij, prześpij się.

Porozmawiamy, gdy dojdiesz do siebie. Na razie widzę, że pleciesz same brednie.

– Zaczynaj wreszcie traktować mnie jak siostrę! – Gwałtownie usiadła na łóżku. – Ja mam duszę, mam serce! Ja czuję! Dlaczego uważasz, że wystarczy mi to, że mieszkasz w tym samym domu co ja? Że dbasz o moje bezpieczeństwo? Dlaczego nigdy nie zapytasz o to, co myślę?

Dlaczego ciągle uważasz, że będąc kobietą, jestem zbyt głupia, aby dotrzymać ci towarzystwa?

– O co ci chodzi? – Popatrzył na nią uważnie. – Czy naprawdę sądzisz, że jestem złym bratem?

– Nie powiedziałam, że jesteś złym. Po prostu chciałabym, abyś w ogóle był dla mnie bratem. Abym mogła to odczuć. Przecież ty traktujesz mnie jak powietrze! Nawet nie potrafisz ze mną rozmawiać!

Umilkł, ale jeszcze przez chwilę się jej przypatrywał. Nie wiedział, jak postępować z dorastającymi panienkami. Gdyby żyli rodzice, wszystko byłoby prostsze. Być bratem? Co to znaczy? Zawsze był synem, żołnierzem. Był mężczyzną, był dziedzicem Westmoore'ów. Ale bratem? Tak, miał siostrę, ale ten fakt nic dla niego nie znaczył. Zresztą, co go mogła obchodzić ta mała dziewczynka, którą widywał tylko podczas rzadkich odwiedzin w domu? O czym miał z nią rozmawiać? Lecz ta dziewczynka stała się kobietą, a on przez zrządzenie losu został jej jedynym opiekunem. Jak nadrobić stracone lata? Jak odbudować więź między nimi? Czy to w ogóle możliwe?

Wyszedł z pokoju, ciągle zastanawiając się nad tym, co powinien zrobić. Najprościej byłoby odesłać Elizabeth do jednej z ciotek. Tam na pewno odpowiednio by się nią zajęli. Jednak w ten sposób przyznałby się do swojej porażki. Jako wojskowy nigdy nie kapitulował. Może trzeba obrać inną taktykę?

Długo krążył po gabinecie, przystawał przed portretem ojca, jakby chciał uzyskać od niego jakąś poradę, aż w końcu uznał, że sam nic nie wymyśli. Zegar wybił dwudziestą trzecią, gdy zdecydował się skierować swoje kroki w stronę kuchni, do osoby, której mógł zaufać.

W przestronnym, nieco ciemnym pomieszczeniu znajdowała się tylko Celeste, która przygotowywała zaczyn na jutrzejszy chleb. Cierpliwie ucierała go w wielkiej misie, wkładając w to całe serce.

– Jak Elizabeth? – zapytał.

– Wmusiałam w nią odrobinę pasztetu. Przemarzła biedaczka, ale ziółek zaparzyłam i dałam do wypicia. Zasnęła po nich jak osesek.

– Nie wiem, co robić, Celeste. – Podszedł do kobiety i stanął na wprost niej. – Elizabeth uważa, że nie poświęcam jej wystarczająco dużo czasu. Mówi, że nie czuje we mnie brata.

– Jaśnie panie, nie mnie wyrokować o pańskim zachowaniu. Pan dużo robi dla naszych ludzi. Każdy tu jest tak bardzo panu wdzięczny za to zaangażowanie i pomoc, jakie pan okazuje, ale w tym wszystkim chyba faktycznie odsunął pan siostrę na plan dalszy.

– Tak uważasz? – Zamyślił się.

– Panienska Elizabeth jest jeszcze bardzo młoda. Straciła rodziców i ciężko jej przystosować się do nowej sytuacji. Potrzebuje wsparcia kogoś życzliwego. Ja wiem, że pan jest bardzo zajęty, że ma tyle różnych spraw na głowie, że bestia... Ale Elizabeth też jest ważna i nie może pan o niej zapominać.

– Ale co mam zrobić, Celeste?

– To proste. – Kucharka odstawiła misę na blat stołu i wytarła dłonie w fartuch. – Musi pan naprawdę stać się jej bratem.

Roderick nie przyszedł na spotkanie z Elizabeth, chociaż wszystko go tu ciągnęło. Musiał się skupić, aby zapanować nad swoim pragnieniem. To, co usłyszał od Elizabeth, bardzo nim wstrząsnęło. Musiał przyznać sam przed sobą, że uczucie do dziewczyny było bardzo silne i sto razy mocniejsze niż zwykła miłość. Nie rozumiał go, tak jak i innych ludzkich odczuć. Zbyt długo był zwierzęciem i kierował się tylko instynktem. Musiał porozmawiać o tym z kimś, kto by go wysłuchał i zrozumiał. Tylko Caroline wydawała się do tego odpowiednia. W końcu byli do siebie podobni.

Jak zwykle spodziewała się jego przyjscia. Ten jej niezwykły dar widzenia przyszłości mógł się teraz okazać bardzo przydatny. Miał nadzieję, że dzięki niemu dowie się, jak potoczą się jego dalsze losy. Przecież Caroline widziała Elizabeth w swoich wizjach, mówiła, że zmieni

jego życie, że przywróci mu człowieczeństwo. I stało się. Jednak to, że zaczął odczuwać ludzkie emocje, w pewien sposób go przerażało. Łatwiej było kierować się prawem natury, nie mieć zasad, nie odczuwać bólu innych.

– Często mnie ostatnio odwiedzasz. – Caroline, pochylona nad wielkim garem, z uwagą przygotowywała jakiś wywar. Pokruszyła w dłoniach suszone pęki ziół i wsypawszy je do wrzątku, zamieszała wszystko drewnianą chochlą. Kłęby pary, buchające z kociołka, zdawały się ją spowijać. – Nie powiem, nawet jest mi miło z tego powodu. Jak sięgam pamięcią, w ciągu ostatnich dwustu lat odwiedziłeś mnie tylko ze dwa razy...

– Raczej nie mam powodów, aby za tobą przepadać. – Przypomniał, obchodząc dookoła palenisko. – Gdyby nie ty...

– Tak, masz całkowitą rację. Gdyby nie ja, to od kilku wieków byłbyś martwy. – Dołała do garnka kilka kropel z niewielkiej zielonej buteleczki, którą wyjęła z kieszeni peleryny. –

Zawsze pomagałam ludziom, a twoja biedna matka błagała mnie, abym ratowała ci życie. To był

jedyny sposób na jego przedłużenie.

– Uratowałaś mi życie? Dobre sobie! – Zaśmiał się. – Ty mi je zabrałaś! A odbierając je mnie, odebrałaś je też setkom osób, które później zabiłem. W tym mojej matce – dodał ciszej. – I nie mów, że zrobiłaś to tylko ze względu na jej prośby! Za dobrze cię znam! Chciałaś, abym był

taki jak ty! Abym został z tobą!

– Stajesz się sentymentalny, jak prawdziwy człowiek. – Teraz to ona się zaśmiała, a blask ognia rozświetlił jej twarz upiornym światłem. – Nigdy nic dla mnie nie znaczyłeś! – krzyknęła, z trudem powstrzymując emocje.

Naprawdę chciała, aby nic dla niej nie znaczył, a jednak mimo to zakochała się w nim.

Gdyby nie to uczucie, nie posłuchałaby próśb jego matki – aż tak wielkoduszna nie była.

Roderick miał całkowitą rację, mówiąc, że chciała go tylko dla siebie. Chciała, i to bardzo, ale szybko zrozumiała, że popełniła błąd. Nie mogła mu jednak powiedzieć o tym, co naprawdę nią kierowało. Lepiej niech myśli, że faktycznie była tak wyrachowana i bezduszna, i wykorzystała go do swoich niecznych planów.

– Spałam z tobą, bo tylko w ten sposób mogłam sprawić, że przekonasz swego ojca, aby przystał na mój plan. Nigdy nic mnie nie obchodziłeś! Byłeś tylko narzędziem w moich rękach!

Tylko tyle! Gdyby nie prośby twojej matki, już dawno zgniłbyś w grobie! Umierałeś i aby cię zatrzymać na tym świecie musiałam...

– Przemienić mnie w potwora – dokończył.

– Nie miałeś być potworem. – Westchnęła ciężko. – Myślałam, że dasz radę zapanować nad pragnieniem. Że będziesz miał w sobie taką siłę jak ja... – Sięgnęła po kubek, nalała do

niego gorącego wywaru z garnka i wypila jednym haustem. – Gdyby wtedy udało mi się cię upilnować... Gdybyś nie przeszedł pełnego cyklu...

– Pamiętam twarz mojej matki, gdy ją zabijałem... – Jego głos przeszedł w szept. –

Zabiłem jedyną osobę, która była mi bliska, i wielu, wielu innych, których imion nawet nie znałem. A wszystko to dlatego, że zachciało ci się bawić w Boga...

– Rodericku, bolałam nad tym w każdym momencie mojego istnienia. Patrzyłam na twoje poczynania i wiedziałam, że nie zdołam ci pomóc. Żałowałam tego, co się stało, ale nie mogłam tego już naprawić. Dopiero, gdy w wizji zobaczyłam tę dziewczynę... Ona jedna

mogła obudzić w tobie człowieka... przynajmniej tę część, którą każdy z nas ma. Dlatego dziś możemy tu spokojnie rozmawiać.

– Ja nie chcę rozmawiać spokojnie! – Ze złością kopnął garnek, wylewając jego zawartość na palenisko. Ogień przygasł z sykiem. – Chcę się dowiedzieć, co będzie dalej! Muszę pić krew, a nie chcę być bestią! Nie chcę zabijać, a jednak moja natura powoduje, że pragnienie odbiera mi zmysły. Nawet patrząc na Elizabeth, czuję, że płynie w niej krew, słyszę serce, które ją pompuje... Jakże łatwo byłoby rzucić się na nią i wgryźć się w jej szyję... Tysiące razy to sobie wyobrażałem... Wręcz o tym marzę. Ale nie mogę tego zrobić...

– Co cię powstrzymuje? – zainteresowała się.

– To, że widziałem jej myśli. Widziałem siebie jej oczami i to mnie przeraziło. Nie chcę być taki! Stworzyłaś mnie takiego, Caroline, więc teraz pomóż mi żyć, jakbym naprawdę był człowiekiem. Twoje ziołka na mnie już nie działają.

– To prawda, zioła ci nie pomogą – przytaknęła. – Przeszedłeś cały cykl. W momencie gdy pierwszy raz napiłeś się krwi, zaprzepaściłeś możliwość takiego istnienia jak ja. Teraz, gdy na powrót odkryłeś w sobie człowieczeństwo, jedynym lekarstwem będzie dla ciebie picie krwi zwierząt.

– Zwierząt – powtórzył jak echo. Kiedyś spróbował krwi jelonka i mu nie posmakowała.

Krew ludzka była tym, co lubił najbardziej.

– Aby istnieć, musisz pić krew. Jednak jeśli chcesz zachować swoje człowieczeństwo, nie możesz pić krwi ludzkiej. Krew zwierzęca jest prawie taka sama jak ludzka, ma te same właściwości. Dzięki niej będziesz mógł przetrwać, chociaż na pewno na początku będzie ci trudno

– Czy dam radę?

– To zależy tylko od ciebie.

– Ale to ty widzisz przyszłość. Wiesz, jak to się dalej potoczy? Zanim wybiorę dalszą drogę, powiedz mi, co widzisz dla mnie i Elizabeth? Jest dla nas nadzieja?

– Była od samego początku. Będziecie razem, uwierz mi.

– Ona będzie ze mną? Czy to znaczy, że stanie się tym, czym my jesteśmy? – Zadrżał na tę myśl.

– Rodericku, moje wizje pokazują dwie możliwości tego, co się wydarzy. Wszystko zależy od tego, jakich wyborów dokonasz – odpowiedziała wymijająco.

– A jeśli wybiorę bycie z nią?

– Wtedy mogę ci powiedzieć, że będzie z tobą do końca.

– Końca jej życia czy wieczności? – dopytywał.

– Aż tak dokładnie tego nie widzę. To tylko zarys tego, co się stanie. Pamiętaj jednak, że Elizabeth była ci sądzona u zarania dziejów, jeszcze zanim sam pojawiłeś się na świecie. Musisz z nią być. Od tego zależą losy wielu osób. Moje też...

– Nie pomogłaś mi zbyt wiele. Niby wiesz, ale jednak nie wiesz, co będzie...

– Nie jestem tak silna, jak ty. Moje zdolności byłyby pełniejsze, gdybym przeszła pełen cykl przemiany, wtedy widziałabym wyraźniej... Jednak to, co widzę teraz, wystarczy, abym zrozumiała, że Elizabeth i ty stanowicie całość.

– Obyś się nie myliła, Caroline. – W jego głosie zabrzmiała pogroźka. – Jeśli posłucham twoich słów i przez to skrzywdzę Elizabeth... Przysięgam, odnajdę cię wtedy na końcu świata i zakończę twoją marną egzystencję.

Było już ciemno i las tonął w mroku. Gdzieś w oddali było słycać pohukiwanie puszczyka. Roderick szedł szybko, jak zwykle bezszelestnie. Jego postać zlewała się z czernią drzew. Szedł i nasłuchiwał. Wyostrzone zmysły odbierały każdy sygnał świadczący o przebywaniu w pobliżu żywych istot. Istot, w żyłach których tętniła krew. Celowo unikał traktu i szerokim łukiem omijał zabudowania, wiedząc, że Lucas podwoił strażę. Nie miał ochoty ponownie się z nimi konfrontować, gdyż w ten sposób przyspieszyłby wyjazd Elizabeth. Musiał poszukać ofiary, która nie wzbudziłaby podejrzeń. Kogoś, kto był poza ramami społecznymi.

Przez moment pomyślał, aby udać się do większego miasta i dorwać jakiegoś bezdomnego. Wprawdzie tacy osobnicy byli wyjątkowo odrażający i brudni, ale ich krew zaspokoiłaby pragnienie Rodericka. Był już bliski podjęcia takiej decyzji, gdy przemierzając się przez las, wyczuł pomiędzy drzewami specyficzny zapach, który pobudził jego pragnienie.

Gdzieś tu byli ludzie!

Odwrócił się i zaczął zmierzać w kierunku, z którego dolatywała ta przyjemna woń, zapowiadająca ucztę. Po chwili znalazł się na skraju polany, na której rozbito obozowisko. W świetle płonącego ogniska dostrzegł trzech niechlujnie wyglądających mężczyzn, z twarzami pooranymi bruzdami i nożami zatkniętymi za paski spodni. Domyślił się, że to przestępcy ukrywający się przed pościgiem.

Zza prowizorycznego szałas, zbudowanego z pociętych gałęzi krzaków, wyszła kobieta, trzymająca w objęciach małe, może kilkumiesięczne dziecko zawinięte w brudny koc.

– Miód się skończył – oświadczyła skrzekliwym głosem. – Trza będzie jutro do wsi zajrzeć i się o niego wystarać.

– We łbie ci się poprzewracało. – Jeden z mężczyzn splunął z niechęcią. – Dla twoich zachcianek mam karku nadstawiać. Teraz tu pełno straży. Jeszcze który nas przydybie. Musimy jak najprędzej iść dalej.

– Ale Alice po miodzie cicho śpi. Bez niego jej płacz ściągnie na nas kłopoty.

– Mówiłem, aby bachora zostawić pod kościołem – wtrącił się drugi z mężczyzn. – Tylko zmartwienie z nim.

– A sam Johna wzięłeś – odcięła się kobieta.

– John ma już sześć lat i pomocny jest wielce. Jak trzeba, umie coś skroić, a i ludzie łacniej mu jaki grosz wrzucają do czapki.

– No to z samego rana niech John gania do wsi po miód – zaproponował pierwszy z mężczyzn. – Migiem się uwinie. Dawaj go tu, to mu od razu powiem co i jak, bo może i coś jeszcze uda mu się załatwić. – Zarechotał nieprzyjemnie. – Tu chłopcy ponoć bogate, a i dwór zacny w okolicy widać. Może niech do niego od razu się uda. Kto wie? Czasem państwo wielkie serce mają.

– A czasem psami poszczują.

– Zobaczmy. John zwinny jest, to i psom się wywinie. No gdzie ten chłopak? – zniecierpliwił się.

– Pewnie po lesie biega. – Kobieta machnęła ręką. – Co będzie ze starymi siedział. Jak wiewiórka śmiga pomiędzy drzewami.

Roderick przyglądał się zgromadzonej przy ognisku grupie, a pragnienie coraz mocniej dawało mu się we znaki. Ostatnio dokuczało mu wyjątkowo silnie. Być może wpływ na to miały emocje, które zaczął odczuwać. Do tej pory wystarczyło, że posilał się co drugi dzień, teraz na okrągło był głodny. Dziś rano zabił dwóch mężczyzn. W innym przypadku ten

posiłek starczyłby mu na dłuższy czas, jednak teraz minęło kilkanaście godzin, a on już miał wrażenie, że wnętrzności skręcały mu się niemiłosiernie, domagając się kolejnej porcji świeżej krwi.

Roderick już, już szykował się do ataku, gdy nagle tuż obok niego zaszeleściły krzaki.

Gałęzie rozsunęły się i zobaczył umorusaną twarz potarganego, jasnowłosego chłopca. Dzieciak spojrział na mężczyznę i szeroko otworzył usta do krzyku, który jednak nie zdołał wydobyć się z jego gardła. Robillard błyskawicznie zasłonił dłonią usta malca i siłą swojego spojrzenia zmusił

go do posłuszeństwa. Chłopczyk zamarł w bezruchu, poddając się przeciwnikowi, który przerzucił go sobie przez ramię i uniósł w głąb lasu.

Biegł kilka minut, ciesząc się ze swojej małej zdobyczy. Takiego dzieciaka nikt nie będzie szukał, a ciało łatwiej będzie ukryć. Poza tym krew dzieci była wyjątkowo aromatyczna i dawała więcej siły witalnej.

Gdy Robillard uznał, że wystarczająco oddalił się od obozowiska, przystanął i zrzucił malca na ziemię. Sycił wzrok przerażeniem chłopca, sparaliżowanego wampirzą mocą. Oczy Rodericka zwęziły się i zmieniły barwę, upodabniając do ślepi jadowitego węża, rysy twarzy wyostrzyły się. Otworzył usta, w których błysnęły długie białe kły.

Pochylił się nad swoją ofiarą, gotowy rozszarpać mu gardło, gdy nagle, spojrzawszy w szeroko otwarte oczy oberwańca, zamiast małego rzezimieszka zobaczył przed sobą Elizabeth.

Złudzenie trwało tylko chwilę, ale to wystarczyło. Jak oparzony odskoczył od chłopczyka. Stał

z boku, ciężko dysząc i próbując doprowadzić zmysły do równowagi. Nie rozumiał tego, co działo się w jego głowie. Chciał się posilić, ale jednocześnie nie mógł.

Potrzebował chwili, aby ochłonąć. Przez ten czas malec zdołał ocknąć się z rzuconego na niego uroku. Usiadł na ziemi i przecierając powieki piąstkami, z przerażeniem rozglądał się dookoła.

Roderick zbliżył się do niego, a chłopczyk odruchowo się cofnął, szykując do ucieczki.

– Masz na imię John? – zapytał Robillard.

Dziecko potwierdziło skinieniem głowy.

– Nie powinieneś żyć w taki sposób, Johnie.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej sakiewkę. Wysypał na dłoń kilka monet, pokazując malcowi, co znajduje się w środku, po czym na powrót je tam włożył. Chłopczyk na widok srebra wyraźnie się ożywił.

– To dla ciebie. – Roderick podał dziecku sakiewkę, a ten natychmiast schował ją za pazuchę nędznej, połatanej koszuliny. – Pamiętaj, że sam możesz pokierować swoim losem. Nie daj się wykorzystywać – powiedział. – Daję ci szansę. Może i ja ją otrzymam.

Odprowadził malca w okolice obozowiska i zniknął, uprzednio wymazując mu wspomnienia związane ze swoją osobą.

Jeszcze przez chwilę myślał o grupie zbiegów, jednak już wiedział, że nie może pozwolić sobie na słabość. Jeśli chciał zaważać o Elizabeth, jeśli chciał wyjść naprzeciw przyszłości, musiał przewyciężyć własne pragnienie.

Ponownie rozległo się pohukiwanie puszczyka, które wpłynęło na podjęcie decyzji przez Rodericka. Ponoć na wszystko przychodzi odpowiednia pora. Może to była pora, aby zaważać o swoje człowieczeństwo.

Kierując się instynktem, odszukał puszczyka. Dostrzegł go w mroku, wysoko na gałęzi.

Odbił się od ziemi i niczym strzała poszybował w jego kierunku. Ptak nie zdążył zareagować,

gdyż Roderick był wyjątkowo szybki. Błyskawicznie pochwycił zwierzę i w locie oderwał mu łeb. Zanim na powrót dosięgnął ziemi, przytknął szyję puszczyka do ust i zatopiwszy zęby w ciepłym jeszcze ciele, pił z niego niczym z kielicha. W pierwszej chwili ten smak go odrzucił, ale powstrzymał obrzydzenie. Pił łapczywie, starając się nie myśleć o tym, jakie pochodzenie ma ta krew. Nieważne, czy należała do człowieka, czy do zwierzęcia. Istotne było to, że spełniała swoje zadanie. Powoli rozchodziła się po jego organizmie, dając ukojenie i powodując przyływ sił. To był pierwszy krok ku temu, aby mógł zostać człowiekiem. Aby nie musiał zabijać ludzi.

ROZDZIAŁ VI

Elizabeth obudziła się, czując czyjąś obecność w pokoju. Otworzyła oczy i zobaczyła Rodericka siedzącego na skraju łóżka. Podciągnęła kołdrę pod brodę i także usiadła.

– Nie było cię wczoraj! Czekałam tak długo. – W jej głosie zabrzmiał wyrzut. –

Myślałam, że odszedłeś i już nie wrócisz...

– Wybacz mi. Nie mogłem przyjść – odezwał się cicho. – Musiałem najpierw stoczyć walkę sam ze sobą... Byłem głodny.

– Czy ty... – Wystraszyła się. Nawet nie była w stanie dokończyć tej myśli.

– Nie – zaprzeczył szybko, doskonale wiedząc, o co jej chodzi. – Chociaż prawdą jest, że chciałem to zrobić. Odczuwałem naprawdę bardzo silną potrzebę. Znalazłem ofiarę... To było jeszcze dziecko. – Zauważył, że Elizabeth zadrżała. – Ale gdy już miałem je zabić, zrozumiałem, że nie mogę tego zrobić. Darowałem mu życie, Elizabeth! Odniosłem do obozu. Rozumiesz to?

Pierwszy raz w życiu powstrzymałem się przed ugaszeniem pragnienia.

– Rodericku... – Przynęła się do niego. – Wiedziałam, że masz w sobie siłę... Czy to znaczy, że już nie będziesz musiał pić krwi? – zapytała z nadzieją.

– Niestety, to nie jest takie proste. Krew stanowi podstawę mojego pożywienia. Nie mogę z niej zrezygnować.

– Co się stanie, jeśli nie będziesz jej pił? Czy ty... Czy ty wtedy umrzesz?

– Nie martw się, Elizabeth. – Zaśmiał się. – Ktoś opracował dla mnie nową dietę. Czysto zwierzęcą.

– Zwierzęcą – powtórzyła. – I to wystarczy?

– Osłabi mnie, ale pozwoli żyć – zapewnił. – A może także da nam szansę, abyśmy byli razem – dokończył.

– Razem? – Przyłożyła rękę do serca, aby je uspokoić, gdyż zaczęło niepokojąco szybko bić.

– Wprawdzie znamy się tylko dwa dni, a to zbyt krótki czas, aby planować wspólną przyszłość, jednak w moim przypadku nawet sto lat może okazać się niczym. Wieczność jest nieskończenie długa, Elizabeth, a ja mam pewność, że to z tobą chcę spędzić każdą chwilę, która będzie mi dana. Tylko z tobą. – Pochylił się i nieporadnie pocałował ją w policzek, a następnie odszukał ustami jej wargi.

To był ich pierwszy pocałunek. Bał się go trochę i wiedział, że ona też się go obawia.

– Wybacz, nie powinniśmy... – Odsunął się od niej. – Twój brat byłby na mnie bardzo zły... Chociaż właściwie on już mnie nienawidzi, więc ten pocałunek niczego nie zmieni.

– Rodericku... – Uwielbiała się do niego przytulać, wręcz łaknęła tej bliskości. W jego silnych objęciach odnajdywała spokój i bezpieczeństwo. Przymknęła powieki, czując, że ogarnia ją senność.

– Śpij. – Ramiona Rodericka szczerzej otuliły Elizabeth. – Będę czuwał nad twoim snem.

Teraz już nikt i nic nas nie rozdzieli. Gdyby świat mi ciebie odebrał, zniszczyłbym go.

Poddała się magii jego słów i odpłynęła w krainę sennych marzeń. Pierwszy raz od czasu śmierci rodziców czuła się beztroska i szczęśliwa.

Przebudzenie okazało się mniej romantyczne, gdyż z pięknego snu wyrwało ją natarczywe szarpanie i piskliwy głos Jane.

– Panienko Elizabeth. Panienko Elizabeth! Już prawie południe, a panienka śpi i śpi!

Panienko Elizabeth!

Otworzyła oczy i z przestachem rozejrzała się w poszukiwaniu Rodericka, bojąc się, że mogliby zostać nakryci przez służącą. Na całe szczęście nie było go w sypialni. Musiał wyczuć nadchodzącą Jane i zniknął.

– Już południe? – zdziwiła się, przeciągając.

Jane podeszła do okna i odsunęła grube kotary. Przez okno do pokoju zajrzały promienie słońca, złocąc sprzęty jasnymi smugami. Elizabeth podniosła się z łóżka i zbliżyła do toaletki, aby przejrzeć się w lustrze. Na blacie stała już miska z wodą, przygotowana przez pokojówkę.

Elizabeth szybko się umyła, a służąca sprawnie rozczesała jej włosy i zaplotła z nich długi warkocz. Następnie pomogła hrabiance ubrać się i starannie zasznurowała gorset sukni. Gdy Elizabeth była gotowa, Jane skłoniła się i wyszła z pokoju. Wróciła może po pięciu minutach, niosąc tacę, na której pysznił się pękaty, porcelanowy dzbanek ozdobiony misternym kwiatowym ornamentem, filiżanka do kompletu oraz talerzyk pełen rumianych placuszków z jagodami.

Elizabeth usiadła na fotelu pod oknem i spokojnie poczekała, aż służąca naleje jej kawy do filiżanki i skłoniwszy się na pożegnanie, opuści sypialnię. Gdy tylko Jane zniknęła, natychmiast pojawił się Roderick. Zmaterializował się tuż przed panną Westmoore, wprawiając ją tym w zaskoczenie. O mało nie krzyknęła, gdy stanął przed nią tak nagle.

– Wystraszyłem cię?

– Muszę po prostu przywyknąć, że jesteś troszkę inny niż znani mi ludzie.

– Ludzie? Czuję się zaszczycony tym porównaniem. – Zaśmiał się.

Przysunął sobie drugi fotel do stoliczka i usiadł obok Elizabeth, w smudze padającego przez okno światła. Promienie zaigrały w jego czarnych włosach i zamigotały w oczach.

– Nie boisz się słońca? – zdziwiła się.

– Widzę, że wierzysz w te wszystkie dziwne opowieści. To może od razu powiem ci, że ani słońce, ani woda święcona mnie nie spalają, a czosnek nie działa odstraszająco. No i nie zamieniam się w kruka – dodał, puszczając do niej oczko.

– A kołek w piersi?

– Czyżbyś chciała się mnie pozbyć? – zażartował, po czym spoważniał. – Z tym kołkiem to akurat prawda. Tak samo z ogniem. No i sól.

– Sól?

– Ona paraliżuje nasze moce. Czyni nas bezbronnymi. Ale nie martw się. Tej soli musi być dużo. Mała szczypta nie uczyni mi krzywdy.

Sięgnął po jeden z placuszków i ugryzł kęs.

– I możesz normalnie jeść?

– Oczywiście. Mogę robić to, co każdy człowiek. Potrzebuję tylko małego dodatku do istnienia...

– I możesz żyć wiecznie... – Upiła łyk kawy.

– Mogę trwać całą wieczność – poprawił ją.

Wyczuł, że ta odpowiedź zmartwiła Elizabeth.

– Życie ludzkie nie jest tak długie i niestety łatwo je przerwać. Wieczność? Jak to dziwnie brzmi. Ja tyle nie mam...

Momentalnie podniósł się z fotela i uklęknąwszy przed nią, wtulił głowę w jej kolana. Nie chciał, aby zobaczyła wyraz jego twarzy.

– Nieważne, ile masz przed sobą. Będę z tobą do samego końca.

Pogładziła go po włosach.

– A gdybym była taka jak ty? – zapytała nieśmiało.

Błyskawicznie zmienił swoje położenie. Teraz znalazł się jak najdalej od niej, tuż przy przeciwległej ścianie.

– Nigdy, przenigdy, dopóki nie pochłonie mnie piekielny płomień, nie pozwoliłbym na coś takiego! To krzywda, której nikt nie ma prawa ci wyrządzić!

– Krzywda? Przecież mielibyśmy dla siebie całą wieczność! Wyobraź tylko sobie. Ty i ja... I nieskończone możliwości.

– To kuszący obraz, ale po co mi szczęście, które dla ciebie byłoby nieszczęściem? Wierz mi, wiem co mówię. Swojego losu nie życzyłbym nikomu. Wolę mieć ciebie te kilka chwil i wiedzieć, że jesteś sobą, niż być z tobą wieczność, zdając sobie sprawę, że zamieniłem cię w krwiożerczą bestię. Podobasz mi się taka, jaka jesteś. To właśnie ty, Elizabeth, jesteś tym, czego potrzebuję. Ty Elizabeth, ty człowiek.

– A może ja potrzebuję czegoś więcej?

Zdenerwowała się. Chciała odstawić filiżankę na stolik, ale w nerwach nie obliczyła dobrze odległości. Kruche naczynie wypadło jej z dłoni i roztrzaskało się na posadzce. Elizabeth odruchowo pochyliła się, aby pozbierać odłamki porcelany.

– Uważaj! – krzyknął Roderick, jednak spóźnił się o ułamek sekundy.

– Auć!

Jeden z ostrych kawałków drasnął dłoń Elizabeth. W miejscu przecięcia natychmiast pojawiło się kilka czerwonych kropelek, które cienką strużką spłynęły po skórze.

Roderick wyczuł krew, jeszcze zanim ją zobaczył. Jego twarz znowu nabrała zwierzęcych rysów, oczy się zwięzły i upodobniły do oczu węża. Przyczał się jak do skoku.

Spojrzała na niego i dostrzegła tę zmianę. Chciała uciec z pokoju, ale była sparaliżowana strachem, a może jakimś magnetyzmem, który wydzieliał ten zabójca.

– Rodericku – szepnęła niepewnie, a on na dźwięk jej głosu wyprostował się i pochylił głowę tak, iż włosy zasłoniły mu twarz. Stał po ścianą i ciężko oddychał. Poczul się jak wczoraj w lesie, gdy upolował małego obdartusa.

– Wybacz – zacharczał i zniknął.

To był pierwszy raz, gdy naprawdę ją wystraszył. Teraz dopiero zrozumiała, kim naprawdę jest jej wybranek. Stała tak bezradnie, nie wiedząc, co zrobić. Kochała go, ale wreszcie do głosu doszedł jej rozsądek. Roderick był drapieżnikiem. Był niebezpieczny.

– Elizabeth! – Lucas odszukał siostrę spacerującą po parku. Był zły, że nie posłuchała jego polecenia i wyszła z domu. Wprawdzie od wczoraj bestia nie przypuściła żadnego ataku, ale niebezpieczeństwo wciąż było wysokie. – Widzę, że zupełnie nie wzięłaś sobie do serca moich przestróg.

– Raczej rozkazów – odpowiedziała z przekąsem.

– Czy naprawdę nie możemy jakoś się porozumieć?

Rozmowa z Celeste dała mu wiele do myślenia. Ciągłe się zastanawiał, jak poprawić relacje z Elizabeth.

– Nie, jeśli nie dostrzeżesz we mnie partnera do rozmów.

– Ale ty jesteś kobietą! – krzyknął.

– I co z tego? Jestem również człowiekiem, a także twoją siostrą. Kiedyś byłam córką, kiedyś będę żoną. To wszystko nic nie znaczy, bo przede wszystkim jestem kobietą, a to sprawia, że w oczach świata nie mam żadnych praw.

– Elizabeth...

– Tak, wiem. Mam siedzieć cicho – wpadła mu w słowo. – Złamałam twój zakaz, więc zapewne zechcesz mnie ukarać. Cóż, powinnam już przywyknąć, że wszyscy zawsze będą wiedzieć lepiej czego chcę i będą planować moje życie.

– Złamałaś zakaz wychodzenia z domu, ale chwilowo puszczyć to w niepamięć – oświadczył, zaskakując ją tym stwierdzeniem. – Pamiętaj jednak, aby jutro zachowywać się jak należy.

– Jutro?

Gwałtownie zamruwała powiekami. Pochłonięta rozpamiętywaniem porannego incydentu z Roderickiem zupełnie zapomniała o sobotnim obiedzie, na który został zaproszony Robillard.

Miała nadzieję, że będzie go mogła zobaczyć, chociaż lękała się, że po tym, co się stało, być może on się nie zjawi. Na widok jej krwi uciekł przecież w popłochu i jak dotąd nie wrócił.

– Jutro odwiedzi nas twój wybawca. – Milczenie Elizabeth wzięło za oznakę tego, iż siostra zapomniała o zaplanowanym spotkaniu. – Wreszcie będziesz mogła poznać go oficjalnie i podziękować mu za ratunek z opresji. Twój wybawca nazywa się Roderick Robillard. Wygląda na szlachcica, nosi się z wielkopańską, ale nikt w okolicy nie zna ani jego, ani jego rodziny.

Pojawił się znikąd i wynajął stary dom Ettonów. To bardzo tajemnicza postać i raczej niewzbudzająca sympatii. Oczywiście to tylko moja subiektywna ocena, ale przestrzegam cię przed nim. Byliśmy mu winni wdzięczność, stąd moje zaproszenie, ale nie zamierzam utrzymywać z nim dalszych kontaktów. Przyznaję otwarcie, że nie wywarł na mnie dobrego wrażenia.

– Uratował mi życie. Czy to nie jest według ciebie dobre wrażenie? – zauważyła z ironią.

– No chyba że ubolewasz, iż nie pomógł ci pozbyć się problemu w postaci mojej osoby.

– Nie żartuj tak, Elizabeth. Jestem mu dożywotnie wdzięczny za twoje ocalenie – zapewnił. – I dlatego zaprosiłem go na obiad. W innym przypadku nigdy nie przestąpiłby progu naszego domu. To nie jest materiał na mojego przyjaciela – dodał.

– Oczywiście, rozumiem – przytaknęła. Gdyby Lucas znał prawdę o Rodericku... Gdyby wiedział o tych ich spotkaniach... – A czy myślisz, że ten cały... Roderick – specjalnie zrobiła pauzę, aby wyglądało, że z trudem przypomina sobie jego imię – byłby odpowiednim towarzyszem dla mnie? – zapytała. Musiała to wiedzieć.

– Towarzystwem? – To pytanie go zaskoczyło.

– Niedawno mówiłeś, że będziesz szukał dla mnie odpowiedniej partii, więc...

– Nie! – przerwał jej, a to zaprzeczenie zabrzmiało bardzo stanowczo. – Nigdy nie oddałbym cię w ręce takiego człowieka jak Roderick Robillard. Nawet gdyby był ostatnim mężczyzną na Ziemi.

Elizabeth nadaremnie czekała na Rodericka. Tego dnia już się nie zjawił. Wieczorem, po kolacji, wróciła do swojego pokoju i usiadłszy na parapecie okna, wypatrywała go za szybą tak długo, dopóki noc nie wzięła świata we władanie.

Nawet, gdy już położyła się do łóżka, dzielnie walczyła z sennością, ciągle mając nadzieję, że Robillard lada chwila się zjawi. Zmęczenie jednak okazało się silniejsze. Zасыpiając, myślała o czarnych oczach Rodericka, o jego silnych ramionach, którymi ją obejmował, o tym ich pierwszym, nieśmiałym pocałunku.

Rano obudził ją stuk kropel deszczu o szybę. Wstała i podeszła do okna. Niebo zasnuwane było ciężkimi, ciemnymi chmurami, a cały świat zdawał się tonąć w strugach wody. Elizabeth nie lubiła takiej ponurej pogody, ale teraz nie musiała się tym przejmować. Dziś przecież miała wreszcie zobaczyć Rodericka. Dzień rozłąki z nim wydawał się jej całą wiecznością. Miała nadzieję, że on ma podobne odczucia i mimo wczorajszego incydentu zjawi się na obiedzie.

Przygotowała się starannie. Założyła najładniejszą fiołkową suknię, we włosy wplotła wizytowe, fioletowe wstążki. Wyglądała ślicznie, o czym przekonała się, patrząc w lustro.

Równo z wybiciem godziny czternastej pojawił się upragniony gość. Jego powóz zatrzymał się na podjeździe. Mimo iż Lucas oczekiwał od niej dobrego zachowania, nie zamierzała zastosować się do poleceń. Zamiast grzecznie czekać w swoim pokoju na wezwanie brata, stanęła u szczytu schodów i niecierpliwie wpatrywała się w solidne, drewniane drzwi, które właśnie przed przybyłym otwierał Joseph.

Do holu wszedł jej wybawca. Oczywiście cały spowity w czerń. Zdjął cylinder oraz pelerynę i podał je lokajowi, po czym uniósł głowę i spojrzał w stronę Elizabeth. Uśmiechnął się, przypominając sobie, jak widział ją tu podczas pierwszych odwiedzin u Westmoore'ów. Wtedy ubrana była w powiewną koszulę nocną, która podkreślała jej kształty. Teraz miała na sobie przepiękną suknię wizytową, upodabniającą ją do kwiatu.

Lokaj, który nie zauważył Elizabeth, poprowadził Rodericka do salonu, gdzie czekał na niego Lucas. Panna Westmoore miała wielką ochotę dołączyć do nich od razu, ale powstrzymała ją przed tym Celeste, która nie wiedząc czemu nagle pojawiła się w holu i zatarasowała jej przejście.

– A panienska gdzie się wybiera? – zapytała.

– Mamy gości...

– Pan hrabia go ma – poprawiła Celeste. – Paniencie nie wolno przeszkadzać mężczyznom w rozmowie. Pójdzie panienska, gdy zostanie poproszona.

– Oj, przestań, Celeste. – Spróbowała ją wyminąć, ale kucharka rozpostarła szeroko ręce, stopując ją.

– Panienska wróci do siebie – poleciła.

– Ale to mężczyzna, który mnie uratował. – Próbowała jakoś przekonać służącą.

– No i dobrze. Podziękuj mu panienska za to, gdy przyjdzie pora. A na razie proszę poczekać u siebie.

– Lucas kazał ci mnie pilnować! – domyśliła się.

– Pan hrabia bardzo się o panienkę troszczy.

– Tak, na pewno – prychnęła gniewnie i wbiegła na schody. Zatrzymała się jednak w ich połowie i spojrzała za siebie, mając nadzieję, że Celeste wróciła już do kuchni. Niestety, kucharka stała w tym samym miejscu, w którym ją zostawiła, i surowym wzrokiem patrzyła na niesforną hrabiankę.

Elizabeth niechętnie udała się do swojego pokoju. Jej złość na Lucasa jeszcze wzrosła. A jeśli bratu wpadnie do głowy, aby nie brała udziału w obiedzie z gościem?

Na szczęście jej obawy okazały się bezzasadne, gdyż po kilkunastu minutach do sypialni zajrzała Jane.

– Pan hrabia prosi – obwieściła.

– No nareszcie! – odetchnęła Elizabeth. Przejrzała się w lustrze, i poprawiwszy fałdy sukni, podążyła za służącą do jadalni.

Przy suto zastawionym stole, po jego dwóch dłuższych bokach, siedzieli już obaj mężczyźni. Patrząc na ilość potraw, można było odnieść wrażenie, że przygotowano ucztę dla całego pułku, a nie dla jedynie trzech osób.

– A oto i moja siostra. – Lucas podniósł się z krzesła, gdy tylko Elizabeth przekroczyła próg pomieszczenia. Siedzący na wprost niego Roderick również wstał.

– Elizabeth poznaj swojego wybawcę, Rodericka Robillarda.

Elizabeth obdarzyła gościa olśniewającym uśmiechem. Podeszła do niego i grzecznie dygnęła, wyciągając dłoń, którą on z szacunkiem ucałował.

– Miło pana poznać, panie Rodericku – wyszeptła, tak jak przystało na dobrze wychowaną panienkę z wyższych sfer. Zauważyła, że Lucas pokraśniał z dumy, iż zachowuje się tak, jak tego oczekiwał.

– Mnie również jest bardzo miło – zapewnił Robillard. Jakże tęskniła za brzmieniem jego głosu...

– Siadaj, Elizabeth. – Lucas odsunął puste krzesło koło siebie, dając znak, aby je zajęła.

Okrążyła stół i usiadła obok brata. Plusem tej sytuacji było to, że znajdowała się na wprost Rodericka i mogła spokojnie obserwować go spod spuszczonej rzęsy. Zauważyła, że spiął włosy na karku, co niezbyt przypadło jej do gustu, gdyż wolała, gdy luźno okalały jego twarz. Jadł w sposób kulturalny, sprawnie posługując się wszystkimi sztuczkami, i z prawdziwą gracją unosił potrawy do ust. Obserwując, jak je, Elizabeth wyobraziła sobie Rodericka pożerającego swoją ofiarę. Przed jej oczami pojawiły się obrazy Robillarda wbijającego zęby w ciało jakiegoś nieszczęśnika. Niemalże realnie widziała krew spływającą z jego warg i skapującą na koszulę.

Zakrztusił się, a ona zbyt późno przypomniała sobie, że Roderick może widzieć jej myśli.

Poczuła się przez to niezręcznie i utkwiała wzrok w talerzu. Szybko zaczęła myśleć o kwiatach, o polach, o lasach, o zwierzętach... Roderick dopadający zająca. Krew sącząca się z jego ust... No i znowu popełniła nietakt. Zakrztusił się kolejny raz, odchrząknął i spojrzał przy tym na nią w tak szczególny sposób, że aż poczuła dziwne drżenie całego ciała. Po obiedzie, który okazał się dla Elizabeth prawdziwą katastrofą, przenieśli się do salonu, gdzie panowie wygodnie rozsiedli się na fotelach, a Lucas poprosił, aby Elizabeth coś zagrała. Z

pewnymi oporami zgodziła się, ale siadając przy fortepianie, zaczęła się zastanawiać, jaki utwór wybrać. Nagle żadna melodia nie wydawała się jej odpowiednia. Patrzyła na klawisze i nie miała pojęcia, co mogłoby zatrzeć niemiłe wspomnienie jej wartych ubolewania myśli. I wtedy Roderick wstał z fotela, podszedł do niej, usiadł obok na stołeczku i przebiegł palcami po klawiaturze.

– Zna pani coś takiego? – zapytał i ze swobodą zaczął grać, a Elizabeth dołączyła do niego po kilku taktach. Salon wypełnił się dźwiękami *XXI Koncertu fortepianowego Wolfganga Amadeusza Mozarta*.

Lucas słuchał muzyki, nie kryjąc zaskoczenia. To, co zobaczył, wywołało w nim przerażenie. Jego siostra i ten dziwny mężczyzna w czerni, stanowili niesamowity duet i nie chodziło tylko o wspólną grę. W powietrzu wyczuwalny był jakiś dziwny, niewytłumaczalny

związek pomiędzy tą dwójką. Nie spodobało się to Westmoore'owi, a Roderick bezbłędnie odczytał jego myśli i momentalnie przerwał grę. Podniósł się ze stołka, skłonił przed Elizabeth, po czym wrócił na uprzednio zajmowane miejsce w fotelu.

– Proszę o wybaczenie – zwrócił się do Lucasa. – Uwielbiam muzykę i gdy zobaczyłem ten wspaniały instrument, po prostu nie mogłem się oprzeć, aby nie spróbować zagrać chociaż kilku taktów.

– Rozumiem... – Lucas starał się udawać, że nie stanowi to dla niego żadnego problemu, i pewnie nabrałby każdego, ale nie wampira potrafiącego przejrzeć myśli innych ludzi. –

Starałem się dowiedzieć czegoś o panu, ale nikt nie potrafił mi nic powiedzieć. Nie przypominam też sobie, abym słyszał kiedykolwiek o jakichś Robillardach.

– Już panu mówiłem, że ostatnie lata spędziłem we Francji.

– Ale pochodzi pan z Anglii, prawda? – Lucas drażył temat.

– Moi przodkowie mieszkali w Bewcastle w Kumbrii, niedaleko Szkocji. Dziadek jako pierwszy stał się światowym człowiekiem i porzucił ojczystą ziemię dla podróży. Można powiedzieć, że ja kultywuję tradycję rodzinną i poszedłem w jego ślady. – Uśmiechnął się. – Nie czuję przywiązania do jednego miejsca. Dziś jestem tu, jutro tam... Na szczęście moi przodkowie byli bardzo zamożni, a ja jako ostatni z rodu odziedziczyłem wszystko, co w znaczącym stopniu

ułatwia mi życie.

– Ja niedawno odziedziczyłem ziemię po ojcu. – Przez twarz Lucasa przeleciał cień smutku.

– Rodzice zmarli na cholere i musiałem zająć się tym, co do tej pory przynależało do obowiązków ojca. Jestem jedynym opiekunem Elizabeth... Naprawdę moja wdzięczność panu za jej uratowanie nie zna granic. Elizabeth jest moją najbliższą rodziną... Gdybym ją stracił, nie wiem, jak bym dalej mógł żyć.

– Doskonale pana rozumiem. – Oczy Rodericka pociemniały. – Dla najbliższej osoby też zrobiłbym wszystko.

Elizabeth nadal grała, ale uważnie przysłuchiwała się konwersacji prowadzonej przez mężczyzn. Panowie rozmawiali ze sobą, zupełnie ignorując jej obecność. Znowu została sprowadzona do roli ozdoby.

– Dziękuję niebiosom, że znalazł się pan w odpowiednim czasie i miejscu. Nie mogę tylko zrozumieć, jak pan mógł tak lekceważąco podejść do sprawy własnego bezpieczeństwa?

Samotne spacerowanie po lesie, gdy w okolicy grasuje bestia, zakrawają na czyste szaleństwo.

Elizabeth pomyliła takty, ale na szczęście zaaferowany rozmową Lucas tego nie zauważył.

– Ma pan rację, hrabio, że była to głupota, chociaż akurat w tym przypadku okazała się nad wyraz szczęśliwa. Dzięki temu możemy teraz razem słuchać tej pięknej gry w wykonaniu pańskiej siostry. A jeśli chodzi o bestię... – przerwał na chwilę. – Czyż ataki nie ustały?

– To dopiero jeden dzień spokoju. No, właściwie drugi – poprawił się. – Mam tylko nadzieję, że nie jest to cisza przed burzą. Boję się, że to coś mogło się tylko przyznać i wkrótce przysięgnie kolejny atak.

– To coś? – zainteresował się Roderick. – Czyli co?

– Ludzie różnie gadają. Przeważnie bajdurzą coś o wampirach, ale te ludowe gadki można między bajki włożyć. – Lucas roześmiał się. – Wampiry, a to dobre!

– Tak, faktycznie, niesamowite. – Elizabeth mogłaby przysięgnąć, że Roderick jest nieźle rozbawiony. To, co Lucasowi wydawało się irracjonalne, dla Rodericka i dla niej było już rzeczywistością. – A pani co o tym myśli? – Nagle zwrócił się do niej.

Nie spodziewała się tego. Teraz także i brat przeniósł na nią spojrzenie. Przestała grać i odwróciła się na stołeczku w ich stronę. Po raz pierwszy ktoś zapytał ją o zdanie.

– Ja myślę... – zaczęła. – Myślę, że już nic nam nie grozi. Cokolwiek to było, nie stanowi już dla nas zagrożenia.

– Ty, Elizabeth, zawsze jesteś taka nierozsądna. – Lucas zbagatelizował jej słowa. – Ja bym nie lekceważył niebezpieczeństwa. Ten stwór, kimkolwiek, czy też czymkolwiek jest, nie może być od nas mądrzejszy. Teraz przycichł, więc mamy szansę lepiej się przygotować. Gdy zaatakuje ponownie, będziemy potrafili go odeprzeć.

– Wierzę panu na słowo – zapewnił Roderick, wpatrując się w Elizabeth.

Jego wzrok palił ją, sprawiając, że traciła zmysły. Z ogromnym trudem starała się zachować tak, jak przystało panience z dobrego domu, aby Lucas niczego się nie domyślił.

Czuła się nieswojo, gdy jej brat mówił wszystkie te okropne rzeczy o istocie, która siedziała naprzeciw niego. Pałał czystą nienawiścią do bestii, którą był Roderick. Osoba, którą pokochała

od

pierwszego

wejrzenia,

nie

prowadziła

normalnego,

zwyczajnego,

uporządkowanego życia jak wszyscy znani jej ludzie. Robillard pragnął krwi. Musiał zabijać, aby istnieć.

Elizabeth z jednej strony była tym przerażona, z drugiej jednak coś nieopisanego ciągnęło ją ku Roderickowi. Wiedziała, że zawsze wybierze jego. Że pójdzie za nim na koniec świata. Do samego piekła. Wyrzeknie się rodziny, pozycji, przywilejów. Okryje się hańbą. Nic nie było

bardziej istotne od Robillarda. Dla niej liczyło się tylko to, aby być z nim. Zasypiać i budzić się w jego ramionach. Cokolwiek miałyby się stać. Nawet gdyby cały świat był przeciwko nim.

Tylko Roderick. Tylko on. Na zawsze.

Elizabeth napawała się bliskością Rodericka i chociaż ten przez większość czasu wydawał się jej nie dostrzegać, dobrze wiedziała, że jest skupiony tylko i wyłącznie na niej. Cieszyła się z jego obecności i wręcz w myślach zaklinała czas, aby stanął w miejscu. Niestety, jej modły nie zostały wysłuchane. Zaledwie zjedli podwieczorek, na który Celeste zaserwowała przepyszny czekoladowy torcik, gdy Lucas w dość jasny sposób dał znać Robillardowi, że pora, aby wizyta wreszcie się zakończyła.

– Cóż, panie Robillardzie. Chętnie posiedziałbym i porozmawiał z panem dłużej, ale obowiązki mnie wzywają. Proszę nie traktować tego jako nieuprzejmości z mojej strony. Jestem bardzo zajęty i wyjątkowo wygospodarowałem te kilka godzin, aby ugościć wybawcę mojej siostry – oświadczył, wyjmując z kieszonki surduta zegarek z dewizką i uważnie wpatrując się w jego cyferblat.

– Ależ rozumiem, panie hrabio, i dziękuję za zaproszenie. Miło było mi poznać pana i pańską siostrę. – Roderick natychmiast podniósł się z fotela. – Mam nadzieję, że będzie nam dane jeszcze się kiedyś spotkać.

– Jeśli Bóg da, to się spotkamy – odpowiedział wymijająco Lucas, któremu nie uśmiechało się towarzystwo Robillarda. – W każdym razie może pan zawsze liczyć na moją wdzięczność. Gdyby potrzebował pan kiedyś pomocy, to proszę się nie krępować.

– I wzajemnie. – Roderick pokłonił się przed nim, po czym podszedł do siedzącej na fotelu Elizabeth. – Dziękuję, panno Westmoore – zwrócił się do niej. – Zaszczycem było dla mnie poznać panią. Proszę wierzyć, że ma pani we mnie szczerze oddanego przyjaciela.

– Ja również dziękuję. Za wszystko.

Podawała mu rękę, a on pochylił się nad nią i złożył pełen kurtuazji pocałunek na dłoni dziewczyny. Muskając ustami delikatną skórę, uniósł wzrok na Elizabeth i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Spotkajmy się nad stawem – wyszeptał tak cicho, że sama ledwie go usłyszała.

W milczeniu skinęła głową, nie zastanawiając się nad tym, że Lucas zabronił jej opuszczać dom.

Hrabia Westmoore odprowadził Robillarda do drzwi, po czym wrócił do salonu, gdzie nadal siedziała Elizabeth.

– Przykry obowiązek spełniony – orzekł z satysfakcją.

– Wydawało mi się, że to było bardzo miłe spotkanie – zauważyła.

– Sytuacja wymagała, aby takie było, co nie znaczy, że dobrze czułem się w obecności tego człowieka. Mam szczerą nadzieję, że już nigdy więcej nie będę musiał znosić jego towarzystwa. Trudno to wytłumaczyć, ale czuję do niego awersję. Nie odniosłaś wrażenia, Elizabeth, że ten cały Robillard jest jakiś dziwny? To jego przeszywające spojrzenie... I ten strój.

Nie mam nic przeciwko czerni, ale zdecydowanie przesadza z tym kolorem.

– Nie odbieram tego tak jak ty. Pan Roderick wydał mi się sympatycznym, wykształconym, pełnym kurtuazji mężczyzną.

– Ot i kobiece gadanie – zaśmiał się Lucas. – Patrzycie na wygląd i zachowanie, nie biorąc pod uwagę, że to może być maska. Robillard wydaje mi się osobą, która udaje kogoś, kim wcale nie jest. – W zadumie podrapał się po gładkim podbródku. – Gdy wrócimy do Londynu, spróbuję wywiedzieć się o jego rodzinę. Mówił coś o Kumbrii. Warto to sprawdzić. No nic,

Elizabeth – zmienił temat. – Muszę jechać do Burtonów. Będziemy szkolić kolejnych rekrutów.

– Dalej bawicie się w wojsko?

– To nie zabawa! – obruszył się. – Mimo iż ataki bestii chwilowo ustały, nie zamierzam rezygnować z podjętych środków bezpieczeństwa. Jest jeszcze zdecydowanie za wcześnie, aby ogłosić zwycięstwo. Dwa dni spokoju nie gwarantują, że napady już się nie powtórzą. A zresztą trzeba być gotowym na każdą ewentualność – dodał. – Grunt to przygotowanie do obrony.

Nic nie odpowiedziała, bo rozumiała, że brat, tworząc ochotnicze oddziały, w pewien sposób realizuje swoje marzenia związane z armią. Chociaż musiał zrezygnować ze służby wojskowej, nie przestał być żołnierzem. To siedziało w nim gdzieś głęboko i nie pozwalało o sobie zapomnieć.

Hrabia Westmoore przebrał się, i konno, wraz z dwoma służącymi, udał do Burtonów, zapowiadając wcześniej, iż może wrócić dopiero następnego dnia rano. Elizabeth została sama w domu. Zgodnie z wolą Lucasa nie powinna wyściubiać nosa na zewnątrz, jednak nie zamierzała słuchać brata, tym bardziej że przecież Roderick prosił ją o spotkanie przy stawie. Oczekała, aż służba, zajęta sprzątaniami po obiedzie, spuści ją na chwilę z oczu i natychmiast wybiegła do ogrodu. Nawet nie zdążyła wziąć kapelusza ani szala, chociaż po porannym deszczu powietrze zrobiło się dość chłodne. Rozemocjonowana perspektywą ponownego zobaczenia się z Robillardem, nie zwracała uwagi na zimny wiatr, który wydymał jej krynolinę i targał misterną fryzurę.

Dół sukni Elizabeth wkrótce pokrył się błotem, chociaż próbowała uchronić go przed zabrudzeniem i w tym celu odrobinę podnosiła sute warstwy krynoliny. Niestety, na rozmokłej nawierzchni dróżki upstrzonej sinymi oczkami kałuż, cieniutkie, satynowe pantofelki biegnącej dziewczyny ślizgały się i wzbijały fontanny wody pomieszanej z ziemią, która osiadała na bawełnianych halkach, batystowych koronkach i tiulu. Kilka razy potknęła się tak, że prawie upadła, a wtedy, aby złapać równowagę, rozprostowywała ręce i wypuszczała z dłoni podtrzymywane fałdy sukni, które z prawdziwym szykiem opadały na ziemię wprost w błotniste kałuże.

Gdyby teraz Lucas ją zobaczył, byłby w prawdziwym szoku. W niczym nie przypominała panienki z dobrego domu, która jeszcze kilka chwil temu grała na fortepianie i starała się udawać prawdziwą damę. Z potarganymi włosami, z których wysunęły się ozdobne wstążki, w zmiętoszonej i ubłoconej sukni oraz przemoczonych pantofelkach, była jak uosobienie przysłowiowej nędzy i rozpacz. Nie przejmowała się jednak swoim wyglądem. W tej chwili liczył się dla niej tylko fakt, że szła na spotkanie z Roderickiem.

Ledwie skręciła z głównej alejki w boczną i minęła gęste zarośla różanecznika, dostrzegła pochyloną nad stawem wierzbę, przy której stał Roderick. Zwrócony do Elizabeth tyłem, wpatrzony w połyskującą, pofałdowaną przez wiatr wodną toń, którą muskały zwieszające się gałęzie drzewa, natychmiast poczuł, że przybyła i spojrzał w jej stronę.

– Tak bardzo się bałam, że już cię nie zobaczę. – Podeszła do Robillarda i delikatnie uderzyła go w ramię. – Nigdy więcej nie zachowuj się tak, jak wczoraj.

– Przepraszam. Czasem moja natura jest silniejsza. Gdy zraniłaś się i dotarł do mnie zapach twojej krwi... – Wzdrygnął się. – Musiałem odejść, aby nie zrobić ci krzywdy.

– Nie zrobiłbyś mi krzywdy – zapewniła. – Wiem to.

– Nie wiesz, Elizabeth. Nawet ja sam nie mam takiej pewności. Dlatego wolałem zniknąć.

– Nie pomyślałaś o tym, co wtedy poczułam – zauważyła z wyrzutem.

– Pomyślałem, ale nie mogłem ulegać sentymentom. Potrzebowałem czasu.

– Na co? – zaciekała się.

– Na to. – Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś. Wysunął zaciśniętą dłoń podsuwając ją pod twarz Elizabeth. Rozprostował palce.

Zobaczyła niewielki fragment potłuczonej filiżanki. Nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Gdy się skaleczyłaś i zobaczyłem twoją krew... Poczulem ogromne pragnienie. Było tak silne, że mało brakowało, a bym się nie powstrzymał. Musiałem odejść, aby nie zrobić ci krzywdy. Jednak zanim odszedłem, zabrałem coś, co mogło mi pomóc.

– Ten odłamek porcelany? – zdziwiła się.

– Ten odłamek, na którym pozostał ślad twojej krwi.

Dopiero teraz zauważyła maleńką, czerwoną, zaschłą już smugę na porcelanowym okruchu.

– I po co ci on? – dociekała.

– Potrzebowałem go, aby oswoić się z zapachem twojej krwi. Aby już nie działała na mnie w ten sposób.

– I jakie efekty? Poskutkowało?

– Nie wiem, Elizabeth, ale staram się nad sobą panować. – Wypuścił z dłoni porcelanową skorupkę. Upadła wprost w brudę błota. – Naprawdę się staram. – Dotknął jej policzka i przejechał palcem od linii ucha ku podbródkowi. – Nigdy nie czułem czegoś takiego... To wszystko jest dla mnie takie obce... Chcę, abyś była ze mną bezpieczna, a tymczasem sam sobie nie ufam. Twój brat ma całkowitą rację, iż istnieje ryzyko powrotu bestii. Nie chcę tego, Elizabeth. Bardzo tego nie chcę, ale boję się, że nie dam rady! Potrzebuję cię, aby nie zatonać.

Jesteś moim powietrzem, moją siłą. Bądź ze mną – poprosił.

– Jestem z tobą.

Tak wiele chciała mu powiedzieć, ale nie musiała. On znał jej myśli, zanim zdołała sformułować je w zdania. Fascynowało ją to, ale także i przerażało. Przed nim nie mogła mieć żadnych sekretów.

– Twój brat nigdy nie pozwoli nam być razem. – Cofnął dłoń. – Właściwie nawet wcale mu się nie dziwię. – Zaśmiał się głucho. – Sam nie byłbym zachwycony, gdyby moja siostra chciała spotykać się z kimś takim jak ja.

– Lucas to mój brat. Jedyna rodzina, jaką mam. Jeśli jednak będę musiała wybierać między nim a tobą, zawsze wybiorę ciebie.

– Naprawdę wybrałabyś mnie? Nawet gdyby wiązało się to z odejściem w nieznane?

Chciałabyś zacząć życie u boku kogoś takiego jak ja? Z daleka od swoich bliskich, w ciągłym pędzie, nigdzie nie zagrzewając miejsca na dłużej?

– Może gdzieś w świecie jest takie miejsce, gdzie moglibyśmy znaleźć dla siebie przystań? Gdzie nie trzeba by było ciągle uciekać. Gdzieś daleko stąd...

– Właściwie jest – przyznał, przyglądając się jej uważnie. – Nowy Świat. Dzika kraina. Ameryka. Chciałabyś udać się tam ze mną?

Nie musiała odpowiadać, gdyż od razu poznał odpowiedź.

Celeste skończyła zmywać naczynia po kolacji i dokładnie wytarła ostatni porcelanowy talerz w białą lnianą ściereczkę, po czym schowała go do wysokiego kredensu. Zabrała ze stołu miskę z niewykorzystanymi produktami i udała się w stronę spiżarni, jednak ledwie wyszła na korytarz, natknęła się na czekającą tam Elizabeth.

– O wszyscy święci, to mnie panienka przestraszyła. – Kucharka zatrzymała się w pół kroku. – Nie spodziewałam się tu panienki.

Przesunęła wzrokiem, począwszy od głowy dziewczyny aż do jej stóp, i jęknęła.

Potargane włosy opadały w nieładzie na ramiona Elizabeth, a jedyna pozostała w nich wstążka

rozwiązała się i smętnie zwieszała na końcu jednego z pukli. Brudny dół krynoliny był sztywny od błota, zaś przemoczone, miękkie pantofelki z satyny nadawały się tylko do wyrzucenia.

– Chciałam z tobą porozmawiać... – zaczęła niepewnie Elizabeth.

– Panienko, jakże to panienka wygląda? – Kucharka z niedowierzaniem pokręciła głową.

– Co też panienka robiła? Trzeba się przebrać, i to szybko! Jeszcze jakie choróbsko się przypęta!

Zaraz zawołam Jane, aby się panienką zajęła.

– Ale ja chciałam z tobą porozmawiać...

– Jak panienka się przebierze i wysuszy, to i pogadamy – orzekła Celeste zdecydowanym tonem. – Jane! – zawołała, odwracając się w stronę kuchni. – A zabierz panienkę na górę i uporządkuj. Tylko migiem, dziewczyno! – ponagliła.

Umyta i przebrana Elizabeth zeszła do holu, gdzie natknęła się na Josepha rozmawiającego z dwojgiem młodszych lokai.

– A pamiętajcie, że trzeba dobrze wszystkie okna pozamykać – przestrzegał. – Żeby mi żadne otwarte nie było.

– Kiedy już pozamykaliśmy – zapewnił jasnowłosy, wysoki chłopak o dość smętnym wyrazie twarzy. Lekko skrzywiony w lewo nos nie dodawał mu uroku.

– Sprawdźcie jeszcze raz. Lepiej dmuchać na zimne. Pana nie ma, więc ostrożność trzeba zachować.

– Martin z chłopakami straże rozstawili, tak jak jaśnie pan hrabia kazał. Mysz się nie prześlizgnie, więc nic nam tu nie grozi. – Raczył odezwać się drugi z chłopaków, obdarzony bujnymi rudymi włosami.

– O, panienka Elizabeth. – Joseph zauważył hrabiankę i natychmiast gestem ręki uciszył swoich podwładnych. – Czy panienka czegoś potrzebuje? Trzeba było na Jane lub Ruth zadzwonić, a nie samej się po domu plątać.

– Czyż to nie mój dom? – zapytała. – Chyba jeszcze mi wolno po nim chodzić? Lucas nic nie wspominał, że mam nie opuszczać pokoju.

– Panienko, ja nic złego nie miałem na myśli. – Joseph poczerwieniał. – Tylko o wygodę jaśnie panienki mi chodziło. Służba od tego jest, by służyć.

– No to służcie – zgodziła się. – Jak widzę, Lucas zostawił wam masę rozkazów. A mną nie musicie się przejmować. Idę porozmawiać z Celeste.

– Z Celeste? – zainteresował się.

– Chyba mogę rozmawiać z naszą kucharką? – Dumnie uniosła podbródek i wyminęła Josepha.

– Oczywiście, panienko. Oczywiście – zawołał za nią stary lokaj, ale jego zgoda była jej niepotrzebna.

Przebyła długi pusty korytarz, nie napotykając już więcej służby. Być może ta zajęta była w innych częściach domu. Dotarła do uchylonych drzwi kuchennych i weszła do pomieszczenia, w którym również nie było żywej duszy.

– Celeste! – zawołała, rozglądając się dookoła, ale nikt jej nie odpowiedział. Kucharka musiała gdzieś wyjść, jednak patrząc na ogień płonący w piecu i słodki aromat wydobywający się zza jego zamkniętych drzwiczek, Elizabeth wywnioskowała, że Celeste zaraz wróci.

Usiadła na jednym z drewnianych stołków, oparła łokcie o blat wielkiego stołu i położyła podbródek na splecionych dłoniach. Zapatrzyła się w okno, za którym zapadał zmierzch. Niebo przybrało już ciemnogrnatową barwę, a nieliczne jaśniejsze smugi świadczyły o tym, że jasność przegrywa starcie z nocą.

– Już jestem, panienko. – Nawet nie usłyszała powrotu służącej. – Musiałam pomóc Ruth zasłony poskładać. W rękę się oparzyła i ciężko jej samej.

– Nie musisz mi się tłumaczyć. Dopiero co przyszłam.

– Tylko ciasto wyjmę, bo już powinno być dobre, i możemy rozmawiać.

Kucharka założyła grubą, płócienną rękawicę i otworzywszy drzwiczki pieca, wyciągnęła ze środka dużą formę. Trzymając ją przed sobą, ostrożnie przeniosła i postawiła na stole.

Troskliwie przykryła ciasto czystą lnianą ściereczką.

– To gdzie panienka tak się wysmarowała? – zapytała, zdejmując rękawicę. – Czyżby panienka po ogrodzie się włóczyła, mimo iż pan hrabia zakazał?

– Lucas nie ma prawa niczego mi zakazywać. Sama wiem, co dla mnie dobre.

– Oj, panienko, panienko. Przecież pan hrabia to wszystko z troski o panienkę robi.

– To ja dziękuję za taką troskę – burknęła.

– Panu hrabiemu brak wiedzy, jak być dobrym ojcem...

– Ale on nie ma być moim ojcem! – wykrzyknęła wzburzona Elizabeth. – Jest moim bratem, a zachowuje się jak obcy, wrogi mi człowiek.

– Dla niego to całkiem nowa sytuacja. Naprawdę się stara i chce dobrze, ale...

– Ale mu nie wychodzi – przerwała. – Celeste, nie o tym chciałam rozmawiać.

– A o czym, panienko?

– Chciałam się dowiedzieć, czy... – zająknęła się, trochę zawstydzona tym, o co miała zapytać. – Czy byłaś kiedyś zakochana?

– Czy byłam zakochana?

To pytanie ją zaskoczyło. Aby zyskać na czasie, podeszła do ściany i powiesiła na haczyku zdjętą rękawicę. Następnie otworzyła kredens i wyjęła z niego pękaty, gliniany dzban pełen kompotu truskawkowego. Postawiła naczynie na stole przed Elizabeth, po czym z półeczki zdjęła dwa nieduże kubki.

– Chyba każdemu znane jest to uczucie – starała się odpowiedzieć jak najbardziej dyplomatycznie.

Nalała kompotu do obu kubków, po czym jeden podsunęła Elizabeth. Trzymając drugi w dłoni, usiadła na wolnym stołku.

– A czy myślisz, że dla takiego prawdziwego, wymarzonego uczucia, można poświęcić wszystko? – Elizabeth zadała drugie pytanie.

– To zależy, panienko. Miłość to proste słowo, ale bardzo skomplikowane uczucie. Łatwo można powiedzieć, że się kogoś kocha, ale trudniej tego dowieść. Nie zawsze to, co podpowiada nam serce, jest właściwe.

– Nic z tego nie rozumiem – westchnęła Elizabeth. – Jeśli się kogoś kocha, to chyba dobrze, prawda? Przecież miłość to piękne uczucie.

– Ale czasem nie wszyscy mogą sobie na nią pozwolić – przestrzegła Celeste.

– Dlaczego tak uważasz? – zaciekała się.

– Cóż, są rzeczy ważniejsze, takie jak lojalność, honor, nazwisko. Czasem trzeba zapomnieć o miłości, aby spełnić stawiane wobec nas oczekiwania. Panienka należy do wielkiego świata, ma pozycję, majątek. Wielu młodzieńców będzie zabiegać o rękę panienki i przy wyborze nie można kierować się tylko uczuciem. Pan Lucas już o to zadba, aby nie popełniła panienka błędu. To panienki brat, on panienki nie skrzywdzi. Jeśli coś postanowi, będzie to dobre dla panienki.

– Celeste, ale skąd Lucas może wiedzieć, co będzie dla mnie dobre? Przecież to moje życie i moje serce. A jeśli pokocham kogoś innego? Kogoś, kogo nie wybierze mi Lucas? Czy wtedy będzie mógł zaakceptować mój wybór? Czy będzie potrafił mi wybaczyć, jeśli wybiorę miłość zamiast rodziny?

– Panienko, nawet proszę tak nie myśleć! To nie przystoi!

Celeste aż poczerwieniała na twarzy. Pospieszenie upiła łyk kompotu, gdyż z wrażenia zaschło jej w gardle. Hrabianka wygadywała takie rzeczy, że aż przykro było ich słuchać.

Dziewczyna z dobrej rodziny, a zachowywała się jak jakaś... Stara kucharka nawet nie była w stanie dokończyć tej myśli.

– Dlaczego? – Elizabeth gwałtownie podniosła się ze stołka. – Dlaczego nie mogę kierować się sercem? A może ja właśnie tego chcę?!

– Ale to nie przystoi! – powtórzyła Celeste. – Nazwisko, które panienka nosi, do czegoś zobowiązuje.

– Tak! Na pewno! Nazwisko – prychnęła gniewnie Elizabeth. – Przede wszystkim całe moje życie determinuje fakt, że urodziłam się kobietą! Mężczyznom wolno wszystko! I to jest niesprawiedliwe! – Energicznym krokiem podeszła do drzwi, ale zanim wyszła, zatrzymała się w progu i jeszcze raz spojrzała na służącą. – Widzę, że jesteś tak samo zacofana, jak cały ten świat.

Dla każdego liczą się tylko koligacje, pieniądze, awans społeczny. A gdzie w tym wszystkim miejsce na prawdziwe uczucie? Jak można związać się z kimś, kogo widok nie przyspiesza bicia serca? Jak można budzić się każdego ranka w objęciach osoby, która nic dla nas nie znaczy?

– To nie tak, panienko – zaprzeczyła Celeste. – Miłość przychodzi z czasem. Taka dojrzała miłość oparta na wzajemnym zaufaniu i przywiązaniu.

– To nie miłość! To męczarnia! Jeśli się kogoś kocha, nie patrzy się na nazwisko. Liczy się tylko miłość! Jak można rezygnować z własnego szczęścia, aby spełnić oczekiwania rodziny?

Celeste nie odpowiedziała. Nadal siedziała przy stole, patrząc na drzwi, za którymi zniknęła dziewczyna. Przeczuwała, że z Elizabeth będą kłopoty. Panna Westmoore nie należała do potulnych, dobrze ułożonych pań, które zachowują się dokładnie tak, jak wymaga tego od nich etykieta.

– Biedna mała – wyszeptwała. – Jest taka uparta i niezależna. Pan Lucas nie będzie miał z nią łatwego zadania. Oby nie było z tego jakichś kłopotów. Co też tej dziewczynie może jeszcze przyjść do głowy?

Rozmowa z Celeste zdenerwowała Elizabeth. Nie tego się spodziewała. Idąc do niej, liczyła na wsparcie, którego nie mogła znaleźć u własnego brata. Miała nadzieję, że rozmawiając z kobietą, zostanie zrozumiana. Niestety, okazało się, że kucharka ma równie skostniały umysł jak Lucas. Według nich przeznaczeniem panny z dobrego domu było zaakceptowanie roli przedmiotu, który nie ma prawa o sobie decydować.

Elizabeth nie chciała być przedmiotem. Przecież czuła, myślała, rozumowała. Marzyła o tym, aby mieć takie same prawa jak mężczyźni. Aby nie musieć dostosowywać się do sztywnych konwenansów.

O, jakże Elizabeth nie cierpiała tych wszystkich zasad! Nienawidziła zakazów, nakazów, obowiązków. Życie powinno być przyjemnością, a nie ciągłym pasmem wyrzeczeń. Rezygnować z miłości? W imię czego? W imię interesów rodziny? To nie zasobność portfela

powinna być wyznacznikiem miłości, ale to, że serce zaczyna szybciej bić na widok ukochanej osoby.

- Nie będę marionetką! - postanowiła Elizabeth.

Wbiegła do swojego pokoju i z hukiem zatrzasnęła drzwi. Z rozmachem usiadła na łożku.

Nie miała zamiaru zaakceptować reguł rządzących światem, w którym przyszło jej żyć. Była pewna, że ten świat się myli! Przecież to nie mogło tak wyglądać!

Przypomniała sobie swoich rodziców. Matka była zawsze elegancka, piękna, niezwykle egzaltowana, a ojciec, starszy od niej o dwadzieścia lat, emanował spokojem i dostojeństwem.

Nigdy się nad tym nie zastanawiała, ale teraz, łącząc ze sobą fakty, zaczęła rozumieć, że pomiędzy jej rodzicami nie było uczucia. Na pewno byli ze sobą w jakiś sposób związani i lojalni wobec siebie, ale nigdy nie widziała, aby trzymali się za ręce czy obdarzali się pocałunkami.

Nie chciała takiego życia, u boku zupełnie obcej osoby. Jej serce poznało miłość i nie wyobrażała już sobie, że mogłaby z niej zrezygnować i zapomnieć, tylko po to, aby spełnić oczekiwania Lucasa. Nic, żadna siła, nie zdołałaby zmusić jej do wyrzeczenia się Rodericka.

ROZDZIAŁ VII

Minęły dwa tygodnie. Czternaście dni, podczas których ataki bestii już się nie powtórzyły. Ludzie powoli zaczęli wierzyć, że siejący postrach napastnik opuścił te rejony.

Lucas nie zrezygnował jednak z dowodzenia zorganizowanymi przez siebie oddziałami, mimo iż rekruci z każdym dniem mniej chętnie stawiali się na wyznaczane im dyżury. W okolicy zaczęto przebąkiwać, że szkoda marnować czas na szwendanie się z karabinem po polach i lasach, kiedy jest tyle innych, ważniejszych zajęć na gospodarce, zwłaszcza że nadeszły zbiory. Nawet Burtonowie, na których ziemiach doszło do największej liczby ataków, stracili zapał do samoobrony.

Lucas nie mógł zrozumieć takiego podejścia. Jako były wojskowy obawiał się, że błędne poczucie bezpieczeństwa może przynieść złe skutki. Uważał, że jednostki, które powołał do życia, powinny kontynuować swoją pracę i w każdej chwili być gotowe do odparcia kolejnego, nawet niespodziewanego ataku.

Niestety, hrabia Westmoore był w mniejszości. Ludzie rezygnowali z wyznaczonych dyżurów, coraz mniej rekrutów stawiało się w punktach zbiórki. W końcu zjawiały się już tylko pojedyncze osoby, a gdy pastor podczas kazania obwieścił zwycięstwo nad bestią, nie zjawił się nikt.

Rozgoryczenie Lucasa osiągnęło punkt krytyczny. Po prostu poczuł się zbędny. Tak bardzo zaangażował się w to, aby przeszkolić chłopów, poświęcał im każdą chwilę, zaniedbując własną siostrę, a oni odwrócili się od niego, gdy tylko uznali, że już nic im nie grozi. Właściwie Westmoore zaczął żałować, że bestia zaprzestała ataków.

Mając więcej wolnego czasu, hrabia postanowił naprawić relację z Elizabeth. Nie miał za bardzo pojęcia, jak to zrobić, ale korzystając z dobrych rad Celeste, spróbował wciągać siostrę do rozmów. Zaczął od zagadywania jej przy posiłkach. Na początku traktowała go z chłodną uprzejmością, ale widząc, że Lucas naprawdę się stara, zmieniła swoje nastawienie względem niego. Ich krótkie rozmowy dotyczące codziennych spraw powoli stawały się dłuższe i poruszali coraz poważniejsze tematy. Westmoore z niemałym zdziwieniem odkrył, że Elizabeth naprawdę jest bardzo inteligentną osobą, która orientuje się w sprawach politycznych. Z braku innego towarzystwa była doskonałym kompanem, z którym można było pogawędzić zarówno o pogodzie, jak i ustawie, która przyznawała prawa wyborcze wszystkim mężczyznom w miastach, pod warunkiem, że byli głową rodziny i dzierżawili domy za co najmniej dziesięć funtów miesięcznie.

A jednak, mimo poprawy wzajemnych relacji, pomiędzy rodzeństwem nadal zdarzały się zgrzyty. Elizabeth nie mogła pogodzić się z tym, że Lucas twardo obstaje przy ograniczaniu roli kobiety, zaś on nie zamierzał zmieniać swoich przekonań tylko dlatego, że odkrył, iż jego siostra dorównuje mu intelektem. Rozmowy na ten temat zawsze kończyły się kłótnią.

– Lucas jest taki uparty. – Elizabeth po każdej takiej sprzeczce żaliła się Roderickowi, z którym nadal spotykała się w tajemnicy. – Mam wrażenie, że nigdy go nie przekonam, iż kobieta to nie osoba gorszej kategorii. On wie swoje i wszystkie moje tłumaczenia kwituje śmiechem.

Tyle rozmawiamy na różne tematy i zgadzamy się w wielu kwestiach, ale ta jedna nas dzieli.

– Może na razie ją omijajcie – zaproponował. – Bywa, że potrzeba więcej czasu, aby coś zmienić. Żyję na tym świecie wiele wieków i wiem, że na wszystko przychodzi odpowiednia pora. Na to też przyjdzie.

– Oby nie wtedy, gdy wbrew mojej woli wyda mnie za jakiegoś mężczyznę z towarzystwa, którego uzna za odpowiednią partię dla mnie – zadrwiła.

– I dałabyś się tak wydać? – Roderick droczył się z nią.

– Już ci mówiłam, że gdy będzie trzeba, pójdę za tobą na koniec świata. – Przytuliła się do niego. – Nikt i nic nas nie rozdzieli. Tak powiedziała ta wiedźma... to znaczy Caroline. Jesteś moim mężczyzną z przepowiedni.

– Lucas tu idzie. – Wypuścił ją z ramion i momentalnie zniknął. Nie lubiła, gdy tak po prostu rozpływał się w powietrzu.

– Elizabeth? – Drzwi do pokoju uchyliły się. – Wydawało mi się, że z kimś rozmawiasz. – Rozejrzał się uważnie dookoła.

– I to jest dobre stwierdzenie. Wydawało ci się. Po prostu mówiłam sama do siebie.

Zresztą sam zobacz. – Wskazała ręką na pokój. – Nikogo tu nie ma. Jeśli chcesz, możesz sprawdzić pod łóżkiem – dodała. – Właśnie miałam się kłaść.

– Nie muszę sprawdzać, Elizabeth. Wierzę ci – westchnął. – Przepraszam, że przy kolacji znowu się na ciebie złościłem. Naprawdę bardzo się staram ciebie zrozumieć, ale niektóre twoje zapatrywania są dla mnie po prostu nie do przyjęcia.

– Dlaczego?

– Bo inaczej mnie wychowano.

– Mnie też tak wychowywano, ale potrafiłam poczytać trochę książek i zrozumieć, że żyjemy w błędzie.

– To tylko twoja interpretacja, Elizabeth. Nie możesz zaprzeczyć, że kobieta jest istotą słabszą i bardziej podatną na zranienie. Rolą mężczyzny jest chronić ją i wspierać, a także kierować jej krokami.

– Moimi nie będzie kierował żaden mężczyzna – oświadczyła.

– Mylisz się, Elizabeth. Bez opieki mężczyzny kobieta nic nie znaczy. Nawet nie może dziedziczyć. Nie pamiętasz ciotki Olivii? Gdy umarł jej mąż, cały majątek przeszedł w ręce jego kuzyna, czyli naszego ojca. Ciotce została tylko marna renta. Gdyby chociaż miała syna...

Niestety, los obszedł się z nią bardzo źle.

– Raczej ludzie, a nie los. To ludzie ustalają te głupie prawa.

– Te głupie, twoim zdaniem, prawa to podstawa naszego społeczeństwa.

– Czas więc zmienić tę podstawę – oświadczyła, siadając na posłaniu. Zasłoniła usta dłonią, udając, iż ziewa. – Dokończmy tę rozmowę kiedy indziej – poprosiła. – Jest już bardzo późno, a ja jestem zmęczona – dodała.

– Oczywiście, Elizabeth – westchnął z rezygnacją. – Kładź się spać. Zobaczysz, że kiedyś życie zmodyfikuje twoje przekonania.

– Wątpię. Będę im wierna.

– Dobranoc. – Udał, że nie usłyszał. Opuścił pokój, a ona natychmiast zerwała się z łóżka i dopadłszy do drzwi, pospiesznie przekręciła klucz w zamku. Zanim zdążyła się od nich odwrócić, poczuła ciepły oddech owiewający jej szyję.

– Uparta jesteś – wyszeptał Roderick. Zadrżała, gdy jego usta musnęły płatek jej ucha.

Przymknęła powieki, poddając się nastrojowi chwili.

– Taką mnie lubisz, prawda?

– Nie. Ja cię nie lubię – zaprzeczył. – Ja cię uwielbiam.

Powoli odwrócił ją twarzą do siebie i ująwszy dwoma palcami podbródek Elizabeth, uniósł go, zmuszając, aby spojrzała mu prosto w oczy. Znał jej myśli i wiedział, czego pragnie.

– Tak jak powiedziałaś, jestem twoim mężczyzną z przepowiedni. A ty jesteś kobietą, o której usłyszałem przed wiekami. Czekałem na ciebie całą wieczność.

– Usłyszałeś o mnie przed wiekami?

– Byłaś nadzieją, w którą nie wierzyłem. Caroline zapewniała, że sprawisz cud, jednak uważałem, że to kolejne jej kłamstwo, które ma mi dać płonną nadzieję. A jednak nie kłamała.

Sprawiłaś ten cud. I teraz jestem tu, przy tobie. Patrzę na ciebie i potrafię zapomnieć o mojej krwiożerczej naturze. Byłem bestią, lecz ty mnie oswoiłaś. Należę do ciebie, Elizabeth. Istnieję tylko dla ciebie. Bez ciebie mnie nie ma.

Tknięta impulsem wspięła się na palce i pocałowała go prosto w usta. Bez chwili wahania odwzajemnił pocałunek i ich wargi napały na siebie w pełnym żarliwości tańcu. Zwarli się w namiętym uścisku, który zdawał się spajać ich w jedno.

Roderick pierwszy zdołał powstrzymać emocje i zdecydowanym ruchem odsunął od siebie Elizabeth. Zaskoczona tą reakcją patrzyła na niego, nie rozumiejąc, dlaczego ją odtrąca.

– To nie takie proste, Elizabeth. – Bezradnie potrząsnęła głową. – Uwierz mi, że nie marzę o niczym więcej bardziej niż o tym, aby pochwycić cię w ramiona, przenieść na łóżko i w pełni uczynić moją kobietą, ale nie wolno mi tego zrobić.

– Dlaczego?

– Bo jesteś niewinną dziewczyną, która ma przed sobą całe życie. Nie mam prawa wciągać cię w świat mroku.

– Co mi po życiu bez ciebie? Jeśli ty jesteś mrokiem, to ja jestem jasnością. Czyż nie widziałeś nigdy wieczornego nieba, kiedy mrok i jasność ze sobą współistnieją? Jakże pięknie wygląda czarny firmament, gdy przecinają go smugi światła. Stwórzmy nasze własne wieczorne niebo. Najpiękniejsze na świecie i tylko nasze.

– Elizabeth, nie wiesz, o czym mówisz...

– Jeszcze kilka chwil temu zapewniałeś mnie, że jestem kobietą, którą przepowiedziano ci przed wiekami, a teraz... – przerwała mu. – Myślałam, że już zawsze będziemy razem. Że tej nocy uświęcimy naszą miłość. Czy nie rozumiesz, że chcę być z tobą? Chcę, abyś kochał się ze mną, tak jak mąż z żoną!

Nie zawstydziła się tych słów. Wypowiedziała je, gdyż i tak wiedziała, że on zdaje sobie sprawę z jej pragnień. Nie chciała czekać kolejnych dni, wypatrując z niecierpliwością jego przyjscia. Każdy jego dotyk, pocałunek, oddech, którym owiewał jej skórę, powodowały, że drżała i rozpadała się na miliony cząstek. Chciała wreszcie pozbyć się tego nieznośnego oczekiwania. Chciała zakosztować owocu, który chociaż zakazany, tak bardzo ją kusił.

– To niemożliwe, Elizabeth. – Podeszedł do okna i stanął tyłem do niej, wpatrując się w ciemność za szybą. – To, że cię kocham, nie znaczy, że chcę cię unieszczęśliwić. Nie mógłbym okryć cię hańbą. Nie mógłbym narazić cię na taki wstyd.

– Miłość nazywasz wstydem? – krzyknęła. – Przecież ja ciebie kocham! Chcę być z tobą!

Chcę czuć twoje pocałunki na swoim ciele! Chcę tylko tego, czego świat mi zabrania! Ale mam gdzieś ten świat!

– Elizabeth! Czy ty sama się słyszysz? Czy ty wiesz, co mówisz? Tak nie zachowują się porządne panienki.

– Nie chcę być porządną panienką. – Podbiegła do niego i szarpnęła go za ramię. Była zdesperowana i nie zamierzała ustąpić. Jej wrodzony upór dawał o sobie znać. – Chcę być z tobą i pragnę poznać smak prawdziwej miłości.

– Elizabeth – wyszeptał, patrząc na nią zdumionym wzrokiem. Uniósł rękę i ostrożnie odgarnął pukiel włosów z czoła dziewczyny. – Ja też tego pragnę, ale...

– Ale nie chcesz uczynić ze mnie kobiety – zauważyła z wyrzutem. – Jesteś taki sam jak mój brat! Nigdy nie obchodziło cię, co ja czuję i czego chcę! Myślałam, że...

– Elizabeth! – przerwał, chwytając ją w ramiona. – Kiedy cię widzę, płonę. Jesteś dla mnie wszystkim. Wszystkim – powtórzył dobitnie. – Niczego bardziej nie pragnę, jak zedrzeć z ciebie tę koszulę i całować każdy milimetr twojego ciała. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak na mnie działasz.

– Jeśli naprawdę chcesz, to dlaczego tego nie zrobisz? – Ponownie wspięła się na palce, ale nie zdążyła nic zrobić, gdyż on gwałtownym ruchem przygarnął ją do siebie i pocałował pierwszy. A zrobił to z takim żarem, że aż ugięły się pod nią kolana. Dobrze, że ją tulił, bo niechybnie by upadła.

– Czy jesteś pewna? Czy naprawdę jesteś tego pewna? – zapytał drżącym głosem pomiędzy kolejnymi pocałunkami. Jego oddech był przyspieszony, a oczy świeciły dziwnym blaskiem. – Nie zapominaj, kim jestem. Ja nie żyję! Jestem martwy! Nie stworzysz ze mną prawdziwej rodziny, nie będziesz mieć dzieci. Jeszcze możesz się wycofać. Możesz żyć jak człowiek, u boku kogoś takiego jak ty.

– Jestem pewna – potwierdziła z mocą. – Teraz, gdy poznałam cię, nie mogłabym być z nikim innym. Jeśli nie ty, to nikt. Rozumiesz? Może jestem jeszcze bardzo młoda, ale to nie znaczy, że nie wiem, co czuje moje serce.

– Elizabeth – jęknął, zdając sobie sprawę, że oto za chwilę przekroczy granicę, zza której nie ma powrotu. – Nie chcę, abyś kiedyś żałowała. Szanuję cię i nie chcę skrzywdzić. Gdybyś miała przeze mnie cierpieć...

– Nie będę – szepnęła, rozpinając guziczki swojej nocnej koszuli.

Zdecydowała się i chociaż właściwie nic nie wiedziała na temat miłości, oprócz kilku usłyszanych przypadkowo słów, była pewna, iż to z Roderickiem chce przeżyć swój pierwszy raz. Nie wyobrażała sobie, aby ktoś inny mógł ją dotykać, całować. To, co robiła, było złe, wręcz okropne. Dziewczęta z jej sfery nie zachowywały się w taki sposób. Młode panienki uśmiechały się zalotnie na balach, tańczyły z młodzieńcami i piły w ich towarzystwie popołudniową herbatkę, ale zawsze odbywało się to pod czujnym okiem opiekunów. Nie do pomyślenia było, aby jakaś szanująca się dziewczyna z dobrego domu spotykała się potajemnie z mężczyzną, a na prawdziwy skandal zakrawałoby, gdyby taka dziewczyna posunęła się dalej w tej znajomości. To okryłoby hańbą nie tylko samą sprawczynię, ale i całą jej rodzinę.

A jednak Elizabeth nie przejmowała się konsekwencjami swojego czynu. Nie chciała się nad nimi zastanawiać. Była kobietą, co już na samym starcie czyniło z niej osobę gorszej kategorii. Nie mogła decydować o swoim życiu, nie mogła podążać za głosem serca. To nie było sprawiedliwe! Elizabeth nie zamierzała przeżyć życia posłuszna nakazom i zakazom społecznym.

Bycie marionetką nie przypadło jej do gustu. Czuła i rozumiała więcej niż panienki w jej wieku.

Chciała kochać i być kochaną. Chciała móc decydować o swoim losie. Właśnie wystąpiła przeciwko wartościom, które powinny być dla niej najważniejsze.

Roderick czuł determinację Elizabeth. Była zdecydowana i pewna podjętej decyzji, a on nie miał już ochoty dłużej jej od tego odwozić. Schwycił przeguby dłoni dziewczyny i sam dokończył rozpinanie guziczków, a następnie wsunął palce pod ramiączka koszuli i powolnym ruchem zsunął je, odsłaniając dekolt i piersi dziewczyny. Zwoje delikatnego materiału miękko spłynęły w dół, ścieląc się u jej stóp.

– Jesteś taka piękna. – Wziął ją na ręce i przeniósł na łóżko.

Czuła jego bliskość i bliskość ta powodowała, że traciła zmysły. Pragnęła go tak mocno.

Usta Rodericka przesuwały się po ciele Elizabeth, budząc w niej niezwykły żar. Zdawało jej się, że płonie, że spala się na popiół. Tylko jego ramiona mogły ukoić ten żar, ugasić nieodparte pragnienie, które ogarnęło ją bez reszty. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła, jak Roderick zdejmuje swoją czarną koszulę. Zobaczyła jego nagi tors. Poniżej prawej piersi dostrzegła niewielką, podłużną bliznę. Gdy pochylił się nad nią, dotknęła jej i powiodła po niej palcem.

– Skąd to? – zapytała.

– Dużo osób na mnie poluje – odpowiedział, znowu badawczo wpatrując się w jej twarz, tak jakby wyczekiwał znaku, że jednak zmieniła zdanie. – Moje rany się goją, ale te zadane czystym srebrem pozostawiają po sobie blizny.

Polują na niego? Przypomniała sobie oblawę organizowaną przez Lucasa. Może nawet i jej brat celował do niego. Co by zrobiła, gdyby ktoś przerwał jego istnienie? A gdyby to był

Lucas? Poczowała gwałtowne ukłucie strachu, gdy przyszło jej to do głowy. Nie chciała o tym myśleć, nie teraz. Spojrzała z miłością na Robillarda. Zarzuciła mu ręce na szyję, przyciągając do siebie. Poczowała jego nagie ciało na swoim.

Nie wiedziała, jak wygląda miłość, ale Roderick ją tego nauczył. Poprowadził ją wprost ku spełnieniu. Był taki delikatny, czuły. Jego usta muskały jej skórę, powodując wewnętrzne drżenie. Przesuwał nimi po jej szyi, schodząc coraz niżej i niżej... Nieporadnie starała się odwzajemniać pieszczoty mężczyzny. Głaskała go po plecach i ramionach, targała jego czarne włosy. Ciało Elizabeth płonęło, pragnąc Rodericka coraz mocniej i wyczekując chwili, gdy wreszcie staną się jednością.

Uniósł się na łokciach i spojrzał na nią czule, próbując powstrzymać ogarniającą go żądzę. Była taka delikatna i krucha. Nie chciał jej skrzywdzić ani przysporzyć cierpień. Ciągle zastanawiał się, czy to, co robi, nie jest błędem. Pewnie powinien być silniejszy i umieć się powstrzymać. Powinien myśleć o niej i o tym, co jest dla niej dobre. Dlaczego więc daje się ponieść uczuciu? Dlaczego nie myśli racjonalnie? To błąd, za który przyjdzie mu kiedyś zapłacić.

Ale nie dziś! Już zdecydował, że poprowadzi ją tam, gdzie tak bardzo chciała z nim iść.

– Kocham cię – powiedział.

– Ja ciebie też.

Patrzyła mu prosto w oczy i wyczekiwała tego, co zaraz miało nastąpić. Spięta się, czując, że to już. Zauważył to i wszedł w nią najdelikatniej jak potrafił. Jęknęła cicho, a on przytulił ją do siebie i szepcząc słowa pełne miłości, kołysał wolno w ramionach, ucząc rytmu swojego ciała. Po chwili rozluźniła się i dała ponieść odwiecznemu tańcowi miłości.

– Pocałuj mnie – wyszeptwała. – Proszę... pocałuj.

O niczym innym nie marzył. Powoli otwierał przed nią drzwi krainy rozkoszy, prowadząc wprost do spełnienia. Elizabeth poddała się rytmowi Rodericka i wtuliła twarz w jego ramię, by powstrzymać kolejne jęki, które mimowolnie wydobywały się z jej gardła. Nigdy jeszcze nie była tak szczęśliwa i gdyby jutra miało nie być, to i tak niczego nie żałowała. Liczyło się tu i teraz. To był czas ich miłości.

Gdy dwoje kochanków poznawało sekrety swoich ciał i zgodnym rytmem sięgało szczytów rozkoszy, ciszę nocy przerwał huk grzmotu przetaczającego się po okolicy, a po chwili czarne niebo rozświetlił nagły blask. Wyłonił on z odmętów mroku sylwetki zastygłych w niemym przerażeniu drzew, których gałęzie, skręcone w paroksyzmie bólu, szarpał porywisty wiatr. Miarowo uderzały o szybę, jakby prosząc o wpuszczenie do środka.

– Co się dzieje? – zapytała zaniepokojona Elizabeth, zwracając twarz w stronę okna, na którego tle pojawił się właśnie złoty zygzak błyskawicy.

– Nie bój się. – Roderick mocniej przytulił ją do siebie. – To tylko burza.

– Nie boję się – szepnęła. – Gdy jesteś obok, nie lękam się niczego. Nawet śmierci.

Nie odpowiedział nic na to wyznanie. Tylko on jeden zdawał sobie sprawę, ile Elizabeth będzie musiała poświęcić w imię ich miłości. Ten deszcz i burza były zwiastunami przyszłego życia. Ostrzeżeniem, którego nie powinien lekceważyć, a jednak to zrobił. Był egoistą, który uważał, że gdy się kogoś kocha, nie można pozwolić mu odejść. A może właśnie prawdziwą potęgę swojej miłości okazałby Elizabeth wtedy, gdyby zwrócił jej wolność?

Zawierucha, która nagle się pojawiła, zastała Lucasa w bibliotece. Jego myśli zaprzętało tyle różnych spraw, że nawet nie miał ochoty się kłaskać. Pochylony nad książką, mimo późnej pory, czytał przy blasku świecy. Gwałtowny podmuch wiatru, który wpadł przez uchylone okno, zgasił płomień i pokój pograżył się w zupełnej ciemności. Nie na długo jednak, gdyż już po chwili mrok rozjaśniło światło błyskawicy.

Lucas wstał z krzesła i podszedł do okna. Zamknął je, aby deszcz nie napadał do pomieszczenia. Wielkie krople stukały o szyby, oblewając je strugami łez i kreśląc na nich abstrakcyjne obrazy. Zza tego rozmytego malowidła, będącego dziełem natury, w ciemności nie widać było niczego.

Nagle, w świetle kolejnej błyskawicy, Lucas dostrzegł postać stojącą przed oknem biblioteki. Nie mógł rozpoznać, czy to kobieta, czy też mężczyzna, gdyż sylwetka, którą zobaczył, obleczona była w szeroką pelerynę z kapturem nasuniętym głęboko na czoło. Zresztą widział ją tylko przez ułamek sekundy. Błyskawica zgasła i za szybą znów zapanowała ciemność.

– Co jest? – krzyknął Westmoore i aż cofnął się o krok.

Nie musiał długo czekać na odpowiedź, gdyż kolejny błysk ukazał jego oczom krzew różanecznika rosnący na klombie przed biblioteką. Po przerażającej postaci nie było nawet śladu.

Lucas zrozumiał, że to umysł spłatał mu figla. W świetle błyskawicy, patrząc przez zalaną deszczem szybę, zwykły krzew wziął za intruza, który wtargnął na teren rezydencji.

Roześmiał się, próbując pokryć zmieszanie. Kto miałby w nocy, w dodatku przy takiej pogodzie, nawiedzać jego dom? Zresztą strażę przy bramie nikogo by nie wpuścili. To naprawdę musiało być złudzenie. Zwykłe przywidzenie. A jednak, mimo iż potrafił wyjaśnić

sobie logicznie ten przerażający obraz, w jego duszy pojawił się dziwny niepokój. Jakby przeczuł, że wkrótce wydarzy się coś złego.

Wiatr szarpał połami peleryny tajemniczej postaci, a strugi deszczu bezlitośnie ją smagały. Z kapturem nasuniętym głęboko na czoło, tak aby nikt nie mógł zobaczyć jej twarzy, z głową zwróconą w stronę rezydencji Westmoore'ów, stała na skraju lasu i zdawała się nie zwracać uwagi na szalejący wkoło żywioł. Błyskawice raz po raz cięły niebo, rozjaśniając blaskiem okolicę. W ich świetle szczególnie upiornie wyglądała bryła budynku ze strzelistymi wieżyczkami, ku której spojrzenie kierowała postać w pelerynie.

– Przeznaczenie zostało przypieczętowane – odezwała się dźwięcznym głosem. – Oto stało się to, co stać się miało. Już nic nie zatrzyma koła losu. Przekłęci na wieki martwi, ale żywi... Znienawidzeni przez ludzi i sami się nienawidzący.

Zaśmiała się i zsunęła z głowy kaptur. Jej przepowiednia właśnie się spełniała.

Kolejne dni były do siebie podobne. Mijały szybko, jeden po drugim. Każdej nocy Elizabeth zasypiała wtulona w ramiona Rodericka, szczęśliwa, spełniona, przepelniona miłością, i każdego ranka budziła się u jego boku. Na szczęście zanim Jane przychodziła ze śniadaniem, Roderick zawsze znikał. Bestia więcej się nie pojawiła i w okolicy zapanował względny spokój.

Promienie słońca traciły na swej sile, a dni stawały się coraz krótsze. Chłodne podmuchy wiatru marszczyły tafle stawu, tworząc na niej małe fale. Liście drzew przybrały barwę złota, czerwieni i żółci, a opadając na ziemię, zaścielały ją precudnym kobiercem. Jesień zaczynała swoje niepodzielne panowanie.

Gdy pogoda dopisywała, zakochani zaszywali się w parkowej samotni nad stawem i osłonięci przed wzrokiem niepożądanych osób, napawali się swoją bliskością. Właściwie rozstawali się tylko wtedy, gdy Roderick udawał się na polowanie, oraz kiedy Elizabeth musiała towarzyszyć Lucasowi przy posiłkach i we wspólnych wycieczkach konnych. Teraz, gdy bestia okazała się tylko wspomnieniem, Westmoore okazał siostrze łaskawość i pozwolił jej na towarzyszenie mu podczas przejażdżek.

Dziś Roderick zjawił się pierwszy na umówione spotkanie. Elizabeth jeszcze nie wróciła z wyprawy do wsi, w której jak to miała ostatnio w zwyczaju, towarzyszyła Lucasowi.

Niebo było zasnuwane chmurami, ale od czasu do czasu przez ciemną powłokę przebijały się nieśmiałe promienie słońca. Roderick zdjął czarny surdut i przerzucił go przez pień powalonego drzewa. Stał nad brzegiem stawu, pochylił się i zanurzył dłonie w zimnej wodzie.

Zafascynowanym wzrokiem obserwował, jak krople przeciskają się przez jego palce, by po krótkiej wędrówce w dół na powrót zniknąć w ciemnej toni.

Wyprostował się, rozglądając dookoła. Wytarł dłonie w spodnie i wolnym krokiem podszedł do kłody, na której zazwyczaj siadali. Jego stopy w czarnych, eleganckich butach, zdawały się zatapiać w grubym dywanie, utkany z liści.

Usiadł na ziemi, opierając plecy o pień drzewa. Przymknął oczy, przywołując pod powieki obraz Elizabeth. Dłonią gładził trawę i opadłe liście. Czuł się tak dobrze, jak kiedyś, kiedy jeszcze żył.

Wszystkie dźwięki docierały do niego z ogromną siłą. Najcichszy szelest drzew rosnących w pobliskim lesie był dla niego niczym odgłos wodospadu. Słyszał nawet mrówki, wędrujące

pod ziemią. Nienawidził tego wiecznego hałasu, który, od chwili przemiany, ciągle mu towarzyszył. Zdołał się do niego przyzwyczaić, ale nie zaakceptował. Oddałby wszystko za ciszę. Na początku nowego istnienia natężenie dźwięków przyprawiało go o ból głowy, zdawało się rozsadzać czaszkę, ale z czasem nauczył się po prostu wypychać je ze swej świadomości.

Owszem, zdawał sobie sprawę z ich istnienia, ale wreszcie przestały go drażnić i przeszkadzać.

Potrafił odróżnić ważne dźwięki i na nich się skoncentrować.

Teraz, siedząc samotnie pod drzewem, wsłuchiwał się w odgłos spadających liści, muskanych przez delikatne powiewy wiatru. W pewien sposób wyczuł rytm tworzący muzykę natury. Dźwięk kropel wody, rozbryzgujących się o brzeg stawu, brzęczenie muszki, przelatującej w pobliżu, ptasie trele dobiegające z konarów drzew. Nagle do jego uszu doleciał

jeszcze jeden odgłos. Daleki, ale bardzo wyraźny. Dla zwykłego człowieka ten dźwięk nie byłby słyszalny, jednak on wyraźnie odróżnił uderzenia końskich kopyt, zbliżających się z każdą sekundą. Skupił się na tym odgłosie, bez trudu wyłapując moment, gdy konie zajechały przed dom i dwie osoby zeskoczyły z ich grzbietów. Kroki Lucasa były zdecydowane, stawiane mocno, pewnie, Elizabeth zaś zdawała się unosić nad ziemią, lekko tylko muskając nawierzchnię drogi stopami.

– Gdzie idziesz, Elizabeth? – zapytał Lucas, widząc, iż siostra kieruje się w stronę parku.

– Zaraz wracam! – odrzyknęła bratu. – Przejdę się trochę.

– Mało ci jeszcze spacerów?

– Tych pieszych tak.

– Tylko nie chodź zbyt długo. Robi się chłodno – upomniał ją Westmoore.

Roderick nasłuchiwał kroków dziewczyny, nie zmieniając pozycji w jakiej siedział, ani nadal nie otwierając oczu. Cierpliwie czekał na przyście ukochanej, chłonąc całym sobą niepowtarzalną atmosferę spokoju i szczęścia.

– Przepraszam za spóźnienie. – Elizabeth zatrzymała się przed nim i z czułością popatrzyła na dziwnie zadumaną, jakby uduchowioną twarz Robillarda. – Byłam we wsi z Lucasem i trochę się nam przeciągnęło.

– Wiem.

– No jasne. Ty wiesz o wszystkim. – Roześmiała się.

– Będzie ci brakować tego miejsca, prawda?

– Prawda – przyznała. – Spędziłam tu prawie rok i prawdę mówiąc, przez większość tego czasu marzyłam, aby się stąd wyrwać. A teraz, gdy mamy wyjechać... – Umilkła na moment.

–

Ale najważniejsze, że ty będziesz ze mną. Nieważne gdzie, ważne, że razem.

Przyciągnął ją do siebie tak, iż usiadła na jego kolanach. Objął ją wpół, opierając podbródek o jej ramię.

– Kiedyś, za kilkadziesiąt, a może kilkaset lat, przyjedziesz tutaj i wspomnisz o mnie – wyszeptala, patrząc rozmarzonym wzrokiem na staw.

– Nie mów tak. – Oczy Rodericka posmutniały. Zdawał sobie sprawę z nieodwołalności niektórych spraw. On miał przed sobą wieczność, ona zaledwie kilkadziesiąt lat, które były chwilą w nieskończoności. – Liczy się tu i teraz.

- Ale obiecaj, że kiedyś tu wrócisz. Że staniesz nad brzegiem tego stawu i mnie wspomnisz. Wtedy, kiedy mnie już nie będzie...

- Przyrzekam. - Wiedział, że jeśli nie przeciągnie Elizabeth na stronę mroku, to taki moment kiedyś nadejdzie. Jeśli ocali jej duszę, znowu będzie musiał zostać sam. Nie chciał jednak o tym myśleć. Nie teraz. Każda chwila była jedyna, niepowtarzalna i taka cenna. Każda chwila z Elizabeth nabierała jeszcze większego znaczenia.

- Jutro wyjeżdżamy - westchnęła.

- Wiem, ale na razie mamy dziś. - Odwrócił ją do siebie, tak aby widzieć jej twarz. -

Jesteśmy razem i nikt tego nie zmieni. Jesteś moja, tylko moja.

Zarzuciła mu rękę na szyję, a on docisnął Elizabeth do siebie i zaczął obsypywać pocałunkami. Przesuwał ustami po jej włosach, czole, oczach, policzkach, ustach, szyi...

Przyprawiał ją o zawrót głowy i to przyjemne drżenie, które tak lubiła.

- Jestem twoja - powtórzyła, poddając się jego pieścizotom. Powrót do Londynu nie przerażał jej, gdyż miała pewność, że Roderick pójdzie za nią wszędzie. Byli ze sobą połączeni więzami silniejszymi niż zwykła miłość.

ROZDZIAŁ VIII

Powrót Westmoore'ów do Londynu nie przeszedł niezauważony. Od czasu tragedii sprzed ponad roku, wszyscy się zastanawiali, jak młody hrabia poradzi sobie z opieką nad dorastającą siostrą. Podziwiali go za decyzję o rezygnacji z kariery wojskowej, ale nie rozumieli, dlaczego wyjechał na prowincję, kryjąc się przed światem. Przecież dla panienki w wieku Elizabeth, roczne wycofanie się z życia towarzyskiego było jak wyrok. Liczne ciotki z niedowierzaniem kręciły głową, użalając się nad losem hrabianki Westmoore i przepowiadając jej los zgorzkniałej starej panny.

Jakże musiały zdziwić się te szacowne damy, gdy spostrzegły, że na zabitej dechami prowincji, jak zwykły nazywać miejsce, gdzie Lucas zabrał siostrę, Elizabeth rozkwitła i stała się pewną siebie, atrakcyjną kobietą. Przekonały się o tym, obserwując Westmoore'ów, którzy chociaż nie byli miłośnikami życia towarzyskiego, po powrocie do Londynu ponownie zaczęli uświetniać swoją obecnością bale i przyjęcia. Nie trzeba było długo czekać, aby wokół Elizabeth pojawił się wianuszek adoratorów, chętnych starać się o rękę majątnej, a przede wszystkim pięknej panny. Ciotki musiały zgodnie przyznać, że pomysł z wyjazdem na prowincję nie był taki zły i pozwolił Elizabeth na przeżycie w spokoju żałoby i przygotowanie się na powrót do normalnego życia.

Od balu do balu, od przyjęcia do przyjęcia. Czas świąteczno-noworoczny i karnawał dostarczył Westmoore'om wielu okazji do zabaw. Właściwie nawet taki tryb życia troszkę już ich męczył, jednak nietaktem byłoby odrzucenie bez ważnej przyczyny któregoś z licznych zaproszeń.

Tego wieczora również przyszło im uczestniczyć we wspaniałym, wykwintnym przyjęciu, wydawanym przez księżnę Devonshire. Jak zwykle, zaraz po przybyciu do rozświetlonej setkami lamp rezydencji, panna Westmoore została otoczona przez grono przystojnych, nieco zblazowanych młodzieńców, stając się obiektem zazdrości pozostałych panien, które, zbiwszy się w małe grupki, obgadywały ją za jej plecami. Elizabeth zdawała sobie sprawę, że jest przedmiotem plotek, ale nie zwracała na to uwagi. Wyznawała zasadę, że nieważne co ludzie o niej mówią, najważniejsze jest to, co ona sama myśli o sobie.

Mężczyźni prawili jej miłe słowa, zapewniali o swoim oddaniu, a ona w wystudiowany sposób uśmiechała się do każdego z nich, żartowała, odpowiadała na komplementy, jednak żadnemu nie dawała nadziei na coś więcej. Uczestniczyła w balach i przyjęciach z musu, bo tak wypadało, ale marzyła jedynie o powrocie do domu, gdzie czekał na nią Roderick. To on

był sensem jej życia i jedynym mężczyzną, jakiego widziała u swojego boku. Prawie każdą noc spędzała w jego ramionach, oddając mu całą siebie.

Na szczęście Lucas nie miał pojęcia o podwójnym życiu siostry. Dla hrabiego nadal była niewinną panienką, którą należało strzec, jednocześnie dyskretnie rozglądając się w poszukiwaniu odpowiedniego kandydata na męża dla niej. Chociaż ostatnio nie poruszał z Elizabeth tematu jej zamążpójścia, wiedział, że nie może w nieskończoność odwlekać tego momentu, dlatego przygotowywał się do niego. Miał nawet już na uwadze kilku młodzieńców, którzy mogliby okazać się trafnym wyborem. Musiał tylko zasięgnąć informacji na ich temat.

Najwięcej o kandydatach można było dowiedzieć się od ciotek, które udzielając się w towarzystwie, miały najświeższe informacje o wszystkich mniej i bardziej liczących się osobach.

Były wręcz skarbnicą wiedzy. Lucas jednak nie lubił się z nimi spotykać, gdyż szacowne damy zawsze korzystały z nadarzającej się okazji i próbowały wyswatać go z córkami i wnuczkami

swoich przyjaciółek. Westmoore'owi nie spieszyło się do żeniaczki, uznał więc, że dla własnego bezpieczeństwa lepiej zrobi, jeśli to wśród mężczyzn zasięgnie języka. Wymarzoną okazją do tego wydawały się chwile, kiedy to podczas przyjęcia panowie przenosili się do innego pomieszczenia, aby w spokoju porozmawiać o ważnych sprawach.

Upewniwszy się, że Elizabeth dobrze się bawi wśród swoich adoratorów, Lucas udał się do gabinetu. Nie przepadał za dymem tytoniowym, właściwie wcale go nie lubił, ale dla dobra siostry musiał zdecydować się na to poświęcenie. Ledwie uchylił drzwi, gdy w twarz buchnęły mu szare kłęby. Zakasłał i odruchowo przysłonił usta dłonią.

– Hrabia Westmoore coś nazbyt delikatny – zażartował jeden z obecnych w środku mężczyzn. – Chyba odwykł od towarzystwa. Co to jednak prowincja robi z ludźmi.

– To prawda, nie przywykłem do tytoniowego dymu – przyznał Lucas, wchodząc do pokoju i zamykając za sobą drzwi. – Ostatni rok dużo przebywałem wśród pól i lasów. Czas jednak wrócić do cywilizacji.

– I to jest dobry pomysł – zakrzyknął najstarszy w towarzystwie lord Spencer. – Z korzyścią dla pana siostry będzie, aby zamiast uganiać się po polach i łąkach, pojawiała się na balach. Lata lecą, drogi hrabio. A starej panny nikt nie chce mieć w rodzinie.

Elizabeth nużyło towarzystwo otaczających ją młodych mężczyzn. Wszyscy oni byli tacy zwyczajni. Ich żarty wcale jej nie bawiły, ale uśmiechała się, udając, iż jest zachwycona.

Najchętniej opuściłaby przyjęcie i wróciła do domu, do Rodericka. Aż przymknęła powieki na wspomnienie jego pocałunków.

Nagle coś się zmieniło. Elizabeth nie umiała wyjaśnić dokładnie co, ale poczuła w powietrzu negatywne wibracje. Do jej serca wkraść się lęk. Odniosła nawet wrażenie, że światło świec umieszczonych w złożonych kandelabrach wyraźnie pociemniało, a gwar toczących się rozmów przycichł. Z niepokojem rozejrzała się dookoła, tracąc zainteresowanie historią opowiadaną właśnie przez młodego hrabiego Howarda.

Od razu spostrzegła mężczyznę, który wszedł właśnie do sali i stał przy głównym wejściu, serdecznie witany przez księżnę Devonshire. Przybyły wyglądał bardzo młodo, mógł mieć nie więcej niż trzydzieści lat, jednak jego włosy były białe jak mleko.

– Któż to jest? – zapytała szeptem hrabiego Howarda, przerywając mu jego opowieść i dyskretnie wskazując trzymanym w dłoni wachlarzem na białowłosego mężczyznę.

– Pani raczej mówić o księciu Duncanie? – Młodzian nie poczuł się urażony jej zachowaniem.

– Księżę Duncan? – powtórzyła. To nazwisko nic jej nie mówiło.

– Tak, Barclay Duncan, bardzo szanowany w towarzystwie. Jest niebotycznie bogaty, ale trochę dziwny. Niedawno przyjechał z Indii.

– Co to znaczy, że jest dziwny? – dopytywała, nie odrywając spojrzenia od Duncana.

– Bywa na przyjęciach, ale zawsze stoi z boku. Nie bierze bezpośredniego udziału w zabawie, tylko się wszystkim przygląda. Gdy się na niego spojrzy, można odnieść wrażenie,

że potrafi czytać w myślach. To trochę przerażające, czyż nie? – Młodzian popatrzył po swoich kolegach, jakby czekając na ich potwierdzenie.

– Ma coś takiego w oczach – przyznał jeden z nich. – Dlatego wolę go unikać.

W tym momencie, jakby wiedząc, że o nim rozmawiają, Duncan spojrział w stronę Elizabeth. Zadrżała, czując na sobie jego przenikliwy wzrok. Mężczyzna nachylił się ku księżnej Devonshire i coś do niej powiedział. Szacowna dama skinęła głową na znak zgody, rozejrzała się dookoła, a dostrzegłszy siostrę Lucasa, ujęła Barclaya pod ramię i poprowadziła wprost ku

grupce, w której stała hrabianka Westmoore.

– Chyba raczyła panna Elizabeth wywołać wilka z lasu – zauważył hrabia Howard. –

Wyszedł ze swojej pieczary i idzie w naszą stronę. Lepiej będzie się ewakuować.

Ledwie to powiedział, a młodzieńcy rozpierzchli się po sali, zostawiając Elizabeth samą.

Nie mogła liczyć na ich wsparcie.

„Ach, gdyby był tu Roderick” – pomyślała.

– Moja droga Elizabeth, chciałam przedstawić ci księcia Duncana. – Księżna wraz ze swym towarzyszem podeszła do dziewczyny. – Nasz miły gość wyraził życzenie, aby cię poznać.

To prawdziwy zaszczyt, moja droga.

– Bardzo mi miło. – Dygnęła grzecznie, próbując zachować pozory spokoju. Obecność księcia Duncana dziwnie na nią działała.

– Oto hrabianka Elizabeth Westmoore. Jest tu także jej brat, ale poszedł z innymi panami do palarni. Później was sobie przedstawię.

– Nazbyt pani łaskawa. – Księżę popatrzył lodowatym spojrzeniem na swoją towarzyszkę. Elizabeth wydało się, iż wzrokiem wydał jej polecenie, bo ta niemal automatycznie, w pół słowa, odwróciła się i odeszła od nich.

– Dziękuję za zainteresowanie moją skromną osobą. – Panna Westmoore postanowiła jak najszybciej pozbyć się towarzystwa księcia. – Nie sądzę, abym była w stanie uprzyjemnić panu dzisiejszy wieczór. Dokucza mi okropna migrena. Może zechce pan pokonwersować z którąś z tych miłych dam. – Zatoczyła łuk wachlarzem.

– Nie musisz udawać. Dobrze wiesz, kim jestem, i ja też dobrze wiem, kim ty jesteś. A może powinienem powiedzieć, z kim jesteś. – Uśmiechnął się kpiąco. W jego stalowych oczach pojawiły się groźne błyski. – Biedny Roderick stracił dla ciebie głowę i zszedł z wybranej ścieżki. Bardzo interesujące! Myślałem, że jest twardszy, a on tak łatwo dał się zmienić w potulnego baranka.

Elizabeth gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc. Czyli się nie myliła! Miała dobre przeczucie. Tylko jakim cudem Robillard mógł mieć coś wspólnego z tym odrażającym mężczyzną?

– Ciekawa jesteś, skąd znam twojego Rodericka? – Wyraźnie naigrawał się z niej. – To stare dzieje. Nasze rodziny sąsiadowały ze sobą. Robillardowie zawsze byli tacy prawi, szlachetni... Walczyli z nami. Uważali nas za zło wcielone i mieli rację. Nie wiedzieli tylko, kim jesteśmy. Nie wiedzieli, dopóki nie stali się tacy jak my. Teraz nic nas nie różni, a ja jestem szczęśliwy, że wreszcie będę mógł się odwdziaczyć drogiemu Roderickowi za to, co uczynił

przed wiekami. – Pokłonił się przed nią dworsko. – Pozdrów go ode mnie. Powiedz mu, że księżę Barclay Duncan przesyła wyrazy szacunku. Na pewno bardzo się ucieszy. – Znowu się zaśmiał. –

A my, droga Elizabeth, jeszcze się spotkamy. Zapewniam cię, że spotkamy się nie jeden raz. Książę Duncan odszedł, a Elizabeth nadal stała jak sparaliżowana, nie wiedząc, co zrobić. Z tego odrętwienia wyrwał ją dopiero hrabia Howard, który widząc, iż Barclay odszedł na bezpieczną odległość, odważył się wrócić do hrabianki Westmoore.

– Czy pani dobrze się czuje? – zapytał, przyglądając się jej z niepokojem. – Bardzo pani pობladła.

– Proszę o wybaczenie, ale rozbolała mnie głowa. – Rozłożyła wachlarz i zaczęła się nim wachlować. – Muszę na chwilę wyjść i się przewietrzyć.

– Chce pani, abym pani towarzyszył? – zaproponował.

– Proszę się nie kłopotać. Poszukam brata. Pan niech zainteresuje się lady Margot.

Zauważyłam, że przez cały wieczór zerka w pana kierunku. To bardzo miła i w dodatku śliczna dziewczyna.

– Naprawdę? – Rozejrzał się w poszukiwaniu córki lorda Ravena, a widząc, że faktycznie spogląda w jego stronę, wyraźnie się ożywił.

– Proszę do niej iść – poradziła Elizabeth i nie czekając na to, co zrobi młodzieniec, ruszyła ku drzwiom tarasowym, które na szczęście okazały się otwarte.

Panna Westmoore wydostała się na zewnątrz. Zapadła już noc i było zimno, ale nie zwracała na to uwagi. Po prostu chciała uciec jak najdalej od Barclaya, który ją przerażał. Może myślała niezbyt racjonalnie, gdyż wśród tłumu była bezpieczniejsza niż w otulonym nocą wyludnionym ogrodzie. Chciała jednak być sama, mając pewność, że uda się jej myślami przyzwać Rodericka.

Po szerokich schodach zbiegła do ogrodu. Chłodne porywy wiatru targały jej balową suknię i przesywały ciało mroźnym podmuchem. Nie wzięła narzutki i teraz marzła, ale za nic na świecie nie wróciłyby na salę. Na pewno nie wtedy, gdy był tam książę Duncan.

Skryła się w małej altance, która wydała się jej miejscem dobrym na potajemną schadzkę.

Ażurowe ściany porośnięte dzikim winem, w tej chwili pozbawionym liści, zapewniały odrobinę odosobnienia, tak teraz potrzebnego hrabiance Westmoore.

Ledwie skryła się pod daszkiem, poczuła znajomy zapach.

– Jesteś – westchnęła z ulgą.

– Przyzywałaś mnie, więc jestem. – Roderick, widząc, że Elizabeth drży z chłodu, zdjął surdut i narzucił go jej na ramiona. Przytulił ją do siebie, aby nieco rozgrzać.

– Książę Barclay Duncan... – wyszeptała.

– Nic się nie bój – przerwał jej. – Jestem tu i nie pozwolę zrobić ci krzywdy.

– O czym on mówił? Znaliście się?

– Tak. Jego rodzina mieszkała niedaleko mojej. Byli okrutni, mściwi. Dręczyli swoich poddanych. A my... My walczyliśmy z nimi... Myśleliśmy, że są ludźmi. Caroline zdradziła nam prawdę o nich. Ona jedna ją знаła. Nauczyła nas, jak można ich pokonać. Byłem wtedy człowiekiem... – Umilkł na chwilę, jakby zastanawiając się, co powinien jej powiedzieć. –

Zabiłem ich wszystkich, oprócz Duncana, który uciekł... Byłem ranny... Umierałem... Wtedy ponownie pojawiła się Caroline. Wiedziała, że nic mi nie pomoże, ale moja matka tak bardzo błagała o ratunek dla mnie. Caroline dała mi swoją krew i... i przestałem być człowiekiem.

Stałem się tym, czym był Duncan. Czym była Caroline. Żyłem, chociaż byłem martwy...

– Caroline? Mówisz o tej wiedźmie z lasu? – Przypomniała sobie spotkanie z jasnowłosą zielarką. – Ona jest taka jak ty?

- Poniekąd tak, chociaż nie przeszła pełnego cyklu.
- Jakiego cyklu?
- Cyklu przemiany – wyjaśnił. – Aby stać się wampirem, trzeba napić się krwi innego wampira. Wtedy zyskuje się nieśmiertelność. Ale aby zyskać wszystkie moce przynależne wampirom, trzeba zakończyć cykl. Trzeba napić się krwi... krwi człowieka lub zwierzęcia.

Caroline nigdy tego nie zrobiła. Zdołała zapanować nad pragnieniem, od początku oszukując je specjalnymi mieszankami ziołowymi. Przemieniając mnie, myślała, że mnie też uda się nad nim zapanować. Pilnowała mnie na zmianę z moją matką, wiedząc, że najtrudniejsze są pierwsze dni i to one zadecydują o moim dalszym losie. Niestety, pragnienie okazało się silniejsze. Zabiłem własną matkę i stałem się tym, czym byłem aż do chwili, gdy spotkałem ciebie... – Wyczuł jej przerażenie, wzmocnił więc uścisk, i kołysał ją w swoich ramionach, aby uspokoić i wyciszyć emocje.

- Duncan wie o tym, co nas łączy – wyszeptła. – Tak bardzo się boję. Widziałam jego oczy i...

- Nie martw się o nic. Nie pozwolę cię skrzywdzić – ponowił swoje zapewnienia, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że żaden zemsty Barclay zrobi wszystko, by odebrać mu to, na czym najbardziej mu zależy.

Plan Lucasa, aby wywiedzieć się wśród mężczyzn o ewentualnych kandydatach na męża Elizabeth, okazał się niewypałem. Panowie, w przeciwieństwie do swoich żonek, nie dysponowali najświeższymi plotkami, a dyskusje ograniczali do spraw polityki, hazardu oraz polowań. Co gorsza, książę Devonshire, będący gospodarzem przyjęcia, a także właścicielem prosperującego przedsiębiorstwa metalurgicznego, wciągnął Lucasa w dość nudną rozmowę dotyczącą rewolucji przemysłowej i jej zdobyczy technicznych.

- Niech pan tylko pomyśli, panie hrabio. Zaledwie pod koniec siedemnastego wieku przy wytopie surówki węgiel drzewny zastąpiono węglem kamiennym. Niby nic, a jaki to znaczący krok naprzód.

- Tak, zapewne. Ma pan rację – przyznał Lucas, zupełnie nie mając pojęcia o czym mówi szacowny gospodarz.

- Abraham Darby też zrobił dużo dobrego. Jako pierwszy zastosował do wytopu surówki koks, ale dopiero pod koniec osiemnastego wieku Henry Cort dokonał przełomu, gdy opatentował nową metodę przerabiania surówki na stal. Oj, widzę, panie hrabio, że nie interesują pana takie sprawy. – Książę wreszcie zauważył, że Lucas nerwowo wystukuje palcami rytm na blacie stolika, przy którym siedzieli.

- Prawdę mówiąc, o metalurgii wiem bardzo niewiele – przyznał.

- No tak, tak. Pan oddał serce armii.

- To już przeszłość.

- Bardzo mi przykro, panie hrabio. Po tej strasznej tragedii, która dotknęła pańską szacowną rodzinę, wszyscy byliśmy myślami z panem. Podziwiamy, że podjął się pan opieki nad siostrą, zamiast złożyć to na karb jednej z ciotek. To wielce chwalebne i godne nagrody.

- Nie zrobiłem niczego, czego każdy z was, panowie, nie zrobiłby, będąc na moim miejscu – odpowiedział szybko. Nie lubił tych wszystkich niepotrzebnych słów. W końcu był bratem Elizabeth i miał obowiązek się nią zaopiekować. Innej opcji nie widział.

Drzwi gabinetu otworzyły się i do pomieszczenia wszedł kolejny mężczyzna. Książę Devonshire natychmiast się ożywił.

- O, księżę Duncan! - Podniósł się z fotela i podszedł do przybyłego. - To dla nas prawdziwy zaszczyt. Nie spodziewaliśmy się takiego wyróżnienia.

- Nie przesadzajmy. - Blondyn lekceważąco machnął ręką. - Jakżebym mógł odmówić sobie takiej przyjemności. To jedno z najlepszych tegorocznych przyjęć, jakie wydano w Londynie, a ośmieliłbym się dodać, że i w całej Europie.

- Księżę nader łaskawy.

Wszyscy obecni w pokoju mężczyźni stłoczyli się przy Duncanie, Lucasowi nie wypadało więc siedzieć. Również wstał i podszedł do stojącej przy drzwiach grupy.

- Pozwoli księżę, że przedstawię hrabiego Lucasa Westmoore'a. - Gospodarz przypomniał sobie o dość niezręcznej sytuacji, gdyż jedynie Lucas nie znał wyśmienitego gościa.

- Pan hrabia niedawno wrócił do Londynu, więc nie miał pan jeszcze możliwości go poznać.

- Hrabia Westmoore? - Wzrok przybysza spoczął na Lucasie. - Przed chwilą księżna Devonshire raczyła zapoznać mnie z hrabianką Elizabeth Westmoore. Mniemam, że to pańska krewna.

- Siostra. - Lucas skłonił głowę.

- Wyjątkowa dziewczyna. - Blondyn uśmiechnął się do Lucasa. - Szkoda, że nie dane mi było poznać państwa wcześniej. - Wyciągnął dłoń w stronę Westmoore'a.

Lucas w milczeniu uściśnął prawicę mężczyzny.

- Czyli przebywali państwo na prowincji? - Księżę Duncan zdawał się ignorować pozostałych mężczyzn, całą uwagę skupiając na młodym hrabim.

- Tak. Po śmierci rodziców chciałem, aby Elizabeth odpoczęła od wielkomiejskiego życia. Uznałem, że przebywanie na świeżym powietrzu, z dala od Londynu, dobrze jej zrobi.

- Taki piękny kwiat chciał pan zamknąć w oranżerii? - zażartował Barclay. - To wręcz grzech. Tylko przez chwilę przebywałem w towarzystwie pańskiej uroczej siostry, ale były to najwspanialsze momenty tego wieczora.

- To niezasłużony komplement... - Lucas poczuł się nieco zażenowany, tym bardziej że pozostali z zainteresowaniem przysłuchiwali się ich konwersacji.

- Może poświęci mi pan chwilkę na osobności? - zaproponował Duncan, jakby czytając w jego myślach.

- Oczywiście - zgodził się Lucas.

- Panowie nam wybaczają. - Księżę przelotnie spojrzał na resztę towarzystwa i lekko skinął im głową. - Może usiądziemy przy oknie? - Wskazał Westmoore'owi dwa wolne fotele i nie czekając na hrabiego, podszedł do nich. Lucas podążył za swoim nowym znajomym.

Gdy zajęli miejsca, a lokaj przyniósł im po szklaneczce szkockiej, Duncan upił łyk alkoholu i przez chwilę napawał się smakiem trunku.

- Nie lubi pan przyjęć, panie hrabio? - zapytał.

- Dłaczego pan tak uważa? - zdziwił się Lucas.

- Bo nie wygląda pan jak stały bywalec takich imprez.

- To aż tak widać?

- Dobrze znam się na ludziach. Wystarczy mi tylko jedno spojrzenie, aby wiedzieć, z kim mam do czynienia.

- To niezwykła i bardzo przydatna umiejętność. Sam chciałbym wiedzieć, jacy naprawdę są niektórzy ludzie - przyznał Westmoore.

– Czasem mógłby się pan nieźle przerazić. – Zaśmiał się. – Jeśli nie lubi pan przyjąć, to po co przyjmuje pan zaproszenia do udziału w nich?

– Cóż, głównie z powodu siostry. Elizabeth jest w takim wieku, że powinna wkrótce wstąpić w związek małżeński.

– Czyli szuka pan dla niej męża. – Duncan obracał w dłoniach szklaneczkę z whisky, przypatrując się, jak w trunku odbijają się płomienie świec. – Muszę panu powiedzieć, że i ja pojawiam się na przyjęciach w tym samym celu.

– Też ma pan siostrę? – zainteresował się.

– Nie. Po prostu znudziło się mi samotne życie. Szukam kobiety, która zechce rozjaśnić mroki mego istnienia.

– Na przyjęciach bywa wiele pięknych panien – przyznał Lucas. – Nie powinien pan mieć większego problemu ze znalezieniem tej właściwej. Zwłaszcza gdy tak dobrze potrafi pan odczytywać prawdziwe intencje ludzi.

– Tak, tylko widzi pan, te panny są takie nijakie. Owszem, urody nie można im odmówić, ale w większości są zapatrzona we własne odbicie w lustrze. Potrafią godzinami rozprawiać o kreacjach i biżuterii. To zdecydowanie nie moje klimaty. Chcę znaleźć kobietę, która będzie dla mnie równorzędnym partnerem do rozmów. Kogoś, z kim nie będę się nudził.

– To może być trochę trudne...

– Tak pan uważa, panie hrabio? – Duncan opróżnił szklaneczkę do końca i odstawił ją na podłokietnik fotela.

– Dlatego jestem kawalerem – wyjaśnił Lucas ze śmiechem.

– Proszę wybaczyć moją impertynencję, ale pańska siostra wydaje mi się inna niż pozostałe panienki. – Spojrzenie księcia dosięgło oczu Westmoore'a.

– Elizabeth?

– Chciałbym móc bliżej poznać pana i pańską siostrę. – Duncan z niezwykłą mocą wpatrywał się w oczy hrabiego. – Czy miałby pan coś przeciwko temu?

– Byłbym zaszczycony.

– Czy to oznacza, że zaprasza mnie pan na jutrzejszą poobiednią herbatkę do siebie? –

Siła spojrzenia księcia jeszcze wzrosła. Lucas poczuł dziwny spokój wkradający się do umysłu.

Odprężył się, po czym, co nie było w jego zwyczaju, jednym haustem wypił trzymany w ręku alkohol.

– Zapraszam pana na jutrzejszą herbatkę do mojego domu. Będzie nam miło powitać pana w naszych skromnych progach.

– Doskonale. – Książę wstał z fotela. – W takim razie jesteście umówieni.

Elizabeth, otulona ciepłym futerkiem, z ulgą zajęła miejsce w przytulnym powozie obok swojego brata. Stangret zamknął za nią drzwiczki. „Ufff, co za szczęście, że to okropne przyjęcie się skończyło” – pomyślała. Mogła wreszcie spokojnie wrócić do domu, chociaż wspomnienie twarzy księcia Duncana i jego zimnych, stalowoniebieskich oczu nadal ją prześladowało. Chciała jak najprędzej zapomnieć o tej istocie, która uosabiała czyste zło.

– Dziś na przyjęciu poznałem bardzo interesującą osobę. – Lucas przerwał rozmyślenia Elizabeth. – Książę Barclay Duncan to czarujący młody człowiek. Zaprosiłem go na jutro do nas na herbatę. Wiem, że księżna Devonshire już ci go przedstawiła, i z tego co mówił,

wywarłaś na nim ogromne wrażenie. Nie chciałbym niczego ci sugerować, ale to najlepsza partia, o jakiej mógłbym dla ciebie marzyć.

– Nie! – krzyknęła. Z chęcią zerwałaby się na równe nogi, gdyby nie ograniczona przestrzeń powozu. – Na mnie ten człowiek wywarł również silne wrażenie, ale bardzo negatywne. Nic mnie nie obchodzi jego pieniądze! Mógłby być cały ze złota, a ja i tak nie chciałabym spędzić z nim ani jednej chwili. Ten mężczyzna po prostu mnie przeraża. Widziałeś jego oczy? Są takie zimne. Książę wygląda jak pozbawiony uczuć morderca.

– Głupstwa gadasz, Elizabeth! – fuknęła Lucas. – Czasem jesteś jednak bardzo dziecinna.

Rozmawiałem z nim dłużej i muszę ci powiedzieć, że to bardzo kulturalny młodzieniec o ugruntowanej pozycji towarzyskiej, z ogromnym, nie ma co ukrywać, majątkiem. Jeśli ma zamiar ubiegać się o twoją rękę, a takie odniosłem wrażenie, to ja nie będę robił żadnych problemów.

– A pomyślałaś, że może ja będę miała inne zdanie w tej kwestii? – Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Lucas już leżałby martwy. – Dlaczego nie zapytasz, co ja o tym myślę? Może nie widzę siebie jako księżnej Duncan.

– Spokojnie, siostrzyczko! – Roześmiał się. – Przecież to tylko moje rozważania na temat.

Wkrótce skończysz osiemnaście lat... Muszę zająć się twoją przyszłością, bo nawet się nie obejrzyś, a zostaniesz starą panną. Owszem, kręci się wokół ciebie wianuszek adoratorów, ale żaden z tych młodzieńców nawet w części nie dorównuje Barclayowi. Pomyśl nad tym Elizabeth.

Coraz mniej panienek z towarzystwa, będących w twoim wieku, jest jeszcze wolnych. Byliśmy usprawiedliwieni z racji żałoby, ale teraz musimy zatroszczyć się o...

– Nie musisz się o mnie troszczyć – prychnęła jak wściekła kotka. – Już ci to tyle razy mówiłam.

– No, no, panienko! Jak widzę, nic nie zmadrzałaś. Niepotrzebnie marnuję czas na rozmowę z tobą. Moje zdanie już znasz i jestem pewien, że to, co robię, będzie dla ciebie jak najlepsze. Kiedyś mi jeszcze za to podziękujesz.

– Naprawdę masz mnie za taką głupią? To przykre! – Odwróciła się pełna urażonej dumy.

Zamierzała się do niego nie odzywać, ale nagle zmieniła decyzję i ponownie spojrzała na brata. –

W ogóle powinieneś się cieszyć, że sam nie jesteś panienką na wydaniu, bo nie wiem, czy byłbyś taki szczęśliwy, gdyby na siłę szukali ci męża. Chciałbyś być z osobą, której nie kochasz?

Chciałbyś poślubić kogoś, kto napawa cię przerażeniem? Ja się boję Duncana! I ty uważasz, że troszczysz się o moje dobro?

– Jak możesz się go bać, jeśli nawet go nie znasz? To tylko twoje dziecinne wyobrażenia.

Zdaję sobie sprawę, że każda dziewczyna marzy o swoim rycerzu w lśniącej zbroi i być może twój ideał odbiega od wizerunku księcia Duncana, ale to tylko marzenia, one rzadko się spełniają.

Trzeba brać to, co życie nam oferuje. Zapewniam cię, że książę jest idealnym kandydatem.

Szybko znalazł odpowiedź na jej protest, ale w głębi duszy musiał przyznać, że Elizabeth ma sporo racji. Kobiety w ich czasach były tylko ozdobą, nie traktowano ich jako równorzędnych partnerów do rozmów. Miały pięknie wyglądać, zostawać żonami i matkami i nikt nie pytał, czego naprawdę pragną. Nie chciały tak żyć. Nie chciały być przedmiotem przedstawianym z miejsca na miejsce, zależnie od pomysłu opiekunów. Czy miał prawo

zachować się tak wobec swojej siostry? Ale niby jak miał się zachować? Takie były reguły i zasady panujące w tym świecie. Wyłamując się z nich, skazywałby Elizabeth na potępienie i banicję towarzyską. Za kilka lat Elizabeth stanie się starą panną, z której wszyscy będą się śmiać. W najgorszym razie wyjdzie za mąż z miłości za jakiegoś biedaka i zmarnuje swoje życie. Nie miał żadnego wyboru i chociaż zdawał sobie sprawę, że nie jest z tego zadowolony, musiał postępować tak jak wszyscy.

– Jeśli Duncan wydaje ci się taki idealny, to sam się za niego wydaj. – Wiedziała, że to niegrzecznie odnosić się w taki sposób do starszego brata, ale w tej chwili było jej zupełnie obojętne, czy zachowuje się właściwie, czy też nie.

– Przykro mi, Elizabeth. Książę Duncan jutro nas odwiedzi i jeśli wyrazi chęć zabiegania o twoją rękę, to ja się zgodzę. – Uciał dyskusję.

– Wiesz już, co wymyślił Lucas? – Elizabeth weszła do swojego pokoju i zdjąwszy z dłoni długie rękawiczki, ze złością cisnęła je w stronę toaletki, przy której stał Roderick.

Mężczyzna schwycił je w locie i składając równo, odłożył na blat.

– Wiem. Poznałem myśli twojego brata.

– Duncan jutro tu będzie! – wykrzyknęła, nadal będąc po wpływie silnych emocji.

Niemalże dygotała z nerwów.

– Wiem – powtórzył. – Jest bardzo zdesperowany, aby osiągnąć cel. – Wolnym krokiem podszedł do niej i uniósł dwoma palcami jej podbródek, tak jak to miał w zwyczaju czynić. –

Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić. Przrzekam. – Pocałował ją żarliwie, zawłaszczając usta Elizabeth. Całował długo, aż brakło jej tchu. Dopiero gdy jęknęła, oderwał od niej wargi.

–

Oddałbym wszystko, aby znowu móc być człowiekiem. Chciałbym zestarzeć się u twojego boku.

Chciałbym wydać przy tobie ostatnie tchnienie. Ale ani ty nie będziesz taka jak ja, ani ja nie będę taki jak ty. Jediną pociechą dla mnie jest fakt, że ty się odrodzisz, a ja zrobię wszystko, aby cię odnaleźć i znowu być z tobą. Zawsze będę przy tobie, w każdym twoim kolejnym wcieleniu...

Jeśli tylko cię odnajdę... Czasem, jeśli się kogoś kocha, trzeba pozwolić mu odejść. Może się myliłem... Może właśnie w ten sposób okazałbym ci swoją prawdziwą miłość. Nie powinienem być egoistą.

– Dziwnie to zabrzmiało. – Wyczuła jakiś wewnętrzny niepokój. Roderick był bardzo spięty. – Jak... jak... – Nie była w stanie dokończyć tej myśli.

– Jak pożegnanie – dokończył, wtulając twarz w jej włosy. Tak cudnie pachniały.

– O czym ty mówisz? – Szarpnęła się, chcąc wyswobodzić z jego uścisku, ale nie miała tyle siły co on.

Roderick trzymał ją mocno, chłonąc jej zapach, ucząc się go na pamięć. Chciał zapamiętać tę chwilę. Wiedział, że sprawi jej ból, ale nie miał innego wyjścia. Podobnie jak Lucas chciał tylko jej dobra. Przemyślał wszystko, zanim się tu zjawił. Wiedział, że odbierając jej wspomnienie o sobie, zwróci jej normalne życie. To było proste, ale zarazem takie okrutne.

Skazywał na cierpienie siebie samego, ale jej dawał nadzieję. Był bardziej ludzki niż myślał. Po dawnej bestii nie pozostał nawet ślad.

– Tylko w ten sposób cię ocalę. Jesteś atrakcyjna dla Duncana, bo wie, że zależy mi na tobie najbardziej na świecie. On nigdy nie odpuści i nie zrezygnuje z zemsty. Nie można z nim negocjować ani błagać go o litość. Dopóki ja istnieję, dopóki tu jestem... Muszę odejść, Elizabeth. Tylko tak cię ochronię. Marzyłem o tobie przez wieki i będę marzył nadal. Znajdę cię, gdziekolwiek będziesz. Obiecuję. W tym życiu się poznaliśmy, w kolejnym będziemy razem.

Musimy tylko uzbroić się w trochę więcej cierpliwości. Obiecuj mi, Elizabeth, że będziesz żyła, że będziesz szczęśliwa, że zapomnisz o mnie...

– Nie! – Pięściami zaczęła bić go w klatkę piersiową. – Nie! Nie! Nie możesz mi tego zrobić! Nie po tym wszystkim! Nie po tym, jak uczyniłeś mnie kobietą! Jak mam żyć bez ciebie?

Jak mam oddychać, gdy zabierasz mi tlen?

Nie odpowiedział, tylko mocniej przycisnął ją do siebie. Znowu obsypał ją pocałunkami, sprawiając, iż się rozluźniła. Zarzuciła mu obie ręce na szyję i pozwoliła, aby przeniósł ją na łóżko.

Ostrożnie położył ją na pościeli i pochylił się nad nią. Wiedział, że być może to ich ostatni raz, że może następnego już nie będzie. Powoli rozwiązał sznurówki jej gorsetu i uwolnił ze zwojów ubrań szczupłe ciało dziewczyny. Napawał się jego widokiem, tak jakby chciał wyryc w swojej pamięci jej obraz.

Poddała się miłości, zapominając o Duncanie i o słowach Rodericka. Była z tym, którego kochała, i tylko to się teraz liczyło. Czas stanął w miejscu. Objęci, stopieni w jedność, płonący żarem pożądania, zatarcili się w swoim uczuciu.

Elizabeth obudziła się pierwsza i z ulgą zauważyła, że Roderick nadal leży u jej boku.

Przez dłuższą chwilę przypatrywała się jego twarzy. Gdy spał, wyglądał tak bezbrinnie, niczym dziecko. I to on miał być tą groźną bestią? Mimo iż znała prawdę, jakoś nie mogła w nią uwierzyć. Starła się wyobrazić sobie Rodericka dopadającego niewinnego wieśniaka, rozrywającego go na strzępy. Roderick pijący krew swojej ofiary, z czerwonymi smugami na policzkach, brodzie. Z kroplami spływającymi z jego warg. Z tych warg, którymi tak cudownie ją całował.

Wyciągnęła dłoń i delikatnie pogładziła go po policzku, wyczuwając pod palcami niewielki zarost. Odgarnęła czarny kosmyk z jego czoła. Miał takie piękne, lśniące włosy, które łagodnie wiły się wokół twarzy i opadały swobodnie na ramiona. Uwielbiała, gdy nosił je rozpuszczone, gdy pozwalał, aby wiatr mu je targał.

Zaprzagnęła go obudzić, przytulić się do niego. Pochyliła głowę i złożyła pocałunek na wargach mężczyzny. Momentalnie otworzył oczy i spojrzał na nią.

– Dzień dobry – wyszeptła pomiędzy jednym pocałunkiem a drugim.

Objął ją, przyciągając do siebie. W jego spojrzeniu dostrzegła smutek. Czyżby ciągle myślał o tym, co powiedział wczoraj? Czyżby nadal planował ją opuścić? Po tym wszystkim?

Znowu się zaniepokoiła.

– Zaraz przyjdzie służba. – Jego uścisk zelżał, a on sam delikatnie odsunął się od niej i usiadł na łóżku. – Ubierz się, Elizabeth. Chyba nie chcesz, aby zobaczyli cię w negliżu. Panience z dobrego domu nie przystoi...

– Gdyby wiedzieli, co robiliśmy dziś w nocy i poprzedniej nocy, i poprzedniej... to nie moją nagością byliby zgorszeni – zaprotestowała, ale posłusznie wstała z łóżka i podeszła do

toaletki, na której stała misa i dzban. Spojrzała w lustro i dostrzegła w nim badawcze spojrzenie Rodericka. Uśmiechnęła się do niego, ale pozostał poważny, zupełnie ignorując jej uśmiech.

Zawstydzona swoją nagością, pospiesznie sięgnęła po długą halkę, leżącą w nieładzie na podłodze, i narzuciła ją na siebie. Pochyliła się po pantofelki, a kiedy się wyprostowała, krzyknęła z przerażenia, gdyż Roderick nie siedział już na łóżku, tylko kompletnie ubrany stał

tuż przed nią.

– Ale mnie przestraszyłeś – odetchnęła z ulgą. – Nie rób tak więcej...

– Przepraszam.

Smutek w jego spojrzeniu był wręcz przytłaczający. Podświadomie czuła, że zaraz nastąpi coś, czego nie chciała, czego tak bardzo się bała. Pragnęła odwrócić ten moment, zapobiec mu. Ale jak tego dokonać?

– To była wspólna noc – wyszeptała, kładąc mu dłoń na piersi. – Każdego ranka chciałam się budzić u twego boku. Pamiętaj, przyrzekałeś, że zawsze ze mną będziesz. –

Wtuliła się w jego ramiona, ale on nie odwzajemnił czułości. Nie wykonał żadnego ruchu, po prostu stał, tak dziwnie obcy, jakby nieobecny. Jakby już nie był jej.

– Rodericku... – Próbowała zachować spokój, ale głos jej drżał. – Proszę, powiedz, że to, co mówiłeś wczoraj, to był tylko żart. Proszę!

Złożyła dłonie jak do modlitwy. Cała jej radość gdzieś zniknęła. Serce zaczęło szybciej bić, jakby wiedząc, co zaraz nastąpi. Chciała coś jeszcze powiedzieć, zapewnić go o swojej miłości. Była gotowa paść do jego stóp i błagać, aby jej nie opuszczał, jednak w tym momencie on schwycił ją obiema rękoma za ramiona i spojrzał jej prosto w oczy.

– Elizabeth... – Dziwny spokój wtargnął do jej duszy. Nagle wszystkie obawy i lęki minęły. Jak urzeczona wpatrywała się w jego magnetyczne, czarne tęczówki, tonąc w nich bez reszty. – Masz żyć i być szczęśliwa – powtórzył hipnotyzującym tonem. – Masz cieszyć się każdym dniem. Masz kiedyś być pogodną staruszką z wianuszkiem wnucząt. Ja byłem tylko snem. Oddałaś mi całą siebie. Ofiarowałaś mi człowieczeństwo, zmieniłaś moje życie. Ja ocalę twoje. Będę cię kochał zawsze, po kres wieczności. – Pochylił się i musnął wargami jej usta. Tak delikatnie, jakby to były skrzydełka motyla. – Zapomnij o mnie.

Pocałunek trwał tylko chwilę, jednak było w nim wiele uczucia i tęsknoty. Roderick zawarł w nim całego siebie. Ostatni pocałunek. Ileż wysiłku kosztowało go opanowanie własnych emocji. Oto odbierał wspomnienia kobiecie, która zwróciła mu człowieczeństwo.

Kobiecie, która pokazała mu prawdziwą miłość. Jak ma teraz żyć?

Wiedział, że to jedyne wyjście, że tylko tak zapewni jej bezpieczeństwo. Gdyby nie Duncan... Tyle wieków minęło, a on nadal nie zakończył tej bitwy. Najgorszy wróg, istota opętana pragnieniem zemsty, znowu pojawiła się na jego drodze. Nie bał się go, wręcz przeciwnie, był gotowy do walki i stanąłby do niej, ale nie mógł myśleć tylko o sobie. Jego życie było nic niewarte. Ale Elizabeth... Ona musiała żyć, a bezpieczeństwo mogło jej zapewnić tylko jego odejście.

Zostawić kogoś, kogo się kocha, to największe z poświęceń. To jakby zaprzeczyć samego siebie i zrezygnować z własnego życia. Z bólem oderwał się od jej warg i jeszcze ostatni raz

spojrzał na twarz dziewczyny. Uniósł dłoń, jakby chciał dotknąć jej policzka, ale się powstrzymał.

– Zapomnij i bądź szczęśliwa – powtórzył, po czym zniknął tak szybko i bezszelestnie, że nie pozostał po nim żaden ślad. Jakby nigdy go tu nie było. Jakby wcale nie istniał.

Elizabeth została sama w pustym pokoju, nie wiedząc dokładnie, co się wydarzyło. Stała i nieobecny wzrokiem patrzyła przed siebie. Jej spojrzenie przesuwano się po wszystkich przedmiotach, tak jakby dopiero jej poznawała, jakby nigdy wcześniej ich nie widziała. Zdawało się jej, że znajduje się w ciasnym, ciemnym tunelu, z którego właśnie próbuje się wydostać. Ze wszystkich sił starała się przypomnieć sobie coś, co pomogłoby jej w opuszczeniu pułapki. Coś straciła, coś ważnego...

Szeroko otworzyła usta i zaczęła łapczywie chwytać oddech. Z każdym kolejnym haustem nabierała coraz większego przekonania, że stało się coś strasznego, tak strasznego, że aż powodującego ból. Ten ból promieniował wprost z jej serca i roznosił się po całym ciele.

Roderick odebrał jej wspomnienia, ale uczucie, jakim go darzyła, było tak silne, że gdzieś w zakamarkach duszy pozostał ślad – mały ognik, iskierka wyrzucona z ogniska. Żar nie został

ugaszony. Jej serce było silniejsze od rozumu. Świadomość straty czegoś niezwykłego, czegoś ważnego, zaczęła nabierać realnych kształtów. Myśli wirowały w głowie, kłębiły się niczym chmury na burzowym niebie i nagle jak łuna błyskawicy rozdarły ciemności hipnotycznego transu. Roderick nie wziął pod uwagę potęgi jej uczucia. Czar wampira jest mocny, nic nie może go cofnąć. Nic oprócz prawdziwej miłości. Przypomniała sobie, zanim z krzykiem zemdlona upadła na podłogę.

ROZDZIAŁ IX

Elizabeth straciła sens swojego życia. Straciła wszystko, co było jej najdroższe. Nawet śmierć rodziców tak bardzo nią nie wstrząsnęła, jak odejście Robillarda. Najprościej byłoby zakończyć męczarnie, zasnąć i więcej się nie obudzić. Roderick mówił, że dusza po śmierci odradza się w innym ciele... Jeśli tak jest naprawdę?

Odrodzić się ponownie, bez tego żalu, bólu i samotności? Uwolnić się od wspomnień?

Zacząć wszystko od nowa? Bez Rodericka? Nie! Tylko nie to! Jak mogłaby kiedykolwiek zapomnieć? Jak mogłaby wyrzec się tej miłości, która stanowiła o jej istnieniu? Pamiętać!

Pamiętać! Pamiętać! Zawsze! Wspomnień nikt jej nie odbierze. Będą z nią do końca.

To nieprawda, że czas leczy rany, on jeszcze bardziej je zaognia. Elizabeth patrzyła na wskazówki dużego, stojącego zegara, ze zgrozą uświadamiając sobie, że każda kolejna upływająca sekunda, coraz bardziej oddalała ją od Rodericka. Od ich ostatniej, wspólnej nocy.

Chciała krzyczeć z rozpacz, chciała wyć na cały głos. Milczała, spod spuszczonej powieki patrząc na Lucasa, siedzącego po przeciwnej stronie stołu. Sama się sobie dziwiła, że potrafi nadal spożywać posiłki, uśmiechać się kurtuazyjnie, odpowiadać na zadawane pytania. Jej dusza łkała, lecz na zewnątrz Elizabeth potrafiła zachować opanowanie. Nikt nie domyślił się, jak bardzo cierpiała. Prawie nikt...

Duncan przyszedł punktualnie. Elegancki, sztywny, obcy. To nie był Roderick. Z

łatwością prowadził konwersację z Lucasem, widać obaj dobrze się dogadywali. Ich śmiech raz po raz nieprzyjemnie drażnił uszy Elizabeth. Jakże żałowała, że Lucas nie wie, z kim ma do czynienia. Gdyby mu powiedziała...

– Księżna Devonshire zachwalała mi urodę pańskiej siostry, ale rzeczywistość przeszła moje najśmielsze wyobrażenia. – Duncan, uśmiechając się, spojrzał na Elizabeth, ale w jego wzroku można było dostrzec okrutną satysfakcję. On znał jej myśli, wiedział o jej żalobie.

Napawał się jej cierpieniem.

– Zbyt pan łaskawy, książę. – Lucas promieniał z dumy. Pochlebiało mu, iż ten bogaty arystokrata wypowiadał się w ten sposób o jego siostrze.

– Słyszałem o pobycie państwa w majątku ziemskim. Ponoć mieli tam państwo do czynienia z atakami wściekłego zwierza. – Księżciu nad wyraz łatwo przyszła zmiana tematu.

– Nie będę ukrywał, że faktycznie, podczas naszego pobytu na wsi grasowało tam jakieś dzikie zwierzę, ale, na szczęście, los był dla nas łaskawy. Ucierpiało wielu okolicznych chłopów, ale później ataki ustały.

– I cóż to był za zwierzę? Domyślam się, że pan, jako były żołnierz, jest również zapalonym myśliwym. Czy nowe trofeum zdobi pański kominek?

– Niestety, nikt nie złowił tego stwora.

– Jaka szkoda, ale może będzie nam dane kiedyś zapolować razem? – zaproponował

Duncan. – Mam ochotę dopaść tę bestię.

– Z wielką przyjemnością, drogi książę, ale miejmy nadzieję, że sprawca śmierci tylu ludzi już nam nie zagrozi.

Elizabeth zacisnęła pięści. Mówili o Rodericku! Na niego chcieli polować! Duncan poruszył ten temat specjalnie, aby ją zdenerwować. O nie! Nie da mu tej satysfakcji! Sięgnęła po filiżankę i napiła się herbaty. Gorący napój sparzył ją w usta, ale nie zareagowała.

– Elizabeth, może zagrasz dla naszego gościa. – Lucas jak zwykle musiał się pochwalić talentem swojej siostry.

– Nie chciałam zanudzać księcia – odpowiedziała cicho. – Pewnie nasz gość woli słuchać prawdziwych artystów, nie takie zwykłe amatorki jak ja.

– Niech pani nie będzie taka skromna. Z przyjemnością posłucham, jak pani gra.

– Elizabeth, to niekulturalne, aby kazać się prosić – upomniał ją Lucas.

Wstała z fotela i bardzo, bardzo powoli podeszła do fortepianu, ustawionego przy tarasowym oknie.

Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w klawiaturę, przypominając sobie wspólną grę z Roderickiem. Położyła obie dłonie na pulpicie. Przebiegła palcami po klawiszach, próbując kilka taktów dla wprawy, a następnie bez patrzenia w nuty, zaczęła grać *Sonatę księżycową* Beethovena.

Pokój zniknął. Nie widziała już ani Lucasa, ani Duncana. Miała wrażenie, że znajduje się w próżni, a na wprost niej stoi Roderick. Grała tylko dla niego, a on uśmiechał się do niej, tym swoim cudnym uśmiechem. Jego czarne oczy były pełne magnetycznego blasku.

– Panie hrabio, przyszedł posłaniec. – W drzwiach wiodących z holu pojawił się młody lokaj.

– Książę, proszę o wybaczenie. – Lucas podniósł się z miejsca i wraz ze służącym wyszedł z salonu, zamykając za sobą drzwi.

Książę natychmiast wykorzystał okazję. W ułamku sekundy znalazł się koło Elizabeth.

Złapał ją za przegub ręki. Pomyliła takty i przerwała grę.

Czar prysł, powróciła do rzeczywistości i do tego pokoju. Z przerażeniem popatrzyła na Duncana.

– Mój brat zaraz wróci – ostrzegła, ale on tylko się roześmiał.

– Myślisz, że boję się twojego brata?

– Czego pan ode mnie chce? – Spróbowała wyszarpnąć rękę, ale trzymał mocno.

Przyciągnął jej dłoń do swojej twarzy i głęboko zaciągnął się zapachem.

– Czuć jeszcze tego twojego kochasia – wysyczał przez zaciśnięte wargi. – Wiem, co robiliście. Panna z dobrego domu, a postąpiła tak haniebnie? Oddałaś się mu! Ile razy pozwoliłaś mu się posiąść? W domu swego brata! Jak ulicznica! Ciekawe, co powiedziałby na to twój świętoszkowaty braciszek? Ucieszyłby się? Jego kochana siostrzyczka i bestia! Piękny obrazek.

Ale co to? Gdzie twój luby? Zostawił cię? Przestraszył się? Uciekł przede mną? Nie, on odszedł, aby cię chronić! – Zaśmiał się nienaturalnie. – Głupiec, myślał, że gdy odejdzie, ja zrezygnuję ze swoich planów. O nie, moja droga. Będziesz cierpieć i twój Roderick też będzie cierpieć. Kocha cię, nie chce abyś stała się potworem? Liczy na twoje kolejne wcielenie? Nie damy mu tej satysfakcji. Sprawimy mu najgorsze tortury, o jakich mógłby kiedykolwiek pomyśleć...

– Jak pan może?! – Ponownie spróbowała wyswobodzić dłoń, ale on nie poluzował uścisku. – Powiem Lucasowi...

– Nie radzę. – Stalowe spojrzenie słało błyskawice. – Myślisz, że ci uwierzy w opowieści o wampirach? Owinę go sobie wokół palca. Będzie szczęśliwy, że chcę pojąć jego siostrę za żonę. A ty siedź cicho, bo inaczej biedny Lucas może zakończyć swój żywot w bardzo, bardzo brutalny sposób. Każdy twój nieostrożny krok może kosztować go życie. Jeśli zrobisz coś głupiego... Widzę, o czym myślisz. Jeśli popełnisz samobójstwo, możesz być pewna, że

zemszczę się na Lucasie. Chcesz być odpowiedzialna za jego śmierć? Jedno twoje słowo i mogę...

– Dlaczego po prostu mnie pan nie zabije? – wyszeptała.

– To zbyt proste. – Zamyślił się. – Uwielbiam cierpienie. Nawet nie wiesz, jaki będę miał ubaw, czując twój sprzeciw, twój opór... Już nie mogę się doczekać, aby poczuć twój strach, twoją rozpacz. – Oblizał wargi. – Najwspanialszy jest moment, gdy ofiara wie, że nie ma ucieczki... Gdy poznaje siłę wszystkich odcieni przerażenia i poddaje się... A gdy już sponiewieram twoje ludzkie życie, przemienię cię w potwora i nauczę zabijać. Pokażę ci, co znaczy być wampirem! Odsłonię przed tobą wszystkie oblicza znanego mi świata mroku.

Poznasz potęgę pragnienia krwi. Zobacysz, kim jesteśmy! Sięgniesz dna, a Roderick oszaleje.

Ciekawe, czy wiedząc, kim on jest naprawdę, nadal będziesz go pragnąć? A może zapragniesz mnie? – Gwałtownie pochylił się nad nią i nim zdążyła się zorientować, mocno przycisnął wargi do jej ust.

Szarpała się, próbując go odepchnąć, ale nie miała szans. Jej opór go bawił. Całował ją długo, tak długo, że aż zabrakło jej tchu. Wreszcie ją puścił i jakby nigdy nic wrócił na swoje miejsce.

Elizabeth z obrzydzeniem próbowała zetrzeć z ust ślad pocałunków księcia. Tarła i tarła, ale nadal czuła jego smak. Jej nieporadne próby tylko rozbawiły gościa, który roześmiał się szyderczo. Zerknęła na niego i zauważyła pełne ironii spojrzenie. Spuściła wzrok, patrząc na swoją dłoń, na przegubie której widoczna była sina obręcz, ślad po uścisku księcia. W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Chciała się rozpłakać, uciec z pokoju, ale nie ruszyła się z krzeselka.

W tej samej chwili drzwi otworzyły się i do salonu wrócił Westmoore.

– Już nie grasz? – zapytał, zwracając się w stronę Elizabeth.

– Pomyliłam takty – odpowiedziała, nie patrząc na Lucasa. Tak bardzo pragnęła wyznać całą prawdę, ale bała się tego, co Duncan mógłby mu zrobić. Wiedziała, że wampir nie żartował, grożąc jej bratu.

– Elizabeth, co nasz gość na to powie? – Lucas zmarszczył brwi. – Powinnaś być bardziej uważna.

– Ależ nic się nie stało. – Jakże Duncan wspaniale potrafił udawać. – Nawet tego nie spostrzegłem. Pańska siostra to niezwykle utalentowana dziewczyna. Prawdziwy skarb.

Lucas dał znak Elizabeth, że może wracać do siebie, posłusznie wstała więc z miejsca i dygnawszy grzecznie przed mężczyznami, ruszyła w stronę wyjścia.

– Panienko Elizabeth! – zawołał Duncan. – Proszę poczekać. Nie wiem, czy nie będzie to poczytane jako impertynencja z mojej strony – zwrócił się bezpośrednio do Lucasa – ale byłbym niezwykle szczęśliwy, gdyby pozwolił mi pan, panie hrabio, zabiegać o rękę pańskiej siostry.

Owszem, zobaczyłem ją pierwszy raz dopiero wczoraj na przyjęciu i nie miałem jeszcze sposobności dobrze poznać, ale jestem pewien, że, za pana aprobatą, mógłbym przeznaczyć więcej czasu na kontakty z panem i pańską siostrą. Zostałem ostatnim z rodu, posiadam spory majątek zarówno w Anglii, jak i Indiach, i mógłbym zapewnić pana siostrze godziwe warunki do życia.

Westmoore chrząknął, próbując ukryć zaskoczenie. Duncan podszedł do niego.

– Czy wolno mi będzie zabiegać o rękę pańskiej siostry, hrabio? – ponowił pytanie.

– Jestem zaszczycony pańską prośbą i myślę, że moja siostra również czuje podobnie – odpowiedział Westmoore. – To dla nas niezwykle wyróżnienie. Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się czegoś takiego. Dopiero niedawno wróciliśmy do Londynu i zaczęliśmy bywać w towarzystwie...

– Rozumiem, że to oznacza zgodę. – Na twarzy Duncana pojawił się fałszywy uśmiech.

– Ależ oczywiście. Będę dumny, mogąc uważać pana za brata. Elizabeth, słyszałaś, o co poprosił ksiązę?

Stojąc już przy samych drzwiach, z dłonią położoną na klamce, powoli odwróciła się w stronę mężczyzn. Pragnęła uciec z salonu, ale zdawała sobie sprawę, że nie może tego zrobić.

Puściła klamkę i niepewnie postąpiła krok do przodu. Jej życie nie miało sensu, postanowiła więc

nie sprawiać Duncanowi przyjemności, na jaką liczył. Przyjmie swój los z pokorą, pójdzie potulnie jak owieczka na rzeź. Pokona strach. Duncan odczytał jej myśli i na jego twarzy odmalowało się niekłamanie zdziwienie. Nie spodziewał się tego po tej, zdawałoby się, kruchej dziewczynie.

Wiść o planach księcia Duncana względem Elizabeth lotem błyskawicy obiegła całe towarzystwo. Teraz był to główny temat rozmów podczas każdego spotkania.

Westmoore promieniał z dumy, że jego siostra stała się wybranką najbardziej pożądanego kawalera. Czuł, że dobrze wykonał swoje zadanie. Ojciec byłby dumny z przyszłości, jaką zaoferował Elizabeth. Gdyby jednak Lucas wiedział... Gdyby znał prawdę... Gdyby potrafił

wejrzeć w duszę Duncana, tak jak ten wglądał w jego. Nie miał pojęcia, że stał się bezwolną marionetką w rękach przebiegłego księcia. Elizabeth zdawała sobie z tego sprawę, ale nic nie mogła zrobić. Nie mogła ratować siebie kosztem życia brata. Duncan na każdym kroku dawał jej do zrozumienia, że to w jej rękach spoczywa teraz los hrabiego Westmoore'a.

Od balu do balu, od przyjęcia do przyjęcia. Ksiązę wszędzie jej towarzyszył, osaczał z każdej strony. Na swoich plecach zawsze czuła jego mroźne tchnienie. Okrutne, stalowe spojrzenie wwierało się w jej umysł. Co dziwne, tylko jej jednej Duncan wydawał się tak odrażający. Odnosiła wrażenie, że lubował się w sprawianiu cierpienia, czerpał z tego niewysłowioną satysfakcję. Karcił się tym na równi z krwią swoich ofiar.

Jednak reszta towarzystwa uległa urokowi, jaki roztaczał ksiązę Barclay. Elizabeth czasem się zastanawiała, czy gdyby nie poznała Rodericka, gdyby nie wiedziała o istnieniu innego, mrocznego świata, tak samo czułaby się w obecności Duncana. Tylko czy wtedy ksiązę by ją w ogóle dostrzegł? Była dla niego atrakcyjna właśnie ze względu na Robillarda i uczucie, które ich połączyło.

Panienci z towarzystwa z niekłamaną zazdrością patrzyły na hrabiankę Westmoore. Z ochotą zajęłyby jej miejsce u boku Duncana. Paradoksalne było to, iż Elizabeth oddałaby wszystko, żeby on wybrał każdą inną dziewczynę, tylko nie ją.

Na balu, tańcząc w ramionach Barclaya, starała się odsuwać jak najdalej od niego, a on, wiedząc o tym, specjalnie wzmacniał uścisk, sprawiając jej fizyczny ból. Nie odzywał się do niej, ale jego zimne oczy zdawały się triumfować. To właśnie po jednym z takich tańców, gdy odprowadził obolałą Elizabeth do brata, zatrzymał się przed Lucasem i przybierając bardzo uroczysty ton głosu, zaczął mówić.

– Panie hrabio, jestem bardzo wdzięczny za umożliwienie mi przebywania w towarzystwie pana siostry. Wprawdzie dopiero się poznaliśmy, ale już teraz jestem całkowicie pewny

swoich uczuć do niej. Nie chcę odkładać tego, co może zapewnić mi szczęście. Kocham pana siostrę i oficjalnie chciałbym pana poprosić o jej rękę.

Nogi pod Elizabeth ugięły się, jakby były z gumy. Osunęłyby się na podłogę, gdyby Duncan nadal nie podtrzymał jej za ramię.

– To prawdziwy zaszczyt dla nas, drogi książę. – Lucas czułym wzrokiem spojrzął na siostrę, która ostatnio wydawała mu się dziwnie blada i nieswoja. Wszystko jednak składało na karb zimy, wielkowiejskiej atmosfery i częstego bywania w towarzystwie. Sam nie lubił tych wszystkich balów i nudnych przyjęć, nużyły go, myślał więc, że Elizabeth czuje podobnie. Teraz, gdy Duncan poprosił o jej rękę, wreszcie będzie można trochę przystopować.

– Pozwoli pan, abym ogłosił to zebrany? – Duncan obdarzył Lucasa olśniewającym uśmiechem. – Chciałbym, aby cały świat jak najszybciej dowiedział się o naszym szczęściu. – Specjalnie zaakcentował ostatnie słowo.

– Ależ oczywiście. – Lucas podszedł do siostry i przytulił ją do siebie. – Musisz być bardzo szczęśliwa, Elizabeth – wyszeptał.

– Jeśli tak mówisz, to pewnie jestem – odparła cicho.

Z ochotą powiedziałyby mu, co myśli o tym małżeństwie, ale nie mogła. Może Lucas nie był najlepszym bratem na świecie, jednak nie miała prawa narażać go na niebezpieczeństwo.

Poniekąd czuła się odpowiedzialna za to, co właśnie się działo. Sama ściągnęła na siebie kłopoty i sama musiała ponieść tego konsekwencje.

Lucas z niedowierzaniem pokręcił głową. Miał nadzieję, że książę nie usłyszał tych słów.

Jeszcze zrobiłoby mu się przykro. Wybrał Elizabeth na małżonkę, okazywał jej swoje zainteresowanie, wręcz hołubił, a ona miała czelność się dąsać. Trafiła się jej najlepsza partia, o jakiej tylko mogła marzyć.

Duncan, który był wszystkiego świadomy, postanowił interweniować. Uśmiechnął się jednym ze swoich czarujących, jednak bardzo sztucznych uśmiechów i przyciągnął Elizabeth na powrót do siebie, zagarniając ramieniem i podkreślając w ten sposób, że już należy do niego.

– Chodźmy, moja droga, przekazać tę dobrą nowinę.

Poprowadził ją ku schodom, po drodze sięgając po kieliszek szampana, niesiony na tacy przez jednego z lokajów. Stanąwszy na podwyższeniu i odwróciwszy się w stronę sali, omiół wzrokiem zebranych gości.

– Szanowni państwo – odezwał się donośnym głosem, a szmer rozmów umilkł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nawet muzyka ucichła. Wszyscy zebrani zamarli i zwrócili się w stronę mówiącego. Elizabeth poczuła na sobie spojrzenie wielu par oczu. Wytrzymała je. –

Chciałbym podzielić się z państwem szczególną dla mnie wiadomością. Otóż przed chwilą, w rozmowie z hrabią Westmoore, poprosiłem o rękę hrabianki Elizabeth Westmoore... – Zrobił

dramatyczną pauzę, pragnąc wzmóc napięcie. – I zostałem przyjęty. – dokończył z trumfem.

Zebrani zaczęli klaskać, ale uciszył ich gestem ręki.

– Teraz, tu, w obecności was wszystkich, chciałbym dopełnić tradycji. – Sięgnął do kieszeni surduta, z której wyjął niewielki przedmiot. Uniósł dłoń Elizabeth i na jej serdeczny palec założył ogromny, starodawny sygnet z owalnym, krwistoczerwonym oczkiem. – To rodowy

pierścień Duncanów. Należał do mojej prababki. Tylko wyjątkowe kobiety, związane z moją rodziną, mają prawo go nosić. To symbol przynależności.

Dotyk zimnego kruszcu, wsuwanego na palec, był dla Elizabeth nie do zniesienia. Miała wrażenie, jakby żelazna obręcz ścisnęła jej serce. Oto właśnie przypieczętowała swój los.

Zmierzała wprost ku samozagładzie.

– Co się dzieje, Elizabeth? – zapytał Lucas, widząc, że jego siostra zamiast cieszyć się z cudownego mariażu, usiadła na sofie w rogu sali i błędnym wzrokiem wpatruje się w zaręczynowy pierścień pyszniący się na jej palcu.

– Rozbolała mnie głowa – odpowiedziała wymijająco, zerkając w przestrachu na stojącego nieco w oddaleniu Duncana, który przyjmował właśnie gratulacje od panów z towarzystwa.

– Uśmiechnij się, bo jeszcze ludzie pomyślą, że nie jesteś zadowolona z tego małżeństwa

– poradził jej.

– Chciałabym już wrócić do domu – wyszeptwała.

– Musisz jeszcze chwilę wytrzymać. Obiecałem baronowej Glentoran, że zatańczę z nią dwa tańce. Zachowałem się jak gbur, gdybym nie dotrzymał obietnicy.

– Lucasie, tak bardzo cię proszę – jęknęła. – Naprawdę muszę stąd wyjść. Czuję się fatalnie i...

Lucas się zawahał. Obietnica wydawała mu się rzeczą świętą, jednak nie powinien jej wypełnienia przedkładać nad dobro własnej siostry. Jeśli Elizabeth czuła się tak źle, to jego obowiązkiem było zająć się nią i odwieźć do domu.

– Drogi hrabio, czymże się pan tak martwi? – Duncan natychmiast podszedł do Westmoore'a. – To dzień radości, nie smutku.

– Elizabeth źle się poczuła. – Wskazał na siostrę. – To pewnie z powodu nadmiaru emocji

– dodał gwoździ wyjaśnienia. – Muszę zabrać ją do domu. Wprawdzie obiecałem baronowej Glentoran, że z nią zatańczę, ale chyba wybaczy mi, jeśli nie dotrzymam słowa.

– Nie musi pan dokonywać wyboru. – Duncan poklepał Lucasa po plecach. – Z

przyjemnością zaopiekuję się moją narzeczoną i odwiezę ją do domu – zaoferował. – W końcu już prawie jesteśmy rodziną. Może mi pan zaufać.

– Nie wiem, czy wypada mi prosić o taką przysługę.

– Dobro mojej przyszłej żony jest dla mnie priorytetem. Proszę mi wierzyć, że należycie się nią zaopiekuję. Chyba mi pan ufa, panie hrabio? – zapytał, jednocześnie wpatrując się uważnie w oczy Lucasa.

Jeśli do tej pory Westmoore miał jeszcze jakieś wątpliwości, kto powinien odwieźć Elizabeth, w tej chwili całkowicie się ich pozbył.

Elizabeth zmartwiała z przerażenia, gdy dowiedziała się, że Duncan będzie towarzyszył jej w drodze do domu. W dodatku sam, bez Lucasa. Natychmiast próbowała się z tego wyplątać.

– Właściwie czuję się już lepiej – oznajmiła. – Niech sobie księżę nie robi problemu.

Zostanę na balu do końca i wrócę z bratem.

– Źle wyglądasz – orzekł Lucas, który znajdował się pod wpływem czaru Barclaya. –

Księżę Duncan zaoferował, że cię odwiezie, więc bądźmy mu za to wdzięczni. Połóżysz się i odpoczniesz. Jestem pewien, że jutro od samego rana zaleje nas stos biletów z gratulacjami, a na każdy z nich trzeba będzie odpowiedzieć. Zbieraj siły, Elizabeth.

– Ale... – Próbowwała się wzbraniać, jednak nie miała szans w starciu z mocą Duncana, który potrafił wpłynąć na przekonania wszystkich obecnych.

Westmoore odprowadził siostrę do karety księcia. Na pożegnanie uściśnął dłoń Duncana i jeszcze przez chwilę stał na podjeździe, patrząc w ślad za oddalającym się pojazdem zaprzężonym w cztery siwe konie. Był zachwycony perspektywami, które otwierały się przed Elizabeth.

– No i gdzie teraz uciekniesz? – zadrwił Duncan, gdy tylko zostali sam na sam w ciasnym wnętrzu karety. Cały urok czarującego, światowego dżentelmena prysł w jednej chwili. Przed nią nie musiał udawać kogoś, kim nie był. – Boisz się mnie, prawda? Jesteś wręcz sparaliżowana strachem?

Nie odpowiedziała, bo i po co? On dobrze znał prawdę. Czytał w jej myślach jak w otwartej księdze.

– Jak sądzisz, co zrobi Roderick, gdy usłyszysz o naszych planach? – W jego głosie wyraźnie słyhać było satysfakcję – Zjawi się, by uratować ukochaną? Liczysz na to, ale zastanów się... Jakoś tak szybko się ulotnił, prawda? A jeśli po prostu miał cię już dość i skorzystał z okazji, by prysnąć? Dostał już to, co chciał, więc dalsza zabawa wydała się mu nieco nużąca. Myślisz, że sprawiłaś, że naprawdę zapragnął być człowiekiem? Nasza natura jest silniejsza niż to nędzne człowieczeństwo! Widziałaś kiedyś, jak naprawdę wygląda twój ukochany Roderick? Widziałaś, jak zabija? We mnie widzisz potwora, a w nim... Wydaje ci się

taki cudowny, idealizujesz go... A to morderca! To bezlitosny zabójca, którego prowadzi instynkt. Taki sam jak ja. Chcesz to zobaczyć? Chcesz poczuć? – Stalowe oczy lśniły w mroku złowrogim blaskiem. Gwałtownym ruchem przyciągnął ją do siebie i jednym szarpnięciem rozerwał jej suknię na białcie.

Elizabeth krzyknęła, starając się zasłonić, ale to wywołało u niego tylko większą agresję.

Pchnął ją na siedzenie powozu i przypadł do niej, przyciskając całym sobą. Gwałtownie przyłgął ustami do ciała dziewczyny, rozdierając kolejne partie garderoby. Hrabianka Westmoore szarpała się w jego uścisku, próbowała go odpychać, bić, a nawet drapać, ale pozostał niewzruszony na jej ataki. Wręcz można było odnieść wrażenie, że jeszcze bardziej go podnieciły.

Zasłonił jej usta dłonią, aby uciszyć krzyki, i posiadał ją brutalnie, nie zwracając sobie głowy grą wstępną. W momencie, gdy ze zwierzęcą siłą poruszał się w niej, jednocześnie zatopił

zęby w przedramieniu Elizabeth.

Nie wiedziała, jak długo trwała ta męczarnia. Powóz ciągle jechał, kołysząc się na nierównościach ulicy, a ona miała wrażenie, że zmierza wprost do otchłani piekieł. Wreszcie Duncan oderwał się od jej ramienia i zsunął się z jej ciała. Usiadł naprzeciwko, starannie poprawiając sobie ubranie. Jedwabną chusteczką, wyjętą z kieszeni surduta, wytarł usta.

Elizabeth wiedziała, że na chusteczce zostały ślady krwi. Jej krwi. Sięgnęła do ramienia. Pod palcami wyczuła lepka ciecz.

– I jakie wrażenia? – Duncan krztusił się ze śmiechu. Z ironią malującą się na twarzy obserwował, jak nieporadnie starała się zasłonić obnażone ciało, a widząc, że rozdartą suknią nie spełnia swojego zadania, otuliła się pelerynką. – Podobało się? Lepszy ze mnie kochanek niż ten twój Roderick? Mniemam, że tak. Wyglądałaś na zachwyconą, a to dopiero początek.

- Jest pan potworem – szepnęła.
- Mylisz się. Jestem znacznie gorszy! Przekonasz się o tym już niebawem.

- Wkrótce znowu się zobaczymy! – zawołał Duncan za Elizabeth, która właśnie zmierzała po schodach do drzwi rezydencji,

Nie odpowiedziała mu ani nie obejrzała się za siebie. Marzyła tylko o tym, by uwolnić się od jego towarzystwa. Lokaj otworzył przed nią drzwi, a ona z prawdziwą ulgą skryła się w domu.

- Jaśnie panienko. – Natychmiast u jej boku pojawiła się pokojówka. – Czy mogę odebrać pelerynę?

- Nie! – krzyknęła trochę zbyt gwałtownie i szczelniej otuliła się długą etolą. Za nic w świecie nie pozwoliłaby, aby ktoś zobaczył, jak została upokorzona.

- Panienko...

- Dajcie mi święty spokój! Chcę być sama! – Wyminęła zaskoczoną służącą i pobiegła na górę.

Schroniła się w swoim pokoju i dopiero przekręciwszy klucz w zamku poczuła się w miarę bezpieczna. Podeszła do ogromnego stojącego zwierciadła w złoconej ramie. Powolnym ruchem odwiązała tasiemki peleryny i zsunęła ją z ramion.

Przez chwilę stała bez ruchu, przyglądając się swojemu odbiciu. Strzępy podartej sukni zwieszały się z jej ciała, odstawiając rany zadane przez Duncana. Pospieszenie wyplątała się ze zwojów materiału i z obrzydzeniem cisnęła szatę w kąt pokoju.

Uniosła dłoń do ramienia i przesunęła nią odrobinę w dół. Delikatnie dotknęła piekącego śladu po ugryzieniu. Krew już zaschła, tworząc nieładne strupy, a skórę poniżej ugryzienia znaczyły podłużne zacieki ciągnące się aż do piersi. Sięgnęła do stojącej na toalecie miski z wodą

i zwilżywszy w wodzie ręczniczek, zaczęła zmywać z siebie te ślady. Wkładała w to dużo siły, jakby chciała zedrzeć skórę, którą dotykały usta i ręce Duncana. Raz po raz zamaczała ręczniczek w wodzie i wycisnąwszy go, ponawiała czynność. Elizabeth niczym w transie rozmazywała krew, która znowu pociekła z rany, nie zdając sobie sprawy, że woda w naczyniu zabarwiła się na czerwono. Gdy w pewnej chwili spojrzała w stronę miski, wydała z siebie okrzyk przerażenia i natychmiast odrzuciła przesiąknięty krwią ręczniczek.

Przeniosła wzrok na swoje ręce. Czuła, że są brudne, a tego brudu nic już nigdy nie zmyje. Uwagę Elizabeth przykuł wielki rubin, który zdobił palec. Czerwony kamień mienił się krwistie w blasku świec. Zapragnęła go zdjąć, ale chociaż próbowała zsunąć klejnot z dłoni, w żaden sposób nie potrafiła się go pozbyć. Wydawał się zrośnięty z ciałem. Zrozumiała, że jej walka jest zupełnie bezcelowa. W starciu z Duncanem nie miała żadnych szans.

Ze szlochom osunęła się na kolana. Dlaczego Roderick ją zostawił? Dlaczego odszedł?

Jak mógł tak po prostu wymazać wspomnienia i myśleć, że to wystarczy?

Gdyby chociaż mogła się zabić. Gdyby najprostsze rozwiązanie było dla niej dostępne.

Duncan przestrzegł ją, iż jeśli targnie się na swoje życie lub powie coś bratu, nie będzie miał

żadnych oporów, aby w najokrutniejszy z możliwych sposobów pozbawić Lucasa życia. Własne istnienie dla Elizabeth nie było nic warte, sama przypieczętowała swój los w momencie, gdy pokochała Rodericka, jednak Westmoore nie miał nic wspólnego ze światem, do którego weszła.

Nie mogła skazywać go na cierpienie. Wolała cierpieć sama.

Ranek przywitał Elizabeth bladym blaskiem słońca. W powietrzu dało się wyczuć nadchodzącą wiosnę, ale serce hrabianki Westmoore ścisnęła lodowa obręcz. Od wczorajszego wieczora czuła w sobie ogromną pustkę, która miała jej towarzyszyć do końca życia. A koniec ten, według wszelkich obliczeń, był bliski. Przynajmniej koniec życia takiego, jakie znała.

Wstała, zanim służba przysłała ją obudzić. Pamiętała, że musi pozbyć się śladów, które mogłyby zaniepokoić domowników. Nikt, zupełnie nikt, nie mógł się domyślić, co się wczoraj stało.

Elizabeth odszukała rzuconą w kąt suknię. Pomięta i zakrwawiona wyglądała jak zwykła szmata i w niczym nie przypominała pięknej kreacji zamówionej u najlepszego krawca w Londynie. Usiadła na podłodze i zaczęła rwać tkaninę, chcąc zniszczyć ją jeszcze bardziej, wręcz unicestwić. Szarpała materiał, odpruwała koronkę, wkładając w to całą swoją nienawiść i złość.

Drąc tkaninę, doznawała chwilowej ulgi, tak jakby rozdzierała własne ciało, splugawione dotykami Duncana.

Gdy zakończyła proces zniszczenia, położyła strzępy na misce z zabarwioną na czerwono wodą, i stąpając cichutko, wyszła z tym ładunkiem z pokoju. Nasłuchując odgłosów, pokonała korytarz i zeszła po schodach. Nie chciała, aby ktoś ją dostrzegł, zachowywała się więc nad wyraz cicho. Niezauważenie przemknęła do miejsca, gdzie służba wyrzucała śmieci i tam, wśród stosu odpadów, ukryła suknię. Zawartość miski wylała. Równie ostrożnie wróciła do swojego pokoju.

Chcąc przekonać się w świetle dnia, jakie piętno odcisnęły na niej wydarzenia zeszłej nocy, podeszła do zwierciadła. Z lustrzanej tafli spoglądała na nią blada twarz dziewczyny, której oblicze, chociaż znajome, dziś wydawało się bardzo obce. Ani śladu uśmiechu, ani odrobiny nadziei. Wzdrygnęła się i odsunęła z ramienia rękaw koszuli. Ujrzała owalny kształt siniaka ze strupami znaczącymi miejsce, gdzie zęby Duncana przecięły jej skórę. Ból nadal był silny, ale potrafiła nad nim zapanować. Gorszy był ból duszy.

– Dzień dobry, panienko. – Do pokoju weszła służąca, więc Elizabeth pospiesznie naciągnęła rękaw i odwróciła się do przybyłej. – Śliczny mamy dziś dzień. Słoneczko tak miło przygrzewa. To tak, jakby cały świat cieszył się paniemki szczęściem. – Pokojówka naprawdę była podekscytowana myślą o zaręczynach swojej pani i perspektywą rychłego ślubu.

Elizabeth nie czuła do niej o to żalu. Przecież nikt nie znał prawdy.

– Tak, Hortensjo – przytaknęła służącej. – Masz rację. Cały świat cieszy się z mojego szczęścia...

Po zaręczynach dość szybko, może nawet aż nazbyt, ustalono datę ślubu. Duncanowi bardzo zależało, aby odbył się on na początku lipca w wiejskiej posiadłości Westmoore'ów.

Wybierając to miejsce i czas, kierował się sadystyczną przyjemnością sprawienia Elizabeth dodatkowego cierpienia. Doskonale wiedział, że rok temu, dokładnie o tej samej porze, spotkała Rodericka. Przypomnienie jej tych szczęśliwych chwil w zestawieniu z tym, co ją czekało, miało być dla niej prawdziwą torturą. Nie pomylił się. Ból, jaki Elizabeth odczuła na wiadomość o tym, był nie do zniesienia.

Przygotowania do ślubu ruszyły pełną parą. Lucas nie żałował pieniędzy na wyprawę dla siostry. Zatrudnił najlepsze krawcowe, sprowadził najdroższe tkaniny. Gdyby oblubieńcem był

Roderick, Elizabeth potrafiłaby cieszyć się z każdej drobnostki. Teraz jednak, przymierzając kreacje, oglądając zamówione przedmioty, zadawała sobie tylko pytanie, po co to wszystko. W

końcu dzień ślubu miał być ostatnim dniem jej ludzkiego życia.

W ciszy wysłuchiwała gratulacji, z którymi pospieszili znajomi, a także ludzie do tej chwili jej zupełnie obcy. Wszyscy wychwalali pod niebiosa Duncana. Wszyscy podkreślali, jaki to dla niej zaszczyt. W ich oczach Duncan jawił się jako wspaniały książę, opływający w luksusy, wymarzony kandydat na męża. Jedna z ciotek dała nawet Elizabeth jasno do zrozumienia, że nie pojmuję, czemu ten czarujący, światowy mężczyzna wybrał na żonę właśnie ją, niezbyt urodziwą sierotę. Ta zazdrość była tak infantylna, że pewnie rozbawiłaby Elizabeth, gdyby nie świadomość nieuchronności tego, co ma nastąpić.

Zima się skończyła, nastąpiła wiosna. Obfite deszcze, poranne mgły i nieśmiałe promienie słońca odliczały czas do wyznaczonego terminu. Duncan bywał teraz częstym gościem w ich domu, właściwie czuł się już tu jak u siebie. Podporządkował sobie całą służbę oraz Lucasa. To on decydował o tym, co będą robić, z kim się spotkają, gdzie się udadzą. Z okrutną satysfakcją obserwował Elizabeth i jej walkę, aby nie okazać słabości. W głębi duszy nawet podziwiał ten upór i opanowanie. Za punkt honoru postawił sobie to, aby upokorzyć ją do granic możliwości, aby doprowadzić do szaleńczego strachu. Uwielbiał sprawiać jej ból. Z prawdziwą przyjemnością specjalnie mocno ścisnął przeguby dłoni dziewczyny, by później zerkać z uśmiechem, gdy chowała sińce pod rękawiczkami lub długimi rękawami sukien.

Po pamiętnej nocy Elizabeth starała się tak wszystko organizować, aby nigdy już nie zostawać sam na sam z Duncanem. Nie chciała przeżyć powtórki tego, co stało się w powozie.

Wystarczyło, że ten koszmar nawiedzał ją każdej nocy we śnie. Zęby Duncana wgrzyzające się w ramię. Zapach krwi spływającej po skórze. Nachalne pocałunki księcia. Jego gwałtowne ruchy sprawiające tyle bólu. Budziła się zlaną zimnym potem.

Niestety, Duncan był przebiegły. Znał wszystkie lęki Elizabeth i czekając na odpowiednią okazję, wreszcie doprowadził do tego, iż któregoś wieczora ponownie została zmuszona do samotnego przebywania w jego towarzystwie. Tym razem jednak koszmar, jaki przeżyła, był sto razy gorszy. Przyprawił ją prawie o obłąd. Nikt, żadna ludzka istota, nie powinna być świadkiem czegoś takiego.

Lucas wyjechał wtedy z Londynu, miał do załatwienia jakieś ważne sprawy związane z zarządem nad majątkiem, jednak zaproszenie na przyjęcie do księżnej Alby nie mogło zostać zlekceważone. Duncan, jako przyszły mąż Elizabeth, obiecał Westmoore'owi, że otoczy ją niezbędną opieką, a po przyjęciu bezpiecznie odwiezie do domu. Lucas ufał mu bezgranicznie, z entuzjazmem przystał więc na ten pomysł, nie słuchając próśb siostry, która błagała, aby pozwolił jej grzecznie odmówić księżnej Albie.

W dzień przyjęcia Duncan zajechał przed dom Westmoore'ów małym, odkrytym powozem, sam pełniąc rolę woźnicy. Elizabeth uspokoiła się, widząc, że w takim pojeździe będzie na pewno bezpieczna – przecież książę nie odważy się zaatakować na widoku. Nie pozbyła się do końca lęku, ale zajęła miejsce koło narzeczonego, który odgrywając swoją rolę wręcz po mistrzowsku, z troską przykrył jej kolana grubym pledem.

Odsunęła się na sam skraj ławy, starając zachować jak największy dystans. Sztynno wyprostowana, z dumnie uniesioną głową, wpatrywała się przed siebie, zachowując pozory spokoju.

– To będzie niezapomniany wieczór – powiedział do niej, gdy ruszyli, a ta zapowiedź sprawiła, że struchlała z przerażenia.

Przez całą drogę nie odezwał się do Elizabeth, ale bacznie zgłębiał jej myśli, napawając się swoją władzą nad narzeczoną.

W westybule pałacu na gości czekała księżna Alba. Od razu rozpromieniła się na widok Duncana i szybkim krokiem podeszła do niego. Bezceremonialnie ujęła go pod ramię, nie zwracając uwagi na pozostałych przybyłych.

– Cudownie, że zaszczycił nas księżę swoją obecnością. – Wdzięczyła się do Barclaya. –

Wręcz nie mogłam się pana doczekać. Ostatnio trochę mnie pan zaniedbywał. – Zalotnie zatrzepotała rzesami.

– Pani wybaczy, księżno. – Duncan stanowczym ruchem wyswobodził ramię. –

Przybyłem nie sam, ale w towarzystwie swojej narzeczonej. – Wskazał na stojącą nieco z tyłu Elizabeth. – Nietaktem z mej strony byłoby poświęcić pani całą uwagę, chociaż zapewniam, że niezwykle przyjemność sprawia mi przebywanie w pani towarzystwie.

– Och, to ja proszę o wybaczenie. – Księżna poczerwieniała jak pensjonarka i posłała Elizabeth nienawistne spojrzenie.

Hrabianka Westmoore zauważyła, że kobieta była jeszcze całkiem młoda oraz dość ładna.

Regularne rysy twarzy i błyszczące, brązowe oczy przykuwały uwagę i świadczyły o tym, że księżna nie musiała narzekać na brak wielbicieli. Jej mąż, mężczyzna dobiegający już osiemdziesiątki, nie należał do ludzi towarzyskich, ale będąc dumnym z urody swojej żony, pozwalał jej na organizowanie licznych przyjęć, sam z racji złego stanu zdrowia nie biorąc w nich jednak udziału.

Elizabeth zaobserwowała coś jeszcze dziwniejszego. Księżna, odchodząc od nich, niby mimochodem musnęła dłoń Duncana, ukradkiem podając mu liścik. Księżę wiedział, że panna Westmoore to zauważyła, dlatego też odciągnął narzeczoną na bok, za jedną z kolumn i rozwinięszy karteczkę, przeczytał półszepem, tak aby dziewczyna usłyszała każde słowo.

– „Twoja wierna niewolnica czeka na ciebie w alkowie. Przybądź i powiedz ją do krainy rozkoszy”.

– Po co mi to pan czyta? – Wzruszyła ramionami. – To chyba tylko pańska sprawa, co robi z tą kobietą.

– Masz rację. – Nie przestawał się uśmiechać. – Ja z księżną Albą mam swoje małe interesy.

– Zapewne – zadrwiła.

– Uważasz się za taką świętą? A ty co robiłaś z Roderickiem? – przypomniał. – Nie jesteś lepsza od niej. Ale ona przynajmniej ma dobry gust.

– Jeśli jest taka wspaniała, to proszę do niej iść i dobrze się bawić.

– Mam taki zamiar. – Ujął Elizabeth pod ramię i poprowadził w stronę roześmianej grupki ludzi.

W towarzystwie Duncan zachowywał się bardzo taktownie i jak zwykle był w centrum zainteresowania wszystkich dam. Elizabeth, patrząc na niego, miała wrażenie, jakby był zwierzęciem szykującym się dopiero do ataku i hipnotyzującym swoje ofiary.

Po kilkunastu minutach kulturalnej rozmowy z zebranymi gośćmi, Duncan uprzejmie skłonił się swoim rozmówcom.

– Państwo wybaczą, ale obiecałem pokazać mojej narzeczonej oranżerię. Właśnie zastanawiam się nad budową własnej i chciałem, aby Elizabeth zobaczyła, czy chciałyby podobną, czy też woli coś mniejszego.

– Ach, tak! – Jedna z dam, której tytułu ani nazwiska Elizabeth nie zapamiętała, otworzyła trzymany w dłoni czarny wachlarz i się nim powachlowała. – To istne dzieło sztuki.

Zawsze powtarzam mojemu Anthony'emu, że powinien i w naszym domu zbudować ogród zimowy.

Duncan trzymał narzeczoną pod ramię i uśmiechając się do mijanych po drodze osób, postępował w stronę holu. Opuścili salon, minęli główny westybul i skręciwszy w boczny korytarz, znaleźli się w opustoszałej części domu. Gwar przyjęcia tu nie docierał.

– Gdzie idziemy? – Z przerażeniem rozglądała się dookoła, próbując zrozumieć, dokąd księżę ją zabiera. Na pewno nie do wspomnianej oranżerii.

Nie odpowiedział, przyspieszył tylko kroku, mocniej ściskając ramię Elizabeth i ciągnąc ją niemalże za sobą. Wkrótce znaleźli się przed wąskimi schodami dla służby, wiodącymi na piętro pałacu.

– Nie idę z panem! – Elizabeth w odruchu desperacji schwyła się drewnianej poręczy, aby uniemożliwić Duncanowi zaciągnięcie jej na górę.

– Czyżby? – Spojrzał na nią z wściekłością. – Zrobisz dokładnie to, co ci każę.

Zapomniałaś o Lucasic? Jest człowiekiem... Tak łatwo go zranić, zabić... Czy chcesz być odpowiedzialna za jego śmierć?

Zmartwiała. Puściła poręcz i pozwoliła, aby zaprowadził ją na piętro. Bez trudu, wśród wielu identycznych drzwi, znalazł te właściwe – widocznie bywał tu częstym gościem. Wszedł

do środka, pchając przed sobą Elizabeth.

– A ją po co przyprowadziłeś? – Księżna Alba leżała na szezlongu, spowita w cieniutki, prześwitujący peniuar. Na widok wchodzących uniosła się nieco, a w jej wzroku widoczne było zdziwienie.

Duncan zamknął drzwi i przekręciwszy klucz w zamku, puścił ramię Elizabeth. Nie zwracając więcej uwagi na przerażoną dziewczynę, podszedł do księżnej.

– Nią się nie przejmuj – wyszeptał, patrząc kobiecie prosto w oczy. – Ja jestem twoim panem i to mnie masz służyć.

– Tak, panie. – Głos księżnej zabrzmiał dziwnie obco. Elizabeth zrozumiała, że nieszczęsnica znajduje się pod wpływem uroku.

– Pozbądź się tych szmat! – wydał polecenie, nie spuszczać wzroku ze swojej ofiary. – Chcę zobaczyć twoje ciało.

Panna Westmoore z przerażeniem patrzyła, jak ta wielka dama posłusznie rozpina guziczki peniuaru, jak zsuwa go ze swoich ramion. Za chwilę stała zupełnie naga.

– Połóż się – padł kolejny rozkaz, który natychmiast został wypełniony.

– I co, jesteś przerażona? – Duncan, śmiejąc się, spojrzał w stronę Elizabeth. – Pomyśl, że kiedyś i ty będziesz mi tak posłuszna. Będziesz robić wszystko, co ci każę. Ale to jeszcze chwila.

Jeszcze nasycę się twoim oporem. Lubię poskramiać dzikie zwierzęta, aż stają się tak łagodne, jak ta suka, która sama skomle u mych stóp, błagając o odrobinę uwagi. – Wskazał na księżną. –

Patrz i przyglądaj się temu, co już wkrótce cię czeka.

Uwięził Elizabeth w mocy swojego czaru. Nie mogła się odwrócić, nie mogła zamknąć oczu. Musiała w milczeniu patrzeć na to, co wyczyniał ze swoją ofiarą. Nigdy nie chciałyby tego widzieć. Księżna była niczym marionetka, posłusznie spełniająca najbardziej wyuzdane zachcianki Duncana, a on pastwił się nad nią, upokarzając do granic możliwości. Kąsał jej ciało, znacząc krwawymi smugami. Spijał tę krew, gasząc palące go pragnienie. Posiadał ją na tyle przeróżnych sposobów, że aż Elizabeth brało obrzydzenie. Nigdy nie myślała, że ktoś mógłby robić coś takiego.

Bezgłośnie modliła się o koniec. Słała błagania do Boga, aby nie musiała już na to patrzeć, aby dane jej było zapomnieć. Od samego obserwowania tego, co Duncan wyczyniał z księżną Albą, czuła się brudna i sponiewierana.

Wreszcie Duncan nasycił swoje pragnienie. Podniósł się i niespiesznie zapiął spodnie.

Długo stał przed lustrem, poprawiając kolejne elementy stroju, aby doprowadzić go do perfekcji.

Księżna Alba nadal leżała na szezlongu, ale już doszła do siebie. Wzdychała cicho, gładząc dłonią swoje zakrwawione ciało. Elizabeth miała wrażenie, że kobieta jest zadowolona z tego, co się stało. Ale to przecież niemożliwe! Kto mógłby cieszyć się z takiego poniżenia?

– Kiedy znowu cię zobaczę? – Kobieta wstała i naga podeszła do toaletki, przy której stał Duncan.

– Kiedy uznam to za stosowne – odburknął. – To ja decyduję o tym, kiedy chcę cię mieć. Jeszcze tego nie zrozumiałaś, Lukrecjo?

– Czy źle ci służyłam, mój panie? Nie zadowoliliam cię w pełni? – zapytała ze smutkiem.

– Zrób coś ze sobą – poradził jej, nie odpowiadając na zadane pytania. – Doprowadź się do porządku i zastoń te ślady na szyi. Chyba nie masz zamiaru pokazać się w takim stanie gościom?

– Tak, mój panie. – Pochyliła przed nim głowę. – Co tylko zechcesz. Jestem po to, aby ci służyć.

– Jesteś taka przewidywalna. Chyba już czas, aby... – Zaśmiał się nienaturalnie i odwrócił się w stronę księżnej. Spojrzał jej prosto w oczy. – Będiesz pamiętać wszystko, każdą chwilę, i będziesz za tym tęsknić. Będziesz marzyć o moim dotyku i o tym bólu, który ci sprawiałem. Przez resztę życia będziesz usychać z tęsknoty i nikt nigdy już cię nie zaspokoi.

Wspomnienie o mnie zamkniesz na dnie swojej duszy, nie powiesz o tym nikomu. To twój największy sekret, który doprowadzi cię do szaleństwa. Postradasz zmysły, marząc o czymś, co będzie dla ciebie tylko snem.

Wyminął księżną, zbliżył się do drzwi i przekręcił klucz w zamku, otwierając je. Wyszedł za próg. Na korytarzu zatrzymał się, czekając na Elizabeth.

– No na co czekasz? – ponaglił ją wyraźnie zniecierpliwiony.

Zlekceważyła jego wyciągniętą dłoń i podeszła do księżnej. Brzydziła się tej kobiety, ale jednocześnie współczuła jej. Po drodze sięgnęła po porzucony na ziemi peniarz. Narzuciła go na ramiona nagiej Lukrecji.

– Jak się pani czuje? Może jakoś pani pomóc?

– Wynoś się! – Kobieta spojrzała na nią z nienawiścią. – Nie rozumiem, dlaczego taki mężczyzna wybrał sobie kogoś takiego jak ty! Co ty mu dasz? Nie zaspokoisz go tak jak ja!

Przecież widziałaś, czego on potrzebuje!

Elizabeth natychmiast opuściła alkowę księżnej, dołączając do czekającego na zewnątrz Duncana.

– Jakaś ty jeszcze dziecinna – zadrwił. – Takie kobiety jak Lukrecja nadają się tylko do jednego. Czy nie rozumiesz, że ona uwielbia, gdy się nią pomiata i poniża? Nie widziałaś, jak klęczała przede mną i robiła, co tylko jej kazałem?

– Jeśli tak dobrze panu służy, to czemu ją pan odrzucił, jednocześnie każąc jej pamiętać i tęsknić? Przecież ona oszaleje...

– Bo mi się znudziła. Już nie czuję tej fascynacji, której doświadczałem na samym początku.
– Zaśmiała się. – Teraz przyjemność sprawi mi jej upadek. Czyż to nie wspaniały koniec? Wielka księżna Alba! Nie martw się, i dla ciebie mam przygotowane coś specjalnego! – dodał.

Wrócili na dół do gości, którzy nie mieli pojęcia, do jakich odrażających scen doszło na piętrze. Gdy kilkanaście minut później w salonie zjawiała się księżna Alba, nikt, patrząc na nią, nie domyśliłby się, że dopiero co oddawała się najgorszemu rodzajowi rozpusty i pozwalała pomiatać swoim ciałem. Znowu, niczym prawdziwa dama, uśmiechała się do znajomych, zabawiała ich miłą rozmową. Kulturalna, elegancka, światowa. Tylko na jej szyi widoczna była gruba, aksamitna przepaska, mająca ukryć przed oczami zebranych ślady ugryzienia.

– Miło mi było państwa gościć. – Gdy wychodzili, księżna podeszła do nich i odprowadziła ich do drzwi. Elizabeth była prawie pewna, że widziała, jak ręka kobiety drżała, gdy podawała ją na pożegnanie Duncanowi.

– To nam było miło, że mogliśmy z tej gościny skorzystać – odpowiedział, z kurtuazją całując jej dłoń.

Wyszli przed dom, gdzie na podjeździe czekał już na nich powóz, którym przyjechali.

Duncan, cały czas odgrywając rolę gentlemana, pomógł Elizabeth wsiąść, po czym sam zgrabnie wskoczył do środka i sprawnie schwycił lejce. Noc była dość rześka, ale to nie zimny powiew powietrza sprawił, że Elizabeth zadrżała. Siadając obok księcia, wyczuła niezwykle chłód, bijący od niego. Wyglądał niczym zwierzę łaknące ofiary, tak jakby mu nie wystarczyła krew księżnej Alby i możliwość pomiatacia jej ciałem. Widząc jego zagryzione wargi i napięte mięśnie twarzy, była pewna, że szykuje się do kolejnego ataku. Ponownie bezgłośnie zaczęła się modlić.

W kompletnym milczeniu jechali opustoszałymi ulicami Londynu. W pewnej chwili Elizabeth zauważyła, że skręcili w nieznaną jej dotychczas rejony. Ulica stała się węższa, bardziej wyboista, nie było latarni. Do nosa panny Westmoore doleciał zapach stęchlizny. To była dzielnica biedoty, teren nieznanym młodym panienkom z dobrych domów. Duncan ściągnął

lejce, wyhamowując prędkość koni. Wyraźnie szukał czegoś lub kogoś.

– Chciałaś poznać ten świat – wysyczał niespodziewanie. – Oto ci go ofiarowuję. Zobacz, co robił twój ukochany Roderick, zobacz, kogo pokochałaś. On gustował w takim towarzystwie.

Jak widzisz, jest między nami różnica.

W oddali zamajaczyła jakaś sylwetka. Podjechali bliżej i zatrzymali się tuż przy wyzywająco ubranej kobiecie. Elizabeth dostrzegła, że kobieta miała nienaturalnie różowe policzki i bardzo mocno umalowane oczy. Nie знаła nikogo pokroju tej osoby, nie wiedziała więc, kogo ma przed sobą.

– Chętny do zabawy? – Kobieta podeszła od strony Duncana. – Stara Maggie zaprowadzi cię prosto do nieba. Umrzesz z rozkoszy w moich ramionach.

Elizabeth jeszcze bardziej skuliła się w powozie. Miała nadzieję, że kobieta jej nie dostrzegła.

– Ktoś umrze na pewno! – Duncan zaśmiał się upiornie i szarpnął Elizabeth za ramię, aby się wyprostowała. Teraz nie mogła już ukrywać swojej obecności.

– Co to, słodziaku, wzięłaś ze sobą towarzystwo? – zaszczebiotała wyzywająca kobieta.

– Ta młoda dama chce się przyjrzeć – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Chce zobaczyć, co ją czeka.

– Ha, ha, ha! – Kobieta roześmiała się rubasznie. – Mnie to nie przeszkadza, może sobie patrzeć, tylko to będzie więcej kosztować...

– Nie ma problemu.

Duncan odrzucił pelerynę i jednym skokiem dopadł do stojącej obok powozu niewiasty.

Kobieta nie zdołała nawet krzyknąć, gdy Barclay wgryzł się jej w szyję i rozszarpał gardło.

Dźwięk rozrywanego ciała od tej pory nieodmiennie miał się już kojarzyć Elizabeth z pruciem tkaniny. Z olbrzymiej rany trysnęła krew, ochlapując twarz i ubranie księcia.

Wstrząśnięta hrabianka zasłoniła sobie usta dłonią. Zszokowana patrzyła, jak Duncan pochyla się nad ofiarą i wyszarpuje jej serce. Widok jego umazanego krwią oblicza, kiedy przytknął jeszcze tętniący organ do warg i wysysał z niego krew, zemdlił ją. Uchwyciła się drzwiczek powozu i przechyliwszy na zewnątrz, zwymiotowała.

Zamknęła oczy, nie mając siły dłużej patrzeć na tę przerażającą scenę. Na szczęście tym razem Duncan nie unieruchomił jej swoim czarem. Być może za bardzo pochłonęło go pastwienie się nad ofiarą. Przy księżnej, mimo iż pozwalał sobie na wiele, zachował jednak pewien umiar. Teraz nie musiał się już powstrzymywać.

Otworzyła powieki dopiero gdy powóz ruszył. Spojrzała z obrzydzeniem na siedzącego obok księcia, który przyglądał się jej z ogromną satysfakcją.

– I co, zadowolona? – zapytał, wycierając krew z twarzy jedwabną chusteczką. – Twoje dziecinne wyobrażenia wreszcie nabrały kolorów? Wiesz już, kim jesteśmy, widziałas, co robimy... Taki właśnie jest Roderick. Co czyni go lepszym ode mnie?

– Nienawidzę pana – wyszeptowała. – I będę nienawidzić przez całą wieczność.

– Jeszcze masz ochotę na żarty? Oj, chyba cię nie doceniłem. – Naprawdę był ubawiony.

– Jesteś dla mnie prawdziwym wyzwaniem, ale zapewniam, że cię złamię. Będiesz się wic u moich stóp. Tak jak księżna. Pamiętasz?

Odwróciła się od niego. Zmysły odmawiały jej posłuszeństwa. To, co widziała, było tak odrażające, tak ohydne... Dałaby wszystko, aby zapomnieć, aby zasnąć i obudzić się z tego koszmaru. Jeszcze tak niedawno była niefrasobliwą, wesołą dziewczyną, teraz stawała się kobietą, która poznała drugie oblicze tego świata. Wszystko, co tajemnicze, zakazane i niebezpieczne, stało się jej udziałem.

Tej nocy Elizabeth dręczyły koszmary senne. Przewracała się w łóżku z boku na bok, ale gdy tylko zamykała oczy, natychmiast widziała scenę w alkowie księżnej. Na nowo była świadkiem tych wszystkich okropieństw. Twarz Lukrecji wykrzywił grymas niewysłowionego bólu pomieszanego z rozkoszą, a usta układały się do krzyku. I Duncan... Jego śmiech zdawał się dobiegać z samych czeluści piekieł. Nagle wszystko zniknęło, a zamiast w pałacu Alby, Elizabeth znalazła się w portowej dzielnicy biedoty. Niemalże czuła zapach zatechłych ryb. Ta kobieta z nienaturalnie wymalowaną twarzą... Duncan ściskający w dłoni bijące jeszcze serce.

Rano, gdy blada z niewyspania i umęczona nocnymi przeżyciami, zeszła do jadalni na śniadanie, musiała zmierzyć się z wczorajszym koszmarem jeszcze raz. Lucas już wrócił z wyjazdu i właśnie rozmawiał z lokajem o okrutnym morderstwie, do którego doszło w nocy.

Widać dla Londynu był to teraz temat numer jeden.

– Czy coś się stało? – zapytała, podchodząc do brata. – Wyglądasz na zdenerwowanego.

– To ciebie nie dotyczy, Elizabeth. – Brat z czułością popatrzył na siostrę. Wydała mu się blada, ale znowu pomyślał, że to za przyczyną zbyt rozrywkowego trybu życia. – Ktoś zabił pewną kobietę... Ale to nie była kobieta z towarzystwa... To była... Hm... To była biedna kobieta. – Nie wiedział, jak mógłby powiedzieć jej o osobach, które zarabiały na życie własnym ciałem. Był pewien, że Elizabeth nie ma pojęcia o takich sprawach.

– A co ty masz z tym wspólnego? Przecież nie pracujesz w policji – zauważyła.

– Masz rację, jednak ta sprawa wyjątkowo mnie zainteresowała.

– Dlaczego?

– Nie rozmawiajmy o tym, Elizabeth – uciął.

– Znowu jakieś sekrety? Jeśli w Londynie robi się niebezpiecznie, to chyba powinnam o tym wiedzieć.

– Tobie nic nie grozi – odparł spokojnie. – Ja i Duncan o ciebie zadbamy. Morderca atakuje tylko kobiety z pewnej sfery. Osób takich jak my to nie dotyczy.

Elizabeth przypomniała sobie wyzywającą kobietę z nienaturalnymi barwami na twarzy.

Ta twarz miała ją chyba prześladować do końca życia. I ten widok Duncana z sercem w dłoni...

– Jak udało się wczorajsze przyjęcie u księżnej Alby? – Lucas podprowadził siostrę do stołu, poczekał, aż usiądzie, i dosunął krzesło. – Przykro mi, że nie mogłem ci towarzyszyć, ale mam nadzieję, że Duncan wzorowo wywiązał się z tego zadania.

– Z czego się wywiązałem? – Do jadalni wszedł książę Barclay. Wypoczęty, wypachniony, ubrany z najwyższą starannością, w niczym nie przypominał zwierzęcia z wczoraj.

– Dobrze, że jesteś, Duncanie. – Lucas podszedł do niego i serdecznie uściśnął mu dłoń. –

Właśnie pytałem siostrę o jej odczucia po wczorajszym przyjęciu.

– Starłem się zapewnić jej jak najwięcej rozrywek – zapewnił Duncan. – Jesteś zadowolona, Elizabeth? – zapytał, zwracając się bezpośrednio do niej.

Utkwiła wzrok w srebrnych sztućcach. Nie mogła, a raczej nie miała odwagi spojrzeć na księcia. Gdyby podniosła wzrok i dostrzegła to ironiczne, zimne spojrzenie... Gdyby zobaczyła przed sobą znowu tę twarz...

– Elizabeth, czyżbym nie był dla ciebie dobrym opiekunem? – udał zatroskanego jej milczeniem. – Czyżbym nie spełniał wszystkich twoich próśb? Czyżbym czymś cię uraził? A może nudziłaś się w moim towarzystwie?

– Ależ nie. – Starła się, aby jej głos brzmiał w miarę normalnie. – Wczorajsze przyjęcie było bardzo udane, a pan, książę, był naprawdę wzorowym opiekunem.

– Widzisz więc, Lucasie, że częściej możesz obarczać mnie tak słodkim obowiązkiem, jakim jest opieka nad twoją siostrą. Tyle niebezpieczeństw czyha w tym mieście. Słyszeliście pewnie o tym okropnym morderstwie. Cóż za bestia musiała tego dokonać?

– Tak, zaprawdę wstrząsające wydarzenie. – Lucas wzdrygnął się. – Biedna kobieta...

Niby osób takiego pokroju nie ma co żałować, ale to była żywa istota. Cóż ona musiała czuć?

„A to, co ja czułam, nie było ważne?” – pomyślała Elizabeth. Napadnięta kobieta nie miała czasu na przerażenie, wszystko odbyło się w ułamku sekundy. Właściwie nawet nie cierpiała. Zanim zdążyła zdać sobie sprawę z niebezpieczeństwa, była już martwa. Za to Elizabeth, która była świadkiem tamtych wydarzeń, miała żyć z ich wspomnieniem już do końca.

Duncan zobaczył myśli narzeczonej i w jego stalowych oczach pojawiły się złowrogie iskry. Według Elizabeth kobieta zbyt mało cierpiała, nie czuła przerażenia? Dobrze, w takim razie zafunduje jej widowisko, o jakim marzy. Będzie mieć strach, przerażenie, krzyki, błagania i cierpienie ofiary. Będzie mieć to wszystko.

Wydarzenia poprzedniej nocy oraz miesiące pełne stresu odbiły się na zdrowiu Elizabeth. Jej bladłość już wcześniej zaniepokoiła Lucasa, a gdy dodatkowo kilkakrotnie zemdlą, posłał po lekarza.

Doktor był miłym staruszkim, którego hrabianka знаła jeszcze z dzieciństwa. Osłuchał ją, zbadał tętno i zalecił jak najwięcej odpoczynku. Wy tłumaczył Lucasowi, że ostatnie lata były dla Elizabeth dużym obciążeniem i musi trochę zwolnić tempo życia. Zakazał udziału w przyjęciach, balach i innych imprezach. Zalecił wypoczynek, dużo spokoju i świeżego powietrza.

Stosując się do zaleceń lekarza, Lucas postanowił zabrać siostrę na prowincję. Duncan nie zaprotestował, dobrze wiedząc, że w miejscach związanych z Roderickiem Elizabeth będzie przeżywać prawdziwe katusze. Żałował, że chwilowo nie może pojechać razem z nią, aby sycić oczy jej cierpieniem. Na razie jednak musiał zostać w Londynie, gdyż podjął się kilku zobowiązań. Obiecał jednak, że jak najprędzej upora się z interesami i dołączy do Westmoore'ów.

– To tylko chwilowa rozłąka – obiecał, stojąc przy powozie, do którego miała wsiąść Elizabeth. Trzymał dłoń dziewczyny w swojej ręce i mocno ścisnął, aby sprawić jej ból.

– Będziemy wypatrywać twojego przyjazdu – zapewnił nieświadomy niczego Lucas. – Jesteś mi jak brat, którego nigdy nie miałem.

– Twoje słowa mi pochlebiają. – Duncan, nie wypuszczając dłoni Elizabeth, obdarzył uśmiechem jej brata. Mocą swego spojrzenia nakazał Lucasowi powrót na chwilę do wnętrza domu.

– Wybaczcie, zapomniałem książki. – Westmoore natychmiast udał się w kierunku wejścia, zostawiając siostrę sam na sam z Duncanem.

– Myślisz, że uciekniesz przede mną? – Księżę przyciągnął do siebie Elizabeth.

Momentalnie przestał udawać miłego, kulturalnego gentlemana. Z wściekłością wpatrywał się w twarz przerażonej dziewczyny.

– Chyba mam prawo do chwili normalnego życia? – Zebrała w sobie całą odwagę i nie spuściła wzroku. – Ciągłe mnie pan przesładuje. Wiem, że przyszykował mi pan niewyobrażalne tortury, ale zanim ten dzień nadejdzie, zanim stanę się pańską żoną i przestanę być człowiekiem, chcę przeżyć ten czas w taki sposób, jak lubię. Czy to zbyt dużo dla takiego skazańca jak ja?

– Skazańca? – To porównanie wywołało jego śmiech. – Czasem nieźle potrafisz mnie ubawić. Szkoda, że sama siebie nie widzisz. Jesteś taka prawa, taka szlachetna. Mogłabyś nabrać kogoś, kto cię nie zna. Ja jednak czytam w tobie jak w otwartej księdze. Nie jesteś

dama, tylko zwykłą ulicznicą. Zhańbiłaś nazwisko swego brata, oddając się przed ślubem obcemu mężczyźnie. Czy tak postępują grzeczne panienki? Och, robisz rozkoszne minki. Urażona świątobliwość? Poczekaj, wkrótce poznasz, co to znaczy żyć pełnią życia, nawet jeśli to życie przyjdzie do ciebie po śmierci. Jestem pewien, że ci się spodoba.

– Marzę o chwili, kiedy ktoś pana zgładzi – zapewniła z ogromną wręcz żarliwością. –

Mam nadzieję, że będę to ja, ale jeśli nie dane mi będzie zaznać tego szczęścia, to już dziś modłę się za osobę, która tego dokona.

– Módl się, póki możesz – wyszczał, przybliżając twarz do jej ucha. – Wkrótce zapomnisz wszystkich słów modlitwy. Wyglądaj mojego przybycia!

Nim zdążyła zareagować, przywarł wargami do jej ust. Spróbowała go odepchnąć, ale wykręcił jej rękę do tyłu i z całą mocą kontynuował pocałunek. Jej opór sprawiał mu ogromną przyjemność. Nigdy nie lubił bezwolnych, gotowych na wszystko kobiet. Takie dziewczyny jak Elizabeth, to było prawdziwe wyzwanie. Obiecał sobie, że ją złamie i miał zamiar tego dokonać.

Już nawet nie chodziło o zemstę na Rodericku, ale o sam fakt poniżenia panny Westmoore.

Zęby Duncana nagryzły wargę Elizabeth i jej usta wypełniły się krwią. Krzyknęła cicho, a on roześmiał się i odskoczył od niej. Pospiesznie oblizała wargi, chcąc ukryć to, co się stało, przed wzrokiem wracającego właśnie Lucasa.

– Wkrótce się zobaczymy – usłyszała szept Duncana, który w tym momencie stracił zainteresowanie jej osobą i podszedł do Westmoore'a.

Jadąc na wieś, Elizabeth żyła nadzieją, że może tu trafi na jakiś ślad Rodericka. Zaraz po przybyciu na miejsce, chociaż pora była już dość późna, wybrała się nad staw. Parkowe alejki tonęły w mroku, ale jej to nie przeszkadzało. Bez problemu odnalazła swój ulubiony zakątek.

Wierzba płacząca nadal zwieszała swoje gałęzie nad stawem, powalony pień drzewa nadal zachęcał do odpoczynku. Przypomniła sobie wszystkie te chwile, które spędziła tu z Robillardem. Miała wrażenie, że za moment z ciemności wyłoni się znajoma postać.

Hrabianka Westmoore usiadła na pniu i zasłuchiwała się w kumkanie żab, dolatujące z sitowia. Czekwała, licząc na cud, jednak ten nie nastąpił. Teraz jeszcze dobitniej zrozumiała, że straciła Rodericka na zawsze. Opuścił ją, aby ją chronić, czy dlatego, że miał już jej dość? Słowa rzucone przez Duncana zasiały ziarno zwątpienia. A jeśli Robillard nigdy jej nie kochał? Jeśli była dla niego tylko zabawką?

Chciała przestać go kochać, pragnęła znienawidzić, ale nie potrafiła. Każdego ranka, budząc się, nadaremnie wypatrywała u swego boku jego pięknej twarzy. Schodząc po schodach, liczyła, że za chwilę drzwi otworzą się na oścież, a on stanie w progu. Siadając przy fortepianie, wspominała ich wspólną grę. Wszystko, każdy listek na drzewie, każdy powiew wiatru, każde ziarenko piasku przypominało Elizabeth o Rodericku. Tu, w tym miejscu, było jej trudniej niż w Londynie.

Wiosna powoli dobiegała końca, a wraz z nią ku końcowi zbliżało się życie Elizabeth.

Przynajmniej takie życie, jakie znała. Nie mogąc znikąd oczekiwać ratunku, wyciszyła się wewnątrz i ku prawdziwej ucieście Lucasa, wydawała się pogodzona z myślą o bliskim ślubie.

Tylko oczy nadal miała smutne, a spojrzenie nieobecne.

Lucas często zabierał Elizabeth na konne przejażdżki i na długie piesze spacer. Chodzili razem do wsi, rozmawiali z wieśniakami. W pewien sposób nawet trochę się odprężyła.

Chłopi byli mili, rozmowni. Pokazywali jej cielaczki, źrebiątka, króliki. Dzieci stadnie oblegały ją, gdy szła przez wieś, starała się więc za każdym razem zabierać ze sobą trochę pysznych placuszków, które rozdawała hojną ręką. To życie zaczynało się jej podobać. Dałaby wszystko, aby móc pozostać w tak błogim stanie na zawsze. Gdyby tylko było to takie proste...

Podczas odwiedzin we wsi Elizabeth zawarła znajomość z jedną z wieśniaczek, noszącą dźwięczne imię Mary. Dziewczyna była niewiele starsza od panny Westmoore, ale zupełnie do niej niepodobna. Wysoka, potężna, z rudawozłotymi włosami zaplecionymi w dwa grube warkocze, zielonymi oczyma i policzkami pokrytymi mnóstwem piegów. Mimo młodego wieku dwa lata temu została mężatką, a od miesiąca była wdową, gdyż jej męża przygniotły kłody drewna w tartaku, w którym pracował.

Elizabeth bardzo polubiła tę niezbyt urodziwą, ale niezwykle sympatyczną dziewczynę i często zapraszała ją do dworu, prosząc o drobne przysługi. To razem z nią wyprawiała się w odwiedziny do wieśniaków, to razem z nią przygotowywała smakołyki dla maluchów. Mary sama niedługo miała urodzić swoje pierwsze dziecko i było w niej bardzo dużo życzliwości i tych szczególnych uczuć, które przynależne są przyszłym matkom. Elizabeth postanowiła poprosić Lucasa, aby zajął się zabezpieczeniem dziewczyny. Miała nadzieję, że brat spełni tę prośbę i zapewni jej godziwe życie. Zresztą Mary nie potrzebowała wiele do szczęścia. Służba w ich rezydencji, dach nad głową dla dziecka i pewność jutra, to byłoby to, co z pewnością sprawiłoby jej radość. Mogłaby spokojnie pracować, jednocześnie opiekując się swoim dzieciątkiem.

Mary również polubiła Elizabeth, chociaż dobrze zdawała sobie sprawę z dzielącej je ogromnej przepaści. Elizabeth była hrabianką, narzeczoną wielkiego księcia, a ona biedna, wiejska dziewczyna bez szkoły, nie mogła i nie miała prawa się z nią równać. Jednak mimo tej różnicy obie łączyło cierpienie i to je do siebie zbliżyło.

– Panienka to taki dobry anioł – powiedziała Mary, spoglądając nieśmiało na idącą obok Elizabeth. Właśnie wracały z kościoła, do którego razem się wybrały. Hrabianka Westmoore, która nigdy nie była przesadnie wierząca, w obliczu rychłego końca zwróciła się do Boga, w nim upatrując jedynej nadziei na ratunek. – Z chwilą, jak panienka się tu zjawiała, całe zło zostało przegnane.

– Przesadzasz, Mary. – Uśmiechnęła się. – Cóż ja mogę? Pojawiłam się, jestem, a za moment mnie nie będzie... A wasze życie będzie się toczyć dalej.

– Panienka i panienki brat dali nam nadzieję – zapewniła dziewczyna. – Tu panoszyło się zło. Wielkie, niewyobrażalne zło. Brat panienki zajął się nami. Jak ojciec swoimi dziećmi. Nie opuścił nas. I zło odeszło.

Roderick. Na wspomnienie jego imienia poczuła falę gorąca napływającą do serca. On był tym złem i ona to zło powstrzymała. A teraz miała za to zapłacić jakże wysoką cenę.

– Pięknie tu – szepnęła Elizabeth, rozglądając się dookoła, by pozbyć się smutnych myśli.

– Chciałabym zatrzymać czas i trwać tak wiecznie.

– Ma panienka rację. – Mary przytaknęła gorąco. – Kocham tę moją ziemię, chociaż nic na niej do mnie nie należy. John chciał, abym miała własny dom... Chciał, abyśmy mieli gdzie mieszkać... – Czule dotknęła dużego brzucha.

– Nie martw się, Mary, będzie dobrze. Obiecuję ci, że nie zostawię cię... was tu samych.

– Panienska nie musi mi nic obiecywać. – Mary pokręciła głową. – Obietnic czasem trudno dotrzymać. Mnie tam wszędzie dobrze będzie, bylebym miała co jeść i pracę jaką. Tu ludzie życzliwi, pomogą w potrzebie. Dzieciaka przypilnują, jak w pole pójdę. Boję się tylko... –

Na chwilę umilkła. – Boję się, że jeśli mnie coś się stanie... to kto zajmie się tym maleństwem?

Elizabeth zamyśliła się. Dla niej naturalne wydawało się to, iż dziećmi zajmują się sztaby nianieek, guwernantek, sama przecież była kiedyś takim dzieckiem. Całe dnie opiekowali się nią troskliwi służący, a rodziców widywała jedynie wówczas, gdy ci wyrazili taką potrzebę. Nie mieli czasu na dziecko, kiedy było tyle ciekawych zajęć, przyjęć, balów, podróży. Kochali ją, tego była pewna, ale dla nich miłość znaczyła coś innego niż dla tej wiejskiej dziewczyny. To, że zapewniali córce wszystko, o czym tylko mogła marzyć, było dla nich najważniejsze. To, że ich potrzebowała, już mniej istotne.

Dotarły do otwartej bramy, przy której w odróżnieniu od zeszłego roku, nie było już wartowników. Bestia odeszła, można więc było zrezygnować z dodatkowych środków bezpieczeństwa.

Elizabeth popatrzyła na szeroką aleję, która prowadziła wprost na podjazd rezydencji.

Wysokie szpalery drzew zdawały się strzec do niej dostępu.

– Ja już pójdę, panienko. – Mary skłoniła się przed Elizabeth.

– Dziękuję ci. A wybrałabyś się ze mną jutro zanieść kwiaty pastorowi? Obiecałam, że nazrywam mu róż z naszego parku. Bardzo mu się podobają i chciałby przystroić kaplicę przed niedzielą.

– Oczywiście, panienko.

– I weź to. – Elizabeth wcisnęła do jej dłoni dwie małe monety.

– Panienko, ależ ja nie dla pieniędzy... – zachnęła się Mary.

– Wiem, wiem. – Machnęła ręką. – Ale przydadzą ci się, zwłaszcza gdy maleństwo przyjdzie na świat. – Odwróciła się i samotnie poszła aleją w stronę domu.

Kaplica była niewielka, ale bardzo romantyczna. Elizabeth pamiętała jeszcze czasy, gdy była mała i niańka zabierała ją tu na spacer. Drewniany budynek z dzwonnicy i strzelistymi, witrażowymi oknami skrywał wewnątrz dwa rzędy drewnianych ław i ołtarz pośrodku. A nad ołtarzem ogromne malowidło przedstawiające Sąd Ostateczny. Jako dziecko bała się tego obrazu i namalowanych na nim postaci.

Elizabeth ustawiła piękne, kremowe róże w wazonie stojącym koło ołtarza, a pastor z aprobatą patrzył na efekt jej pracy.

– Dziękuję, drogie dziecko. – Uśmiechnął się do niej. – Ta kaplica od razu wygląda lepiej, zwłaszcza gdy ty tu jesteś.

Zakłopotał ją ten komplement. Wiedziała, że pastor jest dowcipnym starszym panem z łysinką i niewielką nadwagą. Nie był tak poważny, jak inni znani jej duchowni. Podchodził do wszystkiego z pogodą ducha, a swoimi kazaniami potrafił pociągnąć za sobą wszystkich. Nigdy nie nudziła się na nabożeństwie, które prowadził.

– Bardzo ucieszył mnie fakt, że chcecie urządzić zaślubiny w naszym skromnym kościółku. To dla nas wyróżnienie.

– Tu byłam chrzczona – szepnęła.

– Pamiętam, pamiętam. Krzyczałaś tak głośno, że przez tydzień nie słyszałem własnego głosu. – Pastor był w bardzo dobrym humorze. – Byłaś ślicznym dzieckiem, Elizabeth, i wyrosłaś na piękną kobietę. Ten twój książe to prawdziwy szczęściarz.

– Tak, niewątpliwie...

– Oby Bóg obdarzył was swoją łaską. – Pastor uczynił znak krzyża nad jej głową.

Pospiesznie wyszła z kaplicy i podeszła do siedzącej na poboczu Mary.

– Już, panienko? Tak sobie patrzyłam na ten kościółek... Jest śliczny. – Mary niezgrabnie podniosła się z ziemi. – Będzie miała panienka piękny ślub.

– Chodźmy. – Nie zareagowała, tylko szybko ruszyła przed siebie. Nie zastanawiała się, że Mary musi być trudno dotrzymać jej kroku. Na szczęście jednak opamiętała się i zwolniła. –

Kiedy spodziewasz się rozwiązania? – zapytała.

– Właściwie to już niedługo. Zielarka mówi, że jeszcze dwie niedziele...

– Zielarka?

Hrabianka Westmoore przystanęła. Nagle przypomniała sobie swoje spotkanie z Caroline. Jak mogła wcześniej o tym nie pomyśleć? Jak mogła zapomnieć? Przecież ona musiała wiedzieć coś o Rodericku. Na pewno! A nawet jeśli nie, to może udałoby się jej zobaczyć przyszłość.

Elizabeth poczuła, jak w jej serce wkradła się odrobina nadziei.

– To taka kobieta – zaczęła tłumaczyć dziewczyna, pewna, że Elizabeth nie ma pojęcia o kim wspomniała. – Niektórzy wiedzmą ją zowią, ale to nieładnie z ich strony. Wszak ludziom pomaga. Leczy i porody przyjmuje. Lekarz drogi jest i daleko, a ona tam w lesie mieszka. U nas wszyscy do niej chodzą, chociaż nikomu swojej twarzy pokazać nie chce.

– Mary, a zaprowadziłabyś mnie tam? – Panna Westmoore chwyciła w delikatne dłonie spracowane ręce koleżanki.

– Do zielarki? – Dziewczyna była bardzo zdziwiona. – A po co panience tam chodzić?

Pan hrabia nie byłby zadowolony.

– Proszę, zaprowadź mnie do niej. Byłam tam tylko raz, przed rokiem, ale już nie pamiętam drogi... Zaprowadź mnie, proszę. To bardzo ważne. Właściwie to teraz najważniejsza rzecz w moim życiu. A Lucasem się nie przejmuj. On nie musi o niczym wiedzieć. Jestem dorosła, mogę sama o sobie decydować.

– To kawałek drogi – zaczęła niepewnie Mary, ale Elizabeth jej przerwała.

– Jest wcześnie, zdążymy wrócić na podwieczorek.

– No dobrze – westchnęła dziewczyna. Nie potrafiła odmówić panience, która okazywała jej tyle serca i traktowała prawie jak równą sobie.

Ruszyły razem drogą prowadzącą do lasu. Pierwsza szła Mary, podśpiewując sobie cichutko jakąś ludową przyspiewkę, zaś Elizabeth podążała kilka kroków za nią, cały czas intensywnie myśląc, dlaczego wcześniej nie wpadła na pomysł odwiedzenia Caroline.

– Już niedaleko. – Głos Mary przerwał jej rozmyślenia. Przystanęła i rozejrzała się dookoła, spozostzegając, że znalazły się tuż przy ścieżce wiodącej w głąb lasu.

– Czy jesteś pewna, że to właściwy kierunek? – zapytała Elizabeth. – Pamiętam, że poprzednim razem, gdy wraz ze służbą wybrałam się do wiedźmy, przedzierałam się przez gęste zarośla, prawie całkowicie zasłaniające wąską dróżkę.

– Idziemy dobrze – zapewniła Mary. – W zeszłym roku grasowała bestia i ludzie bali się chodzić do lasu, więc i dróżka zarosła. Teraz bestii już nie ma, to i do zielarki wędrują całe

tabuny ludzi. Ona każdemu pomoże. Zna się na chorobach. Nawet najciężej chorych potrafi uzdrowić.

W zeszłym roku był Roderick. To on sprawiał, że ludzie żyli w strachu. Był bestią, która nie znała litości. Elizabeth poznała go i nauczyła, jak być człowiekiem. Sprawiała, że spokój powrócił w te okolice. A teraz jego nie ma...

Hrabianka Westmoore chciała jeszcze zapytać o coś Mary, ale właśnie w tym momencie do uszu dziewcząt doleciał przybliżający się tętent końskich kopyt. Wiedzioną dziwnym przeczuciem, odwróciła się. To niewytłumaczalne ukłucie niepokoju towarzyszyło jej zawsze, gdy w pobliżu znajdował się Duncan. Tym razem także się nie pomyliła. W ich stronę, na siwym rumaku, zmierzał książę. Jego białe jak mleko włosy rozwiewał wiatr.

Duncan zwolnił, ale nie zatrzymał konia. Skierował się prosto na Elizabeth, tak jakby chciał ją rozjechać. Mary krzyknęła z przerażenia, ale Elizabeth nie wykonała najmniejszego ruchu. Była pewna, że to tylko jedna z wielu gier księcia, mająca na celu zastraszenie. Przecież Duncan nie pozbyłby się tak łatwo przyjemności, wynikającej z dręczenia upatrzonej przez siebie ofiary. Nie stratowałby jej, kiedy miał już przygotowany perfidny, ale jakże misterny plan.

Przypuszczenia Elizabeth okazały się słuszne. Duncan zatrzymał konia dosłownie kilka centymetrów od niej i zręcznie zeskoczył z grzbietu. Stał na wprost narzeczonej.

– Gratuluję odwagi, a może głupoty – rzucił na powitanie. – Twoje przemyślenia mnie bawią. Byłaś taka pewna, że cię nie stratuję? Czasem lubię zaskakiwać.

– To dlaczego pan tego nie zrobił? – Wytrzymała napór jego spojrzenia.

– Chciałabyś – warknął ze złością. Nie tego się spodziewał. Elizabeth powinna szaleć z rozpaczy i strachu, powinna widać się u jego stóp, błagając o litość. – I przestałabyś już wreszcie z tym panem. Niedługo bierzemy ślub.

– Ale jeszcze nie wzięliśmy, więc jest pan dla mnie obcy – odpowiedziała.

– Skończyłabyś już z tym swoim głupim uporem – zaśmiał się. – Lepiej byś zrobiła, okazując trochę więcej radości na mój widok.

– Nie mam się z czego cieszyć.

Momentalnie znalazł się tuż koło niej i gwałtownym ruchem przycisnął ją do siebie, jednocześnie wykręcając jej rękę do tyłu. Poczowała ból, który wzmógł się jeszcze, gdyż książę wzmocnił uścisk.

– Obiecałem, że wkrótce do ciebie dołączę, i oto jestem. Na pewno tęskniłaś, prawda? –

Znowu brutalnie ją pocałował, niemalże gniotąc jej usta swoimi wargami. Z trudem chwyciła

oddech, próbując się od niego uwolnić.

Mary stała z boku, na poboczu drogi. Nie wiedziała, jak się zachować i co zrobić.

Domyślała się, że przybyły sprawiał ból Elizabeth, ale nie miała pojęcia, czy może się temu sprzeciwić. Była w końcu tylko prostą wieśniaczką, gdzie jej wtrącać się w życie wielkich państwa.

– A kogóż my tu mamy? – Duncan oderwał usta od warg Elizabeth. Nadal wykręcał rękę dziewczyny, ale teraz już jej do siebie nie przyciskał. Spojrzał na stojącą w pobliżu wieśniaczkę.

– Czyżby to teraz była twoja przyjaciółka? Oj, widzę, że zaczynasz gustować w coraz niższych sferach. – Pociągnął Elizabeth w stronę Mary, a gdy podeszli bliżej, pchnął ją mocno,

tak iż upadła w przydrożny pył, wprost pod nogi koleżanki. Mary pochyliła się, aby pomóc jej się podnieść.

– No, no, wiejska, żwawa dziewczucha. – Duncan, niczym zwierzę okrążający swoją ofiarę, szybkim krokiem obszedł dookoła obie dziewczyny. – Niemalże rarytas. Jej krew jest czysta, nie to co tych miejskich wywłok – rzucił przez zaciśnięte zęby, a rysy jego twarzy wyostrzyły się, nabierając upiornego wyglądu. Mary się wystraszyła. – Nie wiesz, kim jestem? – zapytał, zwracając się do niej. – Jestem narzeczonym twojej kochanej pani, a jednocześnie diabłem w ludzkiej skórze. Zapytaj swoją słodką Elizabeth, czy widziała, jak zabijam. Zapytaj, co czuła, gdy na to patrzyła. Zapytaj, zanim poczuje twoją śmierć.

– Książę... – Elizabeth złożyła ręce jak do modlitwy, pierwszy raz zwracając się do niego tak bezpośrednio. – To jej nie dotyczy! Niech ją pan zostawi. To mnie chce pan ukarać, nie ją!

– Jakaś ty głupia, Elizabeth! – Śmiał się ohydny, chrapliwym głosem. – Czy jest coś, co bardziej cię zaboli, niż okrutna śmierć twojej wiejskiej przyjaciółeczki i jej nienarodzonego dziecka?

Mary wydała z siebie jęk strachu. Zastłoniła brzuch dłońmi, jakby chciała ochronić to małe życie, które tam się skrywało.

– Błagam! – Elizabeth z płaczem doczołgała się do Duncana i uwiesiła się połów jego płaszcza. – Błagam, nie...

– Tak, błagam, tak – przedrzeźniał ją z nieukrywaną satysfakcją. Odrzucił Elizabeth kopniakiem i jednym skokiem dopadł Mary. Chwycił jej głowę w obie ręce i mocno ścisnął. Pod naporem tego uścisku twarz dziewczyny nabrała koloru purpury, a oczy wyglądały, jakby miały wyskoczyć z oczodołów. Widać w nich było nieludzkie wręcz przerażenie połączone z bólem.

– Patrz! – krzyknął Barclay. – Patrz na swoją ukochaną panienkę. To przez nią będziesz cierpieć! To przez nią umrzesz! Przez nią umrze twoje dziecko! Jeszcze nie wie, co mu przygotowałem. Jest takie bezpieczne wewnątrz brzucha. Otóż słuchaj: najpierw wydrę ci serce, a gdy przestanie bić, rozerwę twój brzuch i wyjmę z niego twojego synka. Ach tak, zapomniałem.

Ty nie wiedziałaś, że to będzie syn. No cóż, już nigdy go nie poznasz. Ale ja go zobaczę. Wyjmę go i popatrzę na te małe rączki, na te krzywe nóżki, na te zaciśnięte powieki. Pozwolę mu zaczerpnąć pierwszy haust powietrza. Niech poczuje ból życia. A potem rozerwę go na pół.

Powoli, aby cierpiał jak najdłużej.

Elizabeth zacisnęła pięści, wiedząc, że nie da rady przeciwstawić się Duncanowi. Ten potwór zrobi to, co zapowiedział.

– Wybacz – wyszeptła poprzez łzy, które utrudniały jej mówienie. – Wybacz mi, Mary...

Ciche skomlenie wieśniaczki przypominało skargę maltretowanego psiaka.

– Litości... – To były ostatnie słowa nieszczęśnicy. Duncan gwałtownie puścił głowę dziewczyny i w ułamku sekundy jednym gestem wydarł jej serce. Odrzucił od siebie martwe ciało i wyciągnął zakrwawioną dłoń w stronę Elizabeth.

– Popatrz! Jeszcze bije! Jeszcze jest gorące! Zobacz! – wrzasnął, podchodząc bliżej.

W tym momencie coś przeleciało w powietrzu i jakaś niezwykła siła odepchnęła Duncana od panny Westmoore. Potoczył się jak kłoda, sam zdziwiony tym, co się stało. Wypuścił z dłoni zakrwawiony organ. Podniósł się i spojrzął na swojego przeciwnika. Na wprost stała Caroline.

– Chyba coś ci się pomyliło – wysyczała. – To mój las i nie masz prawa bez mojej zgody, urządzić tutaj łowów. Widzisz tamtą dróżkę? Od niej zaczyna się mój teren i nikt nie będzie łamał prawa własności. A ty właśnie przekroczyłeś granicę.

Duncan otrzepał się z kurzu.

– No proszę, kogóż my tu mamy? Nic się nie zmieniłaś przez te wszystkie lata. Chociaż...

Tam, na wrzosowiskach, byłaś dużo bardziej zabawna. – Zaśmiał się. – Gdyby nie mój ojciec, już dawno zakończyłabyś swoje durne życie. Stałaś się równą nam i nie mogę cię zabić, a uwierz, że z prawdziwą satysfakcją zatopiłbym kołek w twoim sercu. Jesteś ścierwem!

– Ja również z przyjemnością zakończyłabym twoją marną egzystencję, ale wiąże mnie prawo Patronów. Tylko ze względu na nie pozwalam ci odejść. – Patrzyła się na niego srogim wzrokiem. – Zabieraj się i nigdy więcej nie przekraczaj tej linii. To mój teren!

Elizabeth zauważyła ze zdziwieniem, jak Duncan odwraca się na pięcie, podchodzi do konia i wskakuje na niego.

– Do zobaczenia później, Elizabeth! – krzyknął. – A z tobą, Caroline, jeszcze się rozprawię. Nie licz na ochronę prawem Patronów. Doprowadzę do tego, że sama będziesz błagała mnie o śmierć.

Elizabeth doczołgała się do ciała Mary. Ostrożnie uniosła jej głowę i ułożyła sobie na kolanach, nie bacząc, że cała ubrudzi się krwią. Otwarte oczy zmarłej wpatrywały się pustym wzrokiem w szumiące w górze konary drzew, zza których widać było prześwity błękitnego nieba.

Elizabeth delikatnie położyła dłoń na powiekach dziewczyny i je zamknęła. Łzy hrabianki skapywały na twarz martwej wieśniaczki, która teraz wyglądała, jakby spała. Tylko krwawa dziura w piersi była świadectwem tego, co się stało.

Caroline jeszcze przez chwilę patrzyła za odjeżdżającym Duncanem, po czym podeszła do siedzącej na poboczu panny Westmoore. Zauważyła, jak Elizabeth głaszcze włosy zmarłej.

– To moja wina, gdybym tak bardzo nie nalegała, aby mnie do ciebie przyprowadziła... –

Elizabeth uniosła spojrzenie na Caroline. – Zginęła przeze mnie. To ja przyczyniłam się do tego, że ona i jej dziecko...

Caroline uciszyła ją ruchem ręki i uważnie nasłuchując, pochyliła się nad ciałem Mary, po czym dotknęła brzucha nieboszczki. Na jej twarzy odmalowało się zdziwienie. Wydobyła zza pasa krótki sztylet.

– Nie! – Elizabeth spróbowała zasłonić zakrwawione zwłoki, nie chcąc, aby ktokolwiek jeszcze kaleczył to sponiewierane ciało. Caroline jednak odepchnęła ją i jednym ruchem rozcięła brzuch zmarłej, a następnie, rozciągając płaty ciała, zanurzyła w nim obie ręce. Elizabeth zamknęła oczy, nie mając siły na to patrzeć. Otworzyła je dopiero, gdy usłyszała cichy płacz noworodka.

– To niemożliwe. – Caroline umyła dziecko i zawinawszy w wielką chustę, podała je Elizabeth. – Ten chłopczyk nie miał prawa przeżyć.

– Jest taki śliczny. – Panna Westmoore z czułością przyglądała się małej twarzyczce. –

Taki nieporadny i delikatny. Co my z nim zrobimy? – Uniosła pytający wzrok na Caroline.

– Przede wszystkim potrzebujemy krowy, bo ten malec musi coś jeść. – Zielarka wzruszyła ramionami. – Nie ma żadnej rodziny i z pewnością nikt go nie zechce, bo to dodatkowa gęba do wykarmienia, a pożytek żaden.

– Ludzie będą szukać Mary – zauważyła Elizabeth. – Chyba że jej zniknięcie znowu złożą na karb bestii.

– Zdążyłam pozbyć się zwłok.

Elizabeth nie śmiała pytać, co się z nimi stało; wolała nie wiedzieć. Gdy Caroline kazała jej iść wraz z dzieckiem do chaty ukrytej w lesie, bez sprzeciwu wykonała jej polecenie.

– Powiesz, że Mary zaczęła rodzić w lesie, gdy wracałyście z kaplicy. Uwierzą ci, bo masz suknię całą uwalaną krwią. Powiesz, że odebrałaś poród, i z maleństwem w rękach poszłaś po pomoc do mnie. Gdy wróciłyśmy, ciała już nie było, widocznie porwało je jakiś zwierzę.

– A Duncan?

– Nie sędzę, aby chciał podważać prawdziwość twoich słów. – Roześmiała się. – Raczej nie na rękę byłoby mu polowanie na bestię.

– On się ciebie bał... – zauważyła z podziwem.

– Nie. Duncan nie boi się nikogo. Powstrzymało go prawo Patronów. – Caroline najwyraźniej nie chciała wtajemniczać Elizabeth w niektóre sprawy.

– Prawo Patronów?

– To nie jest teraz ważne i lepiej do tego nie wracajmy. Pomyślmy lepiej, co zrobić z tym dzieciakiem. – Wskazała na maleństwo.

– Bardzo chciałabym wziąć je ze sobą, ale niestety nie będzie to możliwe. – Elizabeth smutno pokręciła głową. – Przyjechał Duncan i sama rozumiesz... Tam nie jest bezpiecznie.

– No cóż, w takim razie zostanie u mnie. – Caroline zamyśliła się, próbując ujrzeć przyszłość cudownie ocalonego dziecka. W jej głowie pojawiły się obrazy, krótkie, urwane scenki. Już wiedziała, co się stanie. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Malec miał szczęście. –

Przynajmniej na razie postaram się zastąpić mu rodziców.

– Poproszę Lucasa, aby przysłał ci krowę. – Elizabeth oddała Caroline zawiniątko z dzieciątkiem. Spojrzała na swoją poplamioną krwią sukienkę. No trudno, jakoś musiała dojść w tym stanie do domu, aby uprawdopodobnić ustaloną wcześniej wersję wydarzeń. Podeszła do drzwi i już miała wychodzić, kiedy nagle zatrzymała się, przypominając sobie, po co tu zmierzała.

– Caroline, ty wiesz... Musisz wiedzieć, gdzie on jest. Proszę cię, powiedz mi. Pozwól mi się z nim skontaktować. Gdzie go znajdę?

– Nie, Elizabeth, nie mogę ci tego powiedzieć. – Potrząsnęła głową. – Zaufaj mu jednak.

Po prostu czekaj.

– Ale jak ja mam czekać, skoro wkrótce wychodzę za mąż za Duncana? Dlaczego nie chcesz mi pomóc?

– Proszę, nie nalegaj. Będzie to, co ma być.

– Ale ty wiesz! Ty znasz przyszłość! Dlaczego mnie zostawił? Czy wróci? Czy jeszcze go zobaczę?

Caroline podeszła do Elizabeth i objęła ją ramieniem. Mogła jej wyznać prawdę, ale w ten sposób naraziłaby dziewczynę na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Gdyby Duncan się dowiedział...

– Nie trać wiary, moja droga. Wasza miłość przetrwa wszystko...

ROZDZIAŁ X

Zmierzchało już, gdy Elizabeth wreszcie dotarła do domu. W poplamionej krwią, zakurzonej sukni, z potarganymi włosami, wyglądała naprawdę strasznie. Na jej widok Joseph przeżegnał się, a na jego twarzy pojawił się wyraz największego przerażenia.

– Jaśnie panienko! Co się stało? Panie hrabio! – krzyknął, odwracając się w głąb domu. – Panienska Elizabeth...

– Nic mi nie jest...

– Elizabeth! – Lucas wybiegł z gabinetu i momentalnie znalazł się przy siostrze. – Jak ty wyglądasz? Gdzie ty byłaś? – Chwycił ją na ręce i uczynił to w samą porę, gdyż nogi się pod nią ugięły i niewiele brakowało, by upadła.

– Byłam z Mary w kościele. Później poszłyśmy do lasu – szeptała, gdy wносиła ją po schodach na górę. – Mary urodziła dziecko... Odebrałam poród i poszłam po pomoc... Wzięłam tego malucha na ręce i poszłam... Zostawiłam Mary, a gdy wróciłyśmy, jej już nie było. Jakiś zwierz musiał... – Głos się jej załamał

– O, wszyscy święci. – Lucas wszedł do pokoju siostry i ostrożnie położył ją na łóżku. –

Elizabeth, jak mogłaś tak ryzykować?

Do pokoju wpadły służące z ręcznikami, dzbankiem z wodą i misą. Lucas nie chciał im przeszkadzać, więc szybko wyszedł z pokoju. Stał na korytarzu, patrząc tępo na zamknięte drzwi.

– Co z Elizabeth? – Nie zauważył, kiedy podszedł do niego Duncan. – Narobiliście straszego rabanu.

– Elizabeth odebrała poród wiejskiej dziewczyny... Sama w lesie... A później szła z dzieckiem po pomoc...

– Z dzieckiem? – Duncan był szczerze zdziwiony.

– Tak mówiła. Uratowała dziecko, ale w czasie, gdy szła po pomoc, jakiś zwierz zabrał tę biedną kobietę...

– Jaśnie panie. – Służąca wychyliła się przez uchylone drzwi. – Panienska prosi pana na chwilę do siebie.

– Poczekaj, Duncanie.

Lucas szybko podążył na wezwanie siostry. Gdy wszedł do pokoju, zobaczył, że Elizabeth jest już przebrana i ma umytą twarz.

– Lucasie... – Usiadła na łóżku, podpierając się łokciem. – Czy mógłbyś wysłać mleczną krowę do Caroline?

– Do kogo?

– To taka zielarka, mieszka w lesie – wyjaśniła. – Joseph wie gdzie. Tam jest teraz to dziecko. Obiecałam jej, że dostarczysz krowę. Proszę, zrób to dla mnie.

– Oczywiście, kochanie. – Pogłaskał ją po głowie. – Wiesz, że dla ciebie zrobiłbym wszystko. Jesteś w końcu moją małą siostrzyczką. Ale poczekaj, mam miłą niespodziankę.

Zgadnij, kto dziś do nas przyjechał? Jestem pewien, że nawet się nie domyślasz. Twój narzeczony, książę Duncan, jest tutaj i już nie może się doczekać, aby cię zobaczyć. Zaraz go poproszę.

– Nie! – krzyknęła rozpaczliwie. – Nie chcę go teraz widzieć!

– Wiem, kochanie, że krępujesz się tego, w jakim jesteś stanie, ale to twój przyszły mąż, więc naprawdę nie masz się czego wstydzić. – Podeszedł do drzwi i gestem zaprosił Duncana, aby

ten wszedł do środka.

Księżę podeszedł do łóżka Elizabeth.

– Witaj, moja droga – zaczął. – Prawdziwym smutkiem napawa mnie widok stanu, w jakim się znajdujesz. Przyjechałem wcześniej, żeby zrobić ci niespodziankę i przyspieszyć termin naszego ślubu. Myślę, że z korzyścią dla wszystkich będzie, jeśli pobierzemy się za dwa tygodnie, a nie tak jak planowaliśmy w lipcu. Chcę cię jak najszybciej zabrać do Indii, abyś mogła zapomnieć o tych okropnych wydarzeniach i rozpocząć całkiem nowe życie. – Uśmiechnął

się, ale był to uśmiech przebiegłego lisa.

Elizabeth czuła się tak wycieńczona, że nie miała siły słuchać jego kłamliwych słów. Nie słyszała, co jeszcze do niej mówił. Przymknęła powieki i zapadła w sen.

Obudziła się, czując wspaniały aromat ciasta czekoladowego. Otworzyła oczy i zauważyła, że obok łóżka stoi Celeste. Było to o tyle dziwne, że gruba kucharka rzadko opuszczała swoje królestwo, jakim były pomieszczenia kuchenne, a już wejście po schodach stanowiło dla niej prawdziwe wyzwanie.

– Ale panienska zmizerowana. – Kobieta ze smutkiem pokręciła głową. – W tym Londynie nie zadbali o porządne wyżywienie panienki. Pewnie tylko same bale i przyjęcia, a tam wiadomo, jakie świństwa podają. Niby to wytworne i raduje wzrok, ale wartości nie ma żadnej.

– Och, tak się cieszę, że cię widzę. – Panna Westmoore usiadła na łóżku i wyciągnęła ręce w stronę służącej. – Przepraszam, że ostatnio nie zaglądałam do kuchni. Zaniedbałam cię trochę.

– Ależ, panienko, za nic nie musi mnie panienska przeproszać. Gdzieżby miała się panienska mną przejmować. Przecie ja tylko prosta kucharka jestem, a panienska wkrótce za księcia zostanie wydana. – Celeste delikatnie ujęła dłonie dziewczyny w swoje pulchne, spracowane ręce, i czule uścisnęła.

– Za księcia... – powtórzyła Elizabeth, a cała jej radość prysła w jednej chwili. Kucharka zauważyła tę zmianę nastroju.

– Upiekłam paniencie ciastka czekoladowe. Panienska tak zawsze lubiła słodkości. –

Kobieta odwróciła się na moment, podeszła do stoliczka i wzięła z tacy talerzyk, na którym pyszniły się apetycznie wyglądające ciasteczka.

– Dziękuję. – Elizabeth, nie chcąc urazić kucharki, sięgnęła po jedno z ciasteczek, mimo iż wcale nie miała na nie ochoty.

– Proszę o wybaczenie za moją śmiałość, ale panienska nie wygląda na szczęśliwą oblubienicę. – Celeste podparła się pod boki i uważnie przyglądała dziewczynie.

– Jestem szczęśliwa! – zapewniła pospiesznie. Przecież nie mogła zdradzić swego sekretu. Duncan nigdy by jej tego nie wybaczył. – Księżę jest światowym człowiekiem, który bywa w towarzystwie. To najlepsza partia, jaka mogła mi się marzyć. Dlaczego miałabym się nie cieszyć?

– Może dlatego, że to nie jego panienska kocha. – Celeste nie dała się zwieść słowom Elizabeth.

- Co też ty wygadujesz! - Ręka dziewczyny zadrżała i ciastko spadło na podłogę.

- Przepraszam, panienko. Nie powinnam była tego wspominać. - Kucharka z trudem schyliła się, aby pozbierać okruchy. - Pamiętam, co panienka mówiła. Ja wiem, że każda młoda dziewczyna marzy o prawdziwej miłości, a niestety życie to nie bajka. Nie sercem trzeba się kierować, a rozumem. To czasem boli, ale taka jest konieczność. Serce to zły doradca. Lubi zwodzić i doprowadzać do zguby.

- Lucas znowu cię poprosił, abyś ze mną porozmawiała, prawda? - Domyśliła się, o co chodzi Celeste.

- On się o panienkę martwi. Wszyscy się o panienkę martwimy.

- Naprawdę nie macie ku temu żadnego powodu. Wszystko jest w najlepszym porządku.

Gdyby mogła wyznać, jak bardzo jest przerażona... Gdyby mogła opowiedzieć o tym, co robił Duncan i kim był. Ale czy ktoś by jej uwierzył? Nawet jeśli, to czy miała prawo ryzykować życie swego brata? Barclay zagroził, że jeśli postąpi lekkomyślnie, narazi Lucasa na śmierć w ogromnych, niewyobrażalnych wręcz męczarniach. Była pewna, że księżę dotrzymałby swego przyrzeczenia. Po tym, co dane jej było zobaczyć w jego wykonaniu, wiedziała, że nie cofnie się przed niczym. Jej życie nie miało już sensu, ale Lucas nie zasłużył na taki koniec.

- Panienko, jakby co, to ja zawsze panienkę wysłucham. O każdej porze może panienka przyjść i się wyżalić. Może i nic nie pomogę, ale czasem wystarczy, gdy można podzielić się z kimś swoim ciężarem. Ja wielka kobieta jestem - zażartowała. - Wiele trosk panienki udźwignę.

- Dziękuję, Celeste. Wiem, że się o mnie troszczysz, jestem już jednak dorosła i sama potrafię o siebie zadbać.

- Tak, panienko... To, co zrobiła panienka tam w lesie... Cała wieś o tym mówi.

Odebrała panienka poród tej nieszczęsnicy, Mary. To godne podziwu.

- Proszę cię, nie wracajmy już więcej do tego tematu. - Wzdrygnęła się.

- Oczywiście, panienko. Jeszcze raz błagam o wybaczenie za moją śmiałość.

- Nic się nie stało, Celeste. - Elizabeth wstała z łóżka i podeszła do służącej. Przytuliła się do niej jak do matki. Poczula ciepły uścisk na ramionach i to dodało jej siły. - Dziękuję za to, że jesteś. Opiekuj się Lucasem, gdy ja wyjadę. Gdy mnie zabraknie, zostanie zupełnie sam.

- Ale niech panienka tak nie mówi. Małżeństwo to nie koniec życia. Przecież będzie nas panienka odwiedzać. A jak pojawią się na świecie dzieci...

- Tak, Celeste. Na pewno tak będzie - przerwała jej.

Nie chciała słuchać opowieści o tym, co nigdy się nie spełni. Małżeństwo to nie koniec życia? Dla niej miał to być definitywny i ostateczny koniec takiego istnienia, jakie znała.

Przez następne dwa dni Elizabeth nie opuszczała swojego pokoju. Wymawiając się złym samopoczuciem i osłabieniem, w ogóle nie wstawała z łóżka, tym sposobem unikając kolejnych nieprzyjemnych spotkań z Duncanem. Lucas rozumiał jej osłabienie, służba była pełna podziwu dla jej wyczynu, a ona miała upragniony święty spokój. Odetchnęła z ulgą, kiedy dowiedziała się, że jeszcze tego samego wieczora, gdy wróciła, Lucas dotrzymał słowa i wysłał mleczną krowę do Caroline. Maluszek miał więc co jeść. Elizabeth żałowała jedynie, że już nigdy więcej nie zobaczy syna Mary, była jednak pewna, że ani Lucas, ani tym bardziej Duncan, nie zgodzą się na jej kolejną wyprawę do lasu.

Panna Westmoore nie wzięła jednak pod uwagę faktu, że dla Caroline nie było rzeczy niemożliwych. Tak jak Roderick potrafiła przemieszczać się błyskawicznie z miejsca na miejsce.

Tak jak on potrafiła bezszelestnie zjawić się w sypialni hrabianki. Dziewczyna poczuła tylko podmuch wiatru i zobaczyła przy otwartym oknie postać szczelnie otuloną obszerną, długą peleryną.

Jedną ręką zsunęła kaptur z głowy i oczom Elizabeth ukazała się twarz wiedźmy z lasu.

– Myślałam, że będziesz chciała go zobaczyć. – Caroline podeszła do leżącej w łóżku Elizabeth i odsunawszy poły peleryny, odsłoniła trzymane na ręku śpiące dziecko. Podała je dziewczynie. – Powinnaś wybrać mu imię.

– Ojej. – Elizabeth objęła zawiniątko i z czułością popatrzyła na śpiącego bobasa. – Jest taki malusieńki i ciepłutki. A jakie ma śliczne, małe paluszki. – Dotknęła jednej z zaciśniętych w piąstkę dłoni. – Widziałas, Caroline, jakie ma tycie paluszki? Jest doskonały pod każdym względem.

– Masz rację, to cudowny chłopak i wyrośnie na dzielnego młodzieńca. – Caroline przysiadła na brzegu łóżka. – Trzeba go jakoś nazywać, więc może powiesz, jakie imię dla niego wybrałaś.

– Ja? – zdziwiła się.

– Oczywiście, że ty.

– Nie mam pojęcia. – Przytuliła twarz do buzi dziecka, zaciągając się jego słodkim zapachem. – Tak spokojnie śpi. Nie wie o tym wszystkim... Chciałabym, aby był szczęśliwy.

– Będzie – zapewniła Caroline. – Będzie miał rodzinę i będzie szczęśliwy.

– Znalazłaś ludzi, którzy się nim zajmą? – W oczach Elizabeth pojawiło się zdziwienie połączone z radością, ale i ze smutkiem. Cieszyła się, że malec będzie miał ciepły dom, ale żał jej było, iż zniknie z jej życia.

– W pewnym sensie tak. – Caroline roześmiała się, odczytując, o czym myśli hrabianka. –

Zapewniam cię, że lepszej rodziny nie mogłabyś sobie dla niego wymarzyć. No i co z tym imieniem? – przypomniała. – Wymyślisz jakieś, czy po prostu ma być zwykłym Johnem?

– Kyle – wyszeptwała. – Zawsze myślałam, że jeśli będę miała kiedyś syna, dam mu na imię Kyle. Jednak nigdy nie będę matką... – Posmutniała.

– Bardzo ładne imię. – Caroline odebrała od niej malca. – W takim razie witaj, Kyle'u. –

Przytuliła go do siebie i zakryła połą płaszczą. – A ty, Elizabeth, nie trać wiary. – Nałożyła kaptur na głowę i zniknęła.

Panna Westmoore nie mogła w nieskończoność siedzieć w swoim pokoju. Musiała opuścić ten w miarę bezpieczny azyl i zejść na dół. Prawdziwą katorgą było dla niej spożywanie posiłków w towarzystwie księcia, zabawianie go grą na fortepianie, czy też odpowiadanie na jego pytania. A wszystko to pod czujnym okiem brata. Lucas uważnie obserwował siostrę i dziwił się, dlaczego ciągle zachowuje rezerwę w stosunku do Duncana. W oczach hrabiego ksiądzę był

ucieleśnieniem marzeń każdej dziewczyny: bogaty, zabójczo przystojny, wykształcony, opiekuńczy. Niemalże ideał. Elizabeth tymczasem w jego obecności dziwnie milkła, jakby kuliła się w sobie. Jej oczy traciły blask, a głos stawał się bezbarwny, przytłumiony. Lucas tłumaczył to sobie na swój męski sposób. Uważał, że zapewne Elizabeth boi się dnia ślubu. Była taka młoda, a nie miała matki, która wtajemniczyłaby ją w sekrety małżeńskiego życia.

On, jako brat, nie chciał, a nawet nie miał ochoty tego robić. Po prostu nie wyobrażał sobie rozmowy z siostrą na niektóre tematy.

Tydzień przed przyspieszonym ślubem dostarczono do rezydencji zamówioną suknię i welon. Śnieżnobiała tkanina mieniła się w słonecznym świetle, a delikatne, zwiewne jak mgiełka koronki, miękko układały się na sylwetce, otulając ją mlecznym obłoczkiem. Elizabeth patrzyła na swoje lustrzane odbicie bez żadnych emocji. Nie cieszyło jej piękno stroju, który wszystkich zachwycał. Posłusznie, niczym manekin, stała bez ruchu, pozwalając, żeby krawcowa, która przybyła wraz z przesyłką prosto z Londynu, poprawiała fałdy i dopasowywała elementy stroju.

Gdy po przymiarce Elizabeth wreszcie mogła zdjąć ślubną kreację, zrobiła to z prawdziwą przyjemnością.

Duncan wykorzystał swój pobyt u Westmoore'ów na zwiedzanie okolicy. Sam lub w towarzystwie Lucasa wyprawiał się na konne przejażdżki, wziął także udział w polowaniu, które zorganizowali Burtonowie. Zjednywał sobie wszystkich, przed każdym roztaczając swój czar.

Nawet Celeste uległa jego urokowi.

Elizabeth z niepokojem odliczała kolejne dni dzielące ją od ślubu. Z coraz większym niepokojem, otwierając rano oczy, spoglądała w okno, zastanawiając się, ile razy zobaczy jeszcze wschód i zachód słońca? Zasypiając wtulona w mokrą od łez poduszkę, marzyła, by więcej się nie obudzić.

Czasem nachodziła ją dziwna myśl, czy ktoś będzie po niej płakał. Lucas przecież nawet nie będzie świadom tego, co się z nią stanie. Duncan zabierze ją zaraz po ślubie do Indii i być może nigdy więcej nie pozwoli spotkać się z bratem. Może tylko Roderick odkryje prawdę, ale on przecież już się jej wyrzekł. Uciekł przed Duncanem, zostawiając ją na jego pastwę. I jeszcze chciał pozbawić wspomnień! Tego nie mogła mu wybaczyć. Wspomnienia były dla niej najcenniejszą rzeczą, jaką miała. Bez nich czułaby się pusta i jakaś niekompletna. Dlaczego więc Roderick chciał jej to odebrać? Być może, będąc przez tyle wieków bestią, nie był gotowy na ludzkie odczucia. Mimo prób stania się człowiekiem, nadal zachowywał się jak zwierzę, choć udomowiony.

Czasem chciała go nienawidzić za to, co jej zrobił, ale nie potrafiła. Przeklinała go w myślach i nazywała ukochanym. Targały nią wszystkie możliwe emocje, a im ślub był bliżej, tym wyraźniej je odczuwała.

Na dzień przed ceremonią wreszcie odważyła się i poszła nad staw, tam gdzie zawsze spotykała się z Roderickiem. Wierzba nadal zwieszała swoje gałęzie ku wodzie. Pęknięty, powalony pień drzewa, nadal przypominał jej moment, gdy Roderick się zdenerwował i uderzył

w niego pięścią. Wszystko wyglądało jak wtedy, a jednak inaczej. Bez Robillarda nic już nie było takie samo.

Stała i patrzyła na chłodną toń stawu. Stała i wspominała, a na jej ustach od czasu do czasu pojawiał się blady cień uśmiechu. Tu wszystko się zaczęło i tu się skończy. Jutro ubiorą ją w piękną suknię, upną jej we włosach biały welon. Pojedzie kareta do kaplicy, gdzie Lucas poprowadzi ją wśród dwóch rzędów ław, pod sam ołtarz. A tam będzie czekać Duncan, z tymi stalowymi, okrutnymi oczami, z tą piękną, ale naznaczoną zwierzęcym piętnem twarzą. Pastor połączy ich dłonie, wymówią słowa przysięgi i... i ziemia nie zdrzy. A to będzie jej pogrzeb.

Wzdrygnęła się, słysząc szelest. Odwróciła się. Na ścieżce stał książę i uśmiechał się ironicznie. Widział wszystkie jej myśli, gdyż od dłuższej chwili ją obserwował.

– No pięknie, pięknie Elizabeth. – Wyciągnął ręce i zaczął bić brawo. – Twoja wyobraźnia powala na kolana. Zwłaszcza ten moment, gdy pobieramy się, a ty w białej sukni, stojąc ze mną przy ołtarzu, nagle widzisz się w trumnie. Swojego kochanego Rodericka nie widzisz tam przypadkiem? Może jak klęczy przy katafalku i krzyczy: „Wróć do mnie, moja ukochana”? Cudowne, cudowne!

– Nie da mi pan ostatniego dnia wolności? – zapytała cicho. – Od jutra będzie się pan pastwił nade mną całą wieczność.

– Oj, Elizabeth, ale ty jesteś melodramatyczna. Pastwił się będę nad tobą, dopóki nie staniesz się taka jak ja. Później to ty będziesz się pastwić nad innymi. Nawet nie wiesz, jaką radość miałem, patrząc na twoje męczarnie, gdy poznawałaś to, co cię czeka. To, czego wkrótce sama będziesz twórcą. Będziesz zabijać, choć tak bardzo napawa cię to obrzydzeniem. Zrobię z ciebie bestię siejącą postrach. Odbiorę ci człowieczeństwo, które tak bardzo chciałaś zwrócić Roderickowi.

– Proszę przestać! – Zasłoniła uszy dłońmi. – To będzie dopiero jutro. Dziś jestem człowiekiem i mam prawo do pożegnania się z tym światem. Chcę zapamiętać to wszystko, co znałam. Nie może mi pan tego zabronić!

– Zapamiętać? Zapomnisz o wszystkim! Będziesz kierować się instynktem, ślepym pragnieniem! Nie będziesz człowiekiem, chociaż myślisz, że ci się to uda. – Z drwiącym

śmiechem odwrócił się od niej i odszedł. Zatrzymał się jednak na moment i dodał: – A swoją drogą pomyśl, twoje dotychczasowe życie było tak nudne i bezsensowne, że to, co ja ci ofiarowuję, jest dla ciebie pewnego rodzaju wybawieniem. No to korzystaj z tego ostatniego dnia beznadziejnego życia. Od jutra czeka cię wieczność.

Tej nocy Lucas nie mógł zasnąć. Dotychczas był odprężony i zadowolony z mariażu siostry, teraz jednak do jego serca zaczął się wkradać lęk. Niby wszystko było w porządku, ale jednak coś nie dawało mu spokoju. Nawet rozmowa z Celeste niewiele pomogła. Owszem, kucharka zgodziła się podpytać Elizabeth o jej odczucia i obawy, ale, niestety, nie dowiedziała się niczego konkretnego. Tymczasem przyszła panna młoda cały czas była taka skupiona, zamysłona, jakby nieobecna duchem. W jej oczach widać było czający się gdzieś na dnie smutek.

Smutek połączony z przerażeniem... Teraz to wreszcie do niego dotarło. Elizabeth była sparaliżowana strachem. Wyglądała jak małe zwierzątko, prowadzone na rzeź.

Lucas zerwał się z łóżka. Coś tu nie pasowało. Owszem, Elizabeth miała prawo czuć się zakłopotana, speszona, w końcu ślub, a zwłaszcza noc poślubna, to wielkie przeżycie dla każdej panny młodej. Jednak to, co dostrzegął w spojrzeniu siostry, przypomniało mu wzrok cielaka prowadzonego pod nóż lub wzrok zająca czującego na plecach oddech pogoni.

Westmoore schwycił świecę i biegiem rzucił się przez pusty hol zamarłego w ciszy domu, pędząc po schodach prosto do sypialni siostry. Wtargnął tam i w bladym blasku drżącego płomienia dostrzegł twarz śpiącej Elizabeth.

Gdy tak na nią patrzył i widział, jak spokojnie śpi, wszystkie jego obawy wydały się przesadzone. Jako starszy brat i osoba za nią odpowiedzialna po prostu spanikował. Cóż mogło jej grozić? Jego siostra miała poślubić bogatego, przystojnego, wykształconego, światowego mężczyznę. Znał go i całkowicie mu ufał.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Ledwie rozległ się dźwięk zamykanych drzwi, Elizabeth natychmiast usiadła na łóżku. Wcale nie spała. Słyszając kroki Lucasa, po prostu udała sen. Nie miała ochoty na kolejną z nim rozmowę. Teraz jednak, gdy już wyszedł, poczuła żal, że nie zdąży naprawić relacji z bratem i nie powie mu o tym, co naprawdę czuje.

Do świtu zostało jeszcze parę godzin. Ostatnich godzin jej życia. Pomyślała, że jeśli ma odejść i zniknąć, to musi najpierw pożegnać się z Lucasem. Może nie twarzą w twarz, bo to zbyt trudne, ale chociaż poprzez list.

Sięgnęła po płonąca świecę, która stała w srebrnym lichterzu na małym stoliku obok łóżka. Elizabeth bała się ciemności, a płomień świecy był jej przyjacielem. Trzymając w dłoni uchwyt lichterza, wstała, podeszła do toaletki i wyjęła z szuflady ozdobny, czerpany papier oraz pióro. Usiadła przy stoliku. Myśli kłębiły się jej w głowie. Nie wiedziała, od czego zacząć. Tak dużo chciała napisać, ale słowa nie układały się w spójną całość. Zmarszczyła czoło, głowując się nad odpowiednim tekstem, i wreszcie zaczęła pisać.

Mój kochany bracie.

W chwili, gdy czytasz ten list, nie ma mnie już przy Tobie. Pewnie czujesz smutek i żal, gdyż nie zawsze zachowywałam się wobec Ciebie tak, jak należy, i nie zdążyłam powiedzieć Ci, ile dla mnie znaczysz... Chcę, żebyś wiedział, że byłeś i jesteś najwspanialszym bratem na świecie. Dbales o mnie, opiekowałeś się mną i wszystko, co robiłeś, czyniłeś z myślą o mnie.

Jestem Ci za to wdzięczna i będę wdzięczna w każdej sekundzie mojego dalszego życia. Aż do samego końca. Dziękuję Ci za Twoje poświęcenie i za ten czas, gdy byłeś moją jedyną rodziną.

Miałeś w sobie dużo siły, aby zajmować się tak nieznośną dziewczyną, jak ja. Teraz musisz zacząć żyć, myśląc wreszcie o sobie. Przed Tobą przyszłość, i to Ty sam jesteś jej twórcą. Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwy.

Pisz ten list nocą, gdy za oknem migocą gwiazdy... Jutro dzień mojego ślubu. Wyjadę daleko stąd i już wkrótce rozdzieli nas ogromna odległość, którą trudno pokonać. Jednak te gwiazdy będą nas łączyć. Jeśli kiedykolwiek poczujesz smutek, wyjdź nocą przed dom i spojrzysz w rozgwieżdżone niebo. Pomyśl o mnie. Moje myśli na skrzydłach wiatru zawsze będą zmierzać ku Tobie.

Kocham Cię, bracie, ponad życie.

Na zawsze Twoja.

Elizabeth

Skończyła pisać. Złożyła kartkę na dwoje i postanowiła zanieść list do gabinetu i schować do książki, którą ostatnio czytał Lucas. Miała nadzieję, że kiedy ponownie sięgnie po lekturę, znajdzie to pożegnanie. Elizabeth zależało, aby przeczytał je dopiero po wszystkim. Dopiero, gdy jej nie będzie...

W tym momencie do pokoju z impetem wpadł Duncan. Był wściekły i nawet nie kłopotał się pukaniem do drzwi. Podbiegł do Elizabeth i wyrwał jej kartkę z rąk.

– Nic z tego, moja droga – wysyczał.

Przyłożył list do płomienia świecy i z uśmiechem patrzył, jak ogień pochłania papier.

– Nie ma pan prawa – szepnęła, bojąc się krzykiem zaalarmować któregokolwiek z domowników. – Nie napisałam tam nic o panu.

– Wiem, ale postanowiłem, że nie pożegnasz się z Lucasem. – Z przerażeniem pomyślała, że uwielbiał ją dręczyć. – Zostawisz go, a on będzie tęsknił, wspominał i żałował, że nie był dobrym bratem. Nic nie uleczy jego bólu. Będzie cierpiał, nie wiedząc, co się z tobą dzieje.

– Obiecał pan, że nie wyrządzi mi krzywdy – przypomniała słabym głosem.

– Dotrzymam słowa, nie wspomniałem jednak, że nie będzie cierpią. Uwielbiam, gdy ludzie cierpią.

– Nienawidzę pana! – Spojrzała mu prosto w oczy. – W tych ostatnich godzinach mojego życia nienawidzę pana jeszcze bardziej. Kiedyś zapłaci pan za swoje czyny i żałuję tylko, że nie będę się mogła wtedy z tego cieszyć. Ale moje serce raduje się już teraz, na samą myśl o tym.

Twarz Duncana znowu nabrała zwierzęcego wyglądu. Zacharczał okropnie i bez namysłu dopadł do Elizabeth. Uderzył ją, powalając na ziemię. Pochylił się nad leżącą i jednym szarpnięciem rozdarł jej koszulę na piersiach. Uśmiechnął się lubieżnie, patrząc na odsłonięte nagie ciało. Poczł podniecenie, więc bez chwili wahania zadął dół koszuli dziewczyny i rozsunął jej nogi, kładąc się między nimi.

Elizabeth w przerażeniu spojrzała na uchylone drzwi, bojąc się, że lada chwila ktoś się w nich pojawi i zobaczy, co tu się dzieje. Nie zniosłaby takiego wstydu i hańby. Zaciśnęła wargi, powstrzymując rwące się na usta okrzyki bólu. Wiedziała, że nie ma szans w starciu z Duncanem, zależało więc jej tylko na tym, aby zaspokoili swoje żądze i wreszcie dał jej chwilę spokoju. Może ostatnią w jej życiu. Nie błagała go o litość, doskonale zdając sobie sprawę, że on nie zna tego pojęcia.

Księżę posiadł ją szybko, wręcz zachłannie zwierzęco, kilkoma szybkimi ruchami doprowadzając się do ekstazy. Jęczał przy tym oblesnie i pomrukiwał z zadowolenia, które odczuwał, karmiąc się jej przerażeniem. Wreszcie była taka, jak chciał. Zrezygnowała z walki, poddając się jego władzy. Upodlił ją do granic możliwości, a przecież miał w zanadru przygotowane jeszcze tyle dodatkowych atrakcji. Ale to dopiero jutro, po ślubie.

Wstał i zapinając spodnie, kopnął sponiewierane ciało dziewczyny. Z pogardą patrzył, jak skuliła się w pozycji embrionalnej, niczym bezbronne, porzucone dziecko.

– Do zobaczenia jutro. Będę na ciebie czekał przy ołtarzu. – Zaśmiał się, po czym opuścił jej sypialnię.

Jeszcze przez chwilę leżała bez ruchu na zimnej podłodze, nasłuchując jego oddalających się kroków. Rękoma naciągnęła poszarpaną koszulę, osłaniając nagie ciało. Nie miała sił na płacz. Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w migocący płomień świecy, szukając w nim pocieszenia. To ostatnia noc. Od jutra nie będzie niczego czuć. W tej chwili marzyła o tym, by przestać już istnieć.

Nad ranem zmęczenie przewyciężyło strach i Elizabeth zasnęła. Spała niespokojnie.

Tym razem jednak nie śnił się jej Duncan, tylko Roderick. We śnie stał na wzgórzu i z uśmiechem widocznym na twarzy pokazywał jej rozpościerające się u stóp zielone połacie ziemi.

Za moment miejsce Rodericka zajęła Caroline, ściskająca przy piersi małego Kyle'a. Caroline nie uśmiechała się, była poważna i bardzo skupiona. Wyciągnęła w stronę Elizabeth ręce, jakby chciała pokazać jej dziecko, i powiedziała:

– Elizabeth, nie trać wiary. Ufaj swojemu sercu.

Caroline zniknęła, a teraz całą przestrzeń wypełniła twarz Duncana, wykrzywiona grymasem wściekłości. W uszach dziewczyny zadźwięczał jego nieludzki śmiech.

– Ja dam ci to, czego on nie potrafił! Będziesz zabijać! Będziesz potworem! Bój się, wzbraniaj! Przede mną nie uciekniesz! Jestem twoim przeznaczeniem!

Już za moment była świadkiem wydarzeń w alkowie księżnej Alby, by za chwilę przenieść się do portowej dzielnicy i widzieć pulsujące serce, ściskane w zakrwawionej dłoni Duncana. Nim zdążyła krzyknąć z przerażenia, klęczała na leśnej dróżce i trzymając na kolanach głowę martwej Mary, wpatrywała się w jej pozbawione życia oczy.

Obudziła się zrana zimnym potem. Usiadła na łóżku, łapczywie chwytając powietrze.

Czuła się jak ryba wyciągnięta na brzeg rzeki. Serce biło jej jak szalone, a ten odgłos przypominał niedawny sen. Więc to już dziś! Już za parę godzin...

Spojrzała w okno. Słońce świeciło nad wyraz jasno. Ten dzień był zbyt piękny, aby żegnać się z życiem. Świat zdawał się rozkwitać, wybuchać pełnią radości, a ona prostą drogą zmierzała ku zagładzie. Gdyby dało się zatrzymać czas, gdyby ta chwila mogła trwać wiecznie, gdyby mógł zdarzyć się cud...

Cudu nie było i nie będzie. Wiedziała aż nazbyt dobrze, iż nikt i nic nie jest w stanie jej pomóc. Za chwilę w pokoju zjawią się służące. Będą się krzątać koło niej, zachwycać się wszystkim. Będą rozprawiać, jaka jest szczęśliwa, jaka wspaniała przyszłość ją czeka. Wspaniała przyszłość? Śmierć!

Otrząsnęła się na samą myśl o śmierci. Nie bała się jej, wiedziała, że czeka każdego, jedynie żałowała, że do niej przyjdzie tak szybko. Za szybko... To, co czekało ją po śmierci, było tysiąc razy gorsze. To tego chciałyby uniknąć. Cierpienie i to wszystko, co przeżyła do tej pory, było niczym w porównaniu z tym, co Duncan dla niej szykował. Jego plan był zaiste diabelski.

Musiała przyznać, że był mistrzem w dręczeniu innych. Do perfekcji opanował sztukę manipulowania ludźmi i czynienia z nich pionków w grze, w której sam rozdawał karty.

Elizabeth postanowiła, że mimo wszystko ostatnie chwile spędzi z uśmiechem na ustach.

Owszem, będzie ją to kosztować dużo wysiłku, ale postara się przeżyć te kilka godzin za wszystkie stracone lata. Będzie cieszyć się słońcem, będzie radować się z komplementów, będzie dumnie kroczyć w ślubnej sukni. Ten dzień będzie szczęśliwy na przekór Duncanowi. A później niech stanie się to, co ma być...

ROZDZIAŁ XI

Biel sukni ślubnej jeszcze bardziej podkreślała bladość cery Elizabeth. Cienie pod oczami, świadczące o nieprzespanej nocy, służące próbowały zamaskować za pomocą pudru, ale pomimo ich wysiłków i tak były widoczne.

Elizabeth z powagą przyglądała się sobie w lustrzanej tafli. Czy to naprawdę ona? Ta dziewczyna w ślubnej sukni, z welonem wpiętym we włosy? Ta dziewczyna, która wygląda, jakby miała udać się na szafot, nie zaś na własne zaślubiny...?

– Już czas. Jesteś gotowa? – Do pokoju Elizabeth zajrzał Lucas. Na chwilę zatrzymał się w progu, podziwiając siostrę, po czym podszedł do niej. – Nie wypada spóźnić się na własny ślub.

– Jestem gotowa – odpowiedziała, głęboko zaczerpując powietrze.

Przez chwilę miała wrażenie, że jej serce przestało bić. Powoli odwróciła się w stronę brata, a ten aż westchnął z zachwytem. Musiał przyznać, że jego siostra spowita w biel, z mgiełką welonu rozpostartego na włosach i wijącego się serpentynami u jej stóp, wyglądała wręcz przepięknie. Szkoda, że w tym wielkim dniu nie mogli zobaczyć jej znajomi z Londynu. Duncan nalegał na skromną, rodzinną uroczystość, dlatego też w dzisiejszym święcie udział miał wziąć tylko on i dwie służące pełniące rolę druhen. Nikt więcej. Może wieśniacy wyjdą na drogę pokłonić się młodej parze, ale wstęp do kaplicy był dla nich zamknięty.

– Nigdy nie widziałem równie ślicznej panny młodej – wyznał. – Tylko dlaczego się nie uśmiechasz? Przecież to najpiękniejszy dzień twojego życia.

Najpiękniejszy dzień życia... Nie mogła mu powiedzieć prawdy. Do końca miał pozostać nieświadomy. Nawet nie będzie im dane się pożegnać. Wspomniała wczorajszy list, który nigdy nie dotrze do odbiorcy.

Wbrew samej sobie spróbowała przywołać na twarz cień uśmiechu. Grymas, który wykrzywił jej usta, od biedy można było wziąć za przejaw radości, w każdym razie Lucas za taki go uznał.

– Teraz o wiele lepiej – orzekł. – No, to idziemy. – Podał siostrze dłoń i poprowadził ją przez otwarte drzwi do holu.

Elizabeth na krótką chwilę zatrzymała się w progu i, odwracając za siebie, spojrzała przez ramię na swój pokój. Chciała go zapamiętać, w końcu już nigdy więcej miała tu nie wrócić.

Spędziła tu wiele pięknych chwil z Roderickiem. I tych gorszych, takich jak ta noc...

Hol, który dawniej wydawał się jej taki długi, tym razem skończył się zdecydowanie zbyt szybko. Stanęli u szczytu schodów i Elizabeth spostrzegła zgromadzoną na parterze służbę.

Wszyscy na jej widok zaczęli bić brawo, zaś Celeste, przystrojona w swój odświętny, długi, biały fartuch, patrzyła na nią z podziwem i uśmiechała się porozumiewawczo, chcąc chociaż w ten sposób dodać pannie młodej trochę otuchy. Hrabianka, wsparta na ramieniu brata, ostrożnie stąpała po schodach, uważając na szeroką krynolinę sukni i ciągnący się z tyłu welon. Przy wtórze oklasków i okrzyków zachwyty służby, wyszła wraz z Lucasem przed dom.

Było tak ciepło, tak przyjemnie. Pełen rozkwit lata. Z lubością ogarnęła wzrokiem różane krzewy rosnące przed wejściem. Na podjeździe stał biały, odkryty powóz, udekorowany kwiatami. Podeszła do niego, a Joseph, odziany w galową liberię, pomógł jej wsiąść. Lucas zajął

miejsce obok. Powóz ruszył w stronę bramy wjazdowej.

Dwór został za nimi. Jechali pomiędzy dorodnymi, wysokimi łanami pszenicy, w dali majaczyły dachy wiejskich chat. Na rozstaju skręcili w lewo i już po chwili oczom Elizabeth ukazał się kościółek. Tak pięknie wyglądał wśród zieleni drzew i złota pszenicznych kłosów...

Wydawał się najbezpieczniejszym miejscem na Ziemi. Dookoła panowała cisza i słychać było tylko śpiew ptaków.

Powóz zatrzymał się przed drzwiami kaplicy. Lucas wysiadł i pomógł wydostać się siostrze. Dwie służące, czekające przed wejściem, rzuciły się do niej, aby poprawić jej suknię i rozpostrzeć za nią welon. Lucas podał jej ramię i przy dźwiękach organów, które zaczęły grać, gdy tylko przekroczyli próg kościoła, ruszyli do ołtarza.

Kaplica była prawie pusta, jeśli nie liczyć dwóch służących, które pomagały Elizabeth przy wejściu.

„To nawet lepiej” – pomyślała panna Westmoore. Nie chciała, aby ludzie świętowali coś, co dla niej było kresem. Kątem oka zauważyła postać spowitą w długi płaszcz z kapturem głęboko nasuniętym na twarz, stojącą w kącie przy chrzcielnicy. Caroline dotrzymała słowa, przysłała towarzyszyć jej w ostatniej drodze.

Na podłodze kaplicy promienie słońca, wpadające przez witrażowe okna, tworzyły precudną mozaikę kolorów. Elizabeth stąpała po niej niczym po baśniowym kobiercu. To było naprawdę niezwykle doznanie, jednak kiedy spojrzała przed siebie, czar prysł.

Przy ołtarzu czekał na nią Duncan. Jak zwykle wytworny, jak zwykle nieziemsko przystojny, jak zwykle odrażający. On także patrzył na nią. Przez chwilę wydało się jej, że dostrzegła w jego oczach podziw, było to jednak bardzo ulotne wrażenie. Twarz Duncana nie wyrażała żadnych uczuć. Stał wyprostowany, poważny, jakby szykujący się do zadania ostatecznego ciosu.

Lucas podprowadził ją do ołtarza. Ucałował jej dłoń i podał ją Duncanowi.

– Oddaję ci to, co mam najcenniejszego, moją siostrę. Dbaj o nią tak, jak ja.

– Zapewniam cię, że ze mną czeka ją bardzo długie życie.

Dopiero teraz Duncan się uśmiechnął, ale nie był to szczerzy uśmiech, tylko pełen ironii grymas, który wykrzywił mu usta. Na szczęście Lucas tego nie dostrzegł. Odszedł od ołtarza i usiadł w pierwszej ławce.

Duncan wpatrywał się uważnie w Elizabeth, czekając na jej łzy. Chciał czuć tę władzę, którą właśnie nad nią zyskiwał. Chciał, by szlochała, by próbowała się ratować, by błagała o litość. Jednak Elizabeth miała tego świadomość i obiecała sobie, że nie pokaże po sobie żalu za tym, co właśnie miała utracić. Zagryzła wargi, próbując przywołać na usta chociażby cień uśmiechu. Zapewne to się jej udało, gdyż spokój Duncana został zburzony, a na jego twarzy pojawił się grymas irytacji.

Elizabeth nie słyszała, co mówi do niej pastor. Machinalnie powtarzała słowa przysięgi.

Tylko raz zadrżał jej głos, gdy musiała potwierdzić, że faktycznie, z własnej, nieprzymuszonej woli wstępuje w związek małżeński z księciem Barclayem Duncanem.

– Tak – wyszeptwała, czując, jak otwierają się przed nią bramy piekieł.

– Czy jest w tym kościele ktoś, komu znane są powody, dla których tych dwoje nie mogłoby się połączyć węzłem małżeńskim? Niech odezwie się teraz lub zamilknie na wieki – wygłosił pastor.

Na wieki... Elizabeth wiedziała, że cudu nie będzie. Nie zagrzmia pioruny, nie rozstąpi się ziemia, ogień piekielny nie pochłonie Duncana. Pochyliła głowę, czekając na przypiecztowanie swojego losu.

– Wobec Boga i zgromadzonych tu świadków uznaję was mężem i żoną.

I wtedy zagrzmiało. Wtedy poruszyła się ziemia. Wtedy drzwi kościoła otworzyły się z wielką siłą, a do wnętrza wpadły tumany przydrożnego kurzu. Słońce zaszło i nagle świat spowiły ciemne chmury. Wiatr porwał długi welon Elizabeth i zaplątał go wokół stojącego przy

ołtarzu krzyża. Pastor wypuścił z rąk księgę.

Nie wiadomo skąd, nagle pośrodku kościoła pojawiła się postać w czerni. Przybyły odrzucił długą pelerynę, która okrywała go całego, i zebrany ukazała się twarz Rodericka.

Czarne włosy, splątane w nieładzie, okalały jego poszarzałą twarz. Ubranie miał przykurzone, jakby po długiej i wyczerpującej podróży.

Elizabeth jęknęła i osunęła się na stopnie ołtarza. Duncan gniewnie zaryczał, a był to odgłos nieludzki, taki, od którego włosy jeżą się na głowie. Skoczył i jednym susem znalazł się przy Rodericku.

Na szczęście Robillard był równie szybki. Niczym błyskawica wykonał salto w powietrzu, lądując za plecami Duncana. Chwyił go za ramiona i pchnął na pierwszy rząd pustych ław, stojących po lewej stronie przejścia, a siła, jaką w to włożył, była tak duża, że księżę niczym pocisk armatni połamał wszystkie siedzenia i zatrzymał się dopiero na ścianie.

Na murze świątyni pojawiła się siateczka pęknięć, świadcząca o ogromnej mocy uderzenia, jednak na Duncanie nie wywarło to żadnego wrażenia. Wyprostował się, jakby nic się nie stało, i otrzepał z pyłu, a wydając z siebie kolejny potępieńczy wrzask, rzucił się w stronę ołtarza. Momentalnie znalazł się przy przerażonym i nie mniej zaskoczonym pastorem. Chwyił

duchownego za szyję. Jednym ruchem ręki urwał mu głowę, która poruszając ustami w ostatnim pośmiertnym paroksyzmie, potoczyła się po stopniach, wprost pod nogi stojącego nieopodal Lucasa. Krew trysnęła, ochlapując białą suknię Elizabeth. Służące na ten widok z krzykiem uciekły z kaplicy.

Duncan przywarł wargami do rany i zaciągnął się kilkoma łykami krwi. Jego blada twarz, ponaznaczana krwawymi smugami, wyglądała upiornie. Czerwone krople skapywały z brody na odświętne, jasne ubranie. Nie pił dużo, gdyż nie miał na to czasu. Z niechęcią odrzucił ciało pastora, aby ponownie skoncentrować się na walce. Roderick właśnie zaszedł go od tyłu, ale księżę był szybszy. Uchylił się przed ciosem, a odwróciwszy się, powalił napastnika na ziemię i przycisnął ciężarem własnego ciała.

Kotłowali się po podłodze, niszcząc wszystkie sprzęty, które stanęły im na drodze. W pewnej chwili Roderick znalazł się tuż obok krzyża, o który zaplątał się welon Elizabeth.

Odskoczył od swojego przeciwnika i błyskawicznie ułamał jedno z drewnianych ramion. Duncan poderwał się z ziemi i wykorzystując chwilową nieuwagę Robillarda, wydobył z kieszeni surduta mały, srebrny sztylet. Dopadł do Robillarda, zadając mu cios w prawą pierś.

Roderick zawył z bólu. Drewniane ramię krzyża upadło przy jego stopach. Gwałtownym ruchem wytrącił sztylet z rąk napastnika. Zakrwawione ostrze stoczyło się po stopniach ołtarza aż na posadzkę. Robillard zachwiał się i opadł na kolana. Rana zadana srebrem zawsze była taka bolesna. Tylko srebro miało moc zranić wampira.

Lucas z przerażeniem obserwował całą akcję. Widział Elizabeth, skuloną na stopniach ołtarza, widział Duncana pijącego krew pastora, widział dwóch mężczyzn walczących ze sobą jak jakieś zwierzęta. Chciał dobiec do walczących, rozdzielić ich, jednak nie mógł zrobić ani jednego kroku. Był jak sparaliżowany. To Caroline, stojąca do tej pory w kącie kaplicy, podeszła do niego i spojrzawszy mu prosto w oczy swoim hipnotyzującym wzrokiem, przykuła go do miejsca. Nie rozumiał, co się dzieje, ale powoli docierało do niego, że Elizabeth była w centrum tych wydarzeń.

– Nie uda ci się – wycharczał Duncan, pochylając się nad osłabionym Roderickiem. – Nie masz tyle siły. Ona została moją żoną i jeszcze dziś będzie taka jak ja! – Kopniakiem przewrócił

rannego mężczyznę na ziemię, a złapawszy leżący na posadzce odłamek krzyża, zamachnął się, aby wbić go Roderickowi prosto w serce. – Miałem ją! Słyszysz? Miałem ją! Posiadłem ją kilka razy! Nawet tej nocy!

Robillard nie dawał rady dłużej się bronić. Ciemna mgła przesłaniała mu oczy. Ból fizyczny był niczym w porównaniu z tym bólem, który wywołały słowa księcia.

– Rodericku – krzyk Elizabeth doleciał do niego w ostatniej chwili.

Odszukał ją wzrokiem i w ułamku sekundy poznał wszystkie myśli dziewczyny, wszystkie jej przeżycia. Zebrał w sobie resztki sił, odrzucił ręce w bok i wygiął się, próbując zrobić unik. Nie dał rady. Spóźnił się o ułamki sekund. Księżę Duncan z rozmachem wbił

drewniane ostrze w lewą pierś swojego przeciwnika. Po chwili ciało Rodericka zwiotczało, stało się bezwładne i pozbawione jakichkolwiek oznak życia.

Barclay zaśmiał się niczym opętaniec, po czym pewien, iż zabił Robillarda, wyprostował się i odwrócił w stronę skulonej przed ołtarzem Elizabeth.

– I nikt już cię nie obroni. Jesteś moja! Oto twoja przyszłość! – Postąpił kilka kroków w kierunku dziewczyny.

– Nie! – Krzyk Rodericka zastopował Duncana w miejscu. Nie zdążył jednak zareagować, gdyż, zdawałoby się martwy, Robillard poderwał się na równe nogi i w mgnieniu oka przypadł do odwróconego tyłem księcia. Z impetem przyłgnął do niego całym sobą, obejmując ramionami niczym żelazną obręczą. Drewniane ostrze, które sterczało mu z rany, z całym impetem wbiło się w plecy księcia, docierając aż do serca.

Twarz Duncana wyrażała ogromne zdziwienie. Na bladej skórze pojawiła się siateczka drobnych, ale bardzo licznych czarnych pęknięć. Stało się to, czego się nie spodziewał. Zastygł w bezruchu, czując, jak uchodzi z niego cała energia.

– Zrobiłeś to – wycharczał z trudem. – Dopiąłeś swego. Czujesz się zwycięzcą? Cała moja rodzina, wszyscy bliscy... Zabiłeś ich. Kiedyś za to zapłacisz.

– Ty zapłaciłeś właśnie dziś! – Roderick wypuścił go z uścisku i szarpnąwszy się do tyłu, wyrwał ze swej rany drewno, łączące go z przeciwnikiem. Księżę upadł na posadzkę jakby był

zwykłą, szmacianą kukłą.

Elizabeth zauważyła, że ciało Duncana pomarszczyło się i poszarzało niczym pergamin.

Jeszcze przez chwilę wstrząsały nim gwałtowne dreszcze, ale wkrótce znieruchomiało.

Wyciągnięte dłonie w błyskawicznym tempie pokryły się siateczką głębokich zmarszczek, zaś wypielęgnowane paznokcie zgrubiły, przemieniając się w szpony.

Roderick chwiejnym krokiem podszedł do przykrytego białym obrusem ołtarza, sięgnął

po stojący na nim kielich z winem mszalnym i oblał trupa zawartością czarki. Następnie sięgnął

po długą, zapaloną świecę, a wzięwszy ją do ręki, pochylił się i podpalił poły surduta księcia.

Ogień buchnął do góry, obejmując w posiadanie marne resztki demonicznej istoty.

Zrobiwszy, co do niego należało, Roderick odwrócił się w stronę Elizabeth i zbliżył się do nadal skulonej na stopniach ołtarza dziewczyny. Przykucnął przy niej.

– Już wszystko dobrze – wyszeptał, pomagając jej pozbyć się welonu. Odgarnął dziewczynie włosy z twarzy i wytarł opuszkami palców krew pastora, która splamiła jej policzki.

– Już cię nie skrzywdzi. Już nigdy nikt cię nie skrzywdzi. Przepraszam za wszystko. Tyle przeszłaś... To moja wina. Jakże chciałbym cofnąć czas... Czy kiedykolwiek zdołasz mi wybaczyć?

Skinęła głową, gdyż nie była w stanie sformułować żadnego zdania. Gardło miała ściśnięte ze strachu.

– Kocham cię! – Roderick przytulił Elizabeth, a ona pozwoliła, aby scałowywał jej łzy.

Te wszystkie miesiące, które przeżyła bez niego, wydały się jej tylko złym snem.

Caroline podeszła do nich. Nadal utrzymywała władzę nad Lucasem i chociaż hrabia wszystko widział, nie potrafił się poruszyć. Mógł być tylko bezwolnym obserwatorem. To, co miało miejsce przed chwilą, było dla niego niepojęte i tak dalekie od wszystkiego, co znał. Nie

znajdował na to żadnego racjonalnego wytłumaczenia. On, były żołnierz, człowiek odważny i opanowany, poznał właśnie coś, co budziło w nim przerażenie i odrazę. Tych dwóch walczących mężczyzn, nie było ludźmi – to wiedział na pewno. Ich szybkość, siła i okrucieństwo były niewyobrażalne. W uszach Lucasa ciągle dźwięczał skowyt Duncana – był to skowyt zwierzęcia, bestii nie z tego świata. Westmoore wreszcie zrozumiał – ci mężczyźni nie byli ludźmi. Byli bestiami, potworami z najgłębszej czeluści piekieł. A teraz jeden z tych potworów, ten, który wyciągnął z siebie drewniane ramię krzyża, klęczał przy Elizabeth i całował jej twarz. A Elizabeth, zamiast się bronić, wyglądała na naprawdę szczęśliwą! Czyżby знаła prawdę od samego początku?

Wszystko w Lucasie zagotowało się ze złości. Pragnął podbiec do siostry, odciągnąć ją od tego potwora, a jego samego zabić, spalić w piekielnym ogniu. Nie mógł jednak się poruszyć.

Spróbował napiąć mięśnie, jakby zamierzał rozerwać niewidzialne pęta. Żyły na twarzy mu nabrzmiały, białka oczu nabiegły krwią, ale ręce nie zareagowały na wydane przez umysł polecenia, nogi zdawały się nie należeć do niego. Miał wrażenie, że został uwięziony wewnątrz zimnego głazu. Jakby był niewolnikiem swojego ciała, które zupełnie przestało go słuchać.

– Wróciłeś... – Elizabeth nie mogła napatrzeć się na twarz ukochanego. – Znowu mnie uratowałaś...

– Tak bardzo się bałem, że nie zdążę... – wyszeptał, tuląc ją do siebie. – Nie przeżyłbym, gdyby coś ci się stało. Odszedłem, aby przygotować nam nowe życie. Łudziłem się, że gdy nie będzie mnie przy tobie, gdy zabiorę ci wspomnienia, Duncan straci zainteresowanie twoją osobą.

Byłem w błędzie. Wybacz mi, że naraziłem cię na te wszystkie okropności. Każda twoja łza pali moją duszę. Żłobi w niej blizny nie do zagojenia. Mogłem cię stracić i sam byłbym temu winien.

Jakim byłem głupcem... Widzę wszystko, co ten potwór ci zrobił... Wszystko, przez co musiałaś przejść. Nie jestem ciebie godzien, nie po tym, jak cię zostawiłem.

– Nie mów tak, Rodericku. Teraz jesteśmy razem i to jest najważniejsze.

Delikatnie dotknęła jego policzka, a on wtulił twarz w jej dłoń. Spostrzegł przy tym na palcu ogromny pierścień Duncana. Zsunął go i odrzucił do tyłu. Elizabeth zdziwiła się, gdyż sama wielokrotnie próbowała pozbyć się klejnotu, ale ten wydawał się zrosnięty z jej ciałem. Być może z chwilą śmierci Duncana pierścień stracił swą moc.

– Musicie iść. – Caroline zdecydowanym ruchem podciągnęła Rodericka, tak iż ten stanął na nogi. – Wkrótce będą tu chłopci. Służące poleciały do wsi i wszystko im opowiedziały. Oni już wiedzą, co tu się stało. Zbroją się i zaraz tu wyruszają. – Spojrzała uważniej na mężczyznę i zmarszczyła gniewnie czoło. – Jak mogłeś, Rodericku?

– To była długa droga – odpowiedział szeptem, ale Elizabeth i tak usłyszała. – Na statku nie było możliwości. Wyłapałem chyba wszystkie szczury, co samo w sobie jest już obrzydliwe, a tu jechałem konno bez żadnych zbędnych postojów. Nie miałem kiedy...

– Ale ty potrzebujesz krwi!

– Wiem, to moje przekleństwo, ale naprawdę nie miałem kiedy zapolować. Myślałem o Elizabeth... Tylko ona się liczyła.

– Jesteś ranny – zauważyła Caroline. – Osłabiłeś się walką. Musisz napić się krwi, i to ludzkiej krwi! Świeżej, nie zmarłego. – Popatrzyła na ciało pastora. – To musi być krew życia, nie śmierci.

– Nie! – W oczach Rodericka pojawiły się groźne błyski.

– Bez tego nie dasz rady – syknęła ostrzegawczo. – Musicie uciekać, a ty nie masz w sobie dość siły. Zostałeś zraniony srebrnym ostrzem, drewniany kołek drasnął twoje serce. Nie próbuj udawać, że wszystko jest w porządku, bo nie jest. Potrzebujesz krwi, aby się zregenerować.

Elizabeth również podniosła się ze stopni ołtarza. Patrzyła na ukochanego, na jego poszarzałą, umęczoną twarz, na jego smutne oczy.

– Rodericku... – Postąpiła krok w jego stronę, podejmując decyzję.

– Nie! – Odsunął się gwałtownie. Odczytał jej myśli i napełniły go one przerażeniem.

Caroline również poznała zamiary Elizabeth. Była szczerze zaskoczona tym, co zobaczyła.

Elizabeth sięgnęła po leżący u jej stóp srebrny sztylet Duncana i szybkim ruchem nacięła sobie przegub lewej ręki. Roderick nie zdążył powstrzymać ukochanej. Z przeciętej żyły zaczęła obficie płynąć krew.

– Rodericku! – Elizabeth wyciągnęła do niego rękę. – Proszę...

– Ja nie... – Walczył ze swoim pragnieniem.

– To twoja jedyna szansa, abyś mógł ją ocalić i stąd zabrać – przerwała mu Caroline. –

Chłopi zaraz tu będą, a ty nie dasz rady z nimi walczyć.

Jeszcze przez chwilę się wahał, ale krew Elizabeth tak pięknie pachniała, a on był tak bardzo głodny... Przypadł do niej i przywarł ustami do miejsca, z którego wydobywała się życiodajna ciecz.

Pił spokojnie, starając się zachować umiar, i napić się tylko tyle, aby mieć siły do dalszej ucieczki. Gdy tylko poczuł, że odzyskał wystarczająco dużo energii, natychmiast oderwał wargi od przegubu Elizabeth.

Caroline tylko na to czekała. Wyjęła z kieszeni płaszcz niewielki, lniany woreczek i rozsypawszy go, posypała ranę szarym proszkiem. Urwała kawałek materiału z dołu sukni Elizabeth, by wprawnie ją opatrzyć.

– A teraz w drogę. – Wyprostowała się i popatrzyła na Rodericka. – Musicie stąd iść.

Natychmiast! – ponagliła. – Wsiadajcie na konia i jedźcie jak najdalej od tego miejsca. Wiem, że przygotowałeś powóz, który czeka na rozstaju dróg, a ja pozwoliłam sobie umieścić w nim pewną kobietę. Zabierzcie ją ze sobą. Bardzo wam się przyda. No już, szybko! Nie ma was tu! –

ponagliła.

Robillard podszedł do miejsca, gdzie uprzednio cisnął swój płaszcz, i podniósł go z ziemi.

Wrócił do Elizabeth i narzucił jej okrycie na ramiona, aby zasłonić poplamioną krwią suknię.

– Lucas... – Elizabeth z rozpaczą spojrzała na brata. – Nie mogę go tak zostawić...

– Ja się nim zajmę – zapewniła Caroline. – Uciekajcie, bo naprawdę są blisko.

– Ale Lucas...

– Wybacz, Elizabeth, ale nie ma na to czasu.

Robillard schwycił hrabiankę w pól, wziął ją na ręce i ruszył do wyjścia. Jeszcze przez chwilę widziała zastygłą w rozpaczy twarz Lucasa, ale nie zdążyła się z nim pożegnać. Roderick wsadził ją na konia i sam zwinnie wskoczył na jego grzbiet.

– Powodzenia! – Z kaplicy wyszła Caroline i stojąc w progu, pomachała im na pożegnanie.

Roderick szarpnął wodze i wraz z Elizabeth ruszyli ku nowemu życiu.

Caroline przestała wreszcie trzymać Lucasa w niewoli swego wzroku. Poczuł, jak jego ciało odzyskuje władzę. Krzyknął rozpaczliwie i wybiegł z kaplicy za Elizabeth. Było już jednak za późno. Bestia, która porwała jego siostrę, zniknęła w tumanie kurzu.

Westmoore stanął bezradnie i patrząc za nimi, przeklinał swoją bezsilność. Stałby tak dłużej, ale podeszła do niego Caroline i popchnęła w kierunku powozu. Sprawnie, a przede wszystkim błyskawicznie, wyswobodziła dwa konie z uprzęży i wskoczyła na grzbiet jednego z nich.

– Wsiadaj! – krzyknęła, wskazując na drugiego wierzchowca, a w jej głosie pojawiła się władcza nuta.

Lucas dosiadł konia i z wysokości jego grzbietu spojrzał na swoją towarzyszkę. Jej twarz widział pierwszy raz w życiu, ale domyślał się, kto to może być. Bez wątpienia należała do tego okrutnego świata, który przed chwilą poznał. Była jedynym ogniwem łączącym go z siostrą. Nie mógł się jej sprzeciwić, nie mógł pozwolić, aby zostawiła go teraz samego. Nie wiedział, że Caroline wcale nie miała zamiaru się z nim rozstawać. Wskazała ręką kierunek ucieczki i ruszyła, wiedząc, że on pojedzie za nią.

Gnali pędem przed siebie, jak najdalej od tego miejsca, jak najdalej od wieśniaków, którzy potrząsając groźnie trzymanymi w rękach widłami i łopatami, dobiegli właśnie do drzwi kościoła.

Elizabeth, jadąc na koniu, czując na swoich ramiona uścisk Rodericka, była najszczęśliwszą kobietą na Ziemi. Było jej tylko przykro, że nie dano jej szansy pożegnać się z bratem. Żałowała, że nie mogła ostatni raz zobaczyć małego Kyle'a. Caroline obiecała znaleźć mu nową rodzinę, mówiła, że zna ludzi, którzy będą cudownymi rodzicami. Oby tylko Kyle był szczęśliwy. Szkoda, że zapomniała przekazać mu swoje klejnoty, odziedziczone po matce. No ale cóż, nie miała już jak naprawić tego niedopatrzenia. Musieli uciekać jak najdalej stąd. Roderick wspominał coś o dalekiej podróży, która ich czekała, o nowym życiu w nowym świecie.

W miejscu, o którym mówiła Caroline, czekał na nich zamknięty powóz, przed którym stała około dwudziestoletnia, pulchna wieśniaczka, okutana wzorzystą chustą. Kobieta wyraźnie wypatrywała ich przybycia, bowiem widząc, jak nadjeżdżają, wyszła im naprzeciw. Roderick w lot odczytał jej myśli i wyraz niewyobrażalnego zdziwienia odmalował się na jego twarzy.

Zatrzymał konia tuż obok powozu. Zeskoczył na ziemię, po czym pomógł zsiąść Elizabeth. Z niedowierzaniem zajrzał do wnętrza powozu.

– Caroline – wyszeptał. – A to sobie wymyśliła...

– Tak myślałam, że to właśnie na państwa czekam. – Wieśniaczka pokłoniła się przed nimi, ze zdziwieniem zerkając na rozdartą koszulę Rodericka. – Zielarka mówiła, że wkrótce państwo przyjadą i że zabiorą mnie ze sobą. Mały już jadł, a teraz grzecznie śpi...

Mały już jadł, a teraz grzecznie śpi? Serce Elizabeth zamarło. Podbiegła do drzwiczek powozu, odsunęła Rodericka i zajrzała do środka. Westchnęła z ulgą. Na kanapie, w wiklinowym koszyczku spał uśmiechnięty Kyle.

– Dzieciątko jest śliczne i takie grzeczne – paplała wieśniaczka. – Ślicznego mają państwo synka.

Synka? Tak to umyśliła sobie Caroline? Taką przyszłość zobaczyła? Tą rodziną, o której mówiła, mieli być oni?

– Nasz synek? – Elizabeth niepewnie spojrzała na Rodericka, obawiając się, jak zareaguje na tę wiadomość. Widać było, że jest to dla niego ogromnym zaskoczeniem.

Robillard wiedział bardzo dobrze, co przeszedł ten malec, i rozumiał uczucia Elizabeth.

Ona czuła związek z tym dzieckiem i naprawdę chciała zostać matką. Będąc razem, nie mogli marzyć o potomstwie, takie rzeczy się nie zdarzają. To była ich jedyna szansa na poznanie uroków rodzicielstwa.

– Ty zostałeś wybrana na mamkę dziecka? – Roderick zwrócił się do wieśniaczki.

– Tak. Zielarka wybrała mnie, abym zajęła się dzieckiem i wykarmiła je... Mówiła, że matka – spojrzała ze smutkiem na Elizabeth – ostatnio dużo chorowała i nie może karmić synka.

Moje dzieciątko urodziło się martwe i mam mnóstwo pokarmu. Zielarka obiecała, iż zabiorą

mnie państwo ze sobą jak najdalej od tego miejsca. Mam stąd tyle złych wspomnień...

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Lucy Mardox – przedstawiła się.

– Witaj, Lucy, w naszej rodzinie. Wsiadaj do powozu, przed nami długa podróż.

Caroline zatrzymała konia dopiero gdy uznała, że są już w miarę bezpieczni. Zeskoczyła na ziemię, aby pozwolić wierzchowcowi na chwilę odpoczynku. Usiadła pod rozłożystym drzewem. Dookoła były tylko łąki i jakieś torfowiska. Ujechali naprawdę ładny kawałek drogi.

Lucas również zsiadł. Podszedł do swojej towarzyszki i stanął na wprost niej, czekając na jakiegokolwiek wyjaśnienia. Uniosła głowę i popatrzyła na niego uważnie.

– Elizabeth jest bezpieczna – zapewniła. – Jest z Roderickiem...

– Wiem – przerwał jej. – I to mnie najbardziej przeraża. Ona jest z tą bestią...

– Ty też jesteś z bestią – zauważyła z sarkazmem. – Jestem taka sama jak Roderick.

Spodziewał się, że to usłyszy. Już wsiadając na konia, miał tego świadomość. Ta piękna, młoda dziewczyna, była takim samym potworem, jak ci mężczyźni walczący w kościele. Nie należała do świata, który znał. I piła krew.

– Nie, nie, nie – zachnęła się, widząc jego myśli. – Ja nie piję krwi. Nie jestem, jak to się mówi, pełnym wampirem. – Roześmiała się na takie porównanie. – Nie dokończyłam cyklu i nie mam ochoty kiedykolwiek tego uczynić. Mnie wystarczą ziółka. – Wyjęła z fałdów obszernego płaszcza mały flakonik i przytknąwszy go do ust, wypła jednym haustem całą zawartość.

Zauważyła, iż Lucasem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia.

– Moja siostra jest z Roderickiem. – Ta myśl była dla niego nie do zniesienia. – Dała mu swoją krew... Ona wiedziała o wszystkim... Ona go kocha.

– Tak. – Skinęła głową, odrzucając niepotrzebny już flakonik. – Ona wiedziała o wszystkim i bardzo kocha Rodericka. Duncan był potworem, który chciał ją zniszczyć, a ty tego nie zauważyłaś. Przy Rodericku jest bezpieczna, a co ważniejsze szczęśliwa. A to, że dała mu swoją krew... Oddała ją dobrowolnie. Wiesz, co to oznacza według wampirzego prawa?

Owszem, jest to zjawisko niezwykle rzadkie, sama jeszcze o takim przypadku nie słyszałam, ale... Jeśli ktoś taki jak ja, albo Roderick, spotka na tym świecie osobę, człowieka, którego pokocha prawdziwą miłością i będzie to miłość odwzajemniona... – Na jej twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia. – I jeśli w sytuacji, gdy nasze istnienie będzie zagrożone, ta osoba da nam swoją krew... To wręcz mistyczne doznanie. Akt największego poświęcenia i świadectwo miłości, której nic nie jest w stanie przerwać. Dziś Elizabeth i Roderick stali się jednością. Są teraz, tak jak u was, u ludzi... małżeństwem... A nawet więcej. Ich dusze są połączone ze sobą na wieczność.

– Ona też stała się potworem? – Z wrażenia cofnął się o krok. – Chcesz powiedzieć, że moja siostra stała się taka jak... jak wy? – poprawił się.

– Nie. – Bawiła ją jego niewiedza. – Elizabeth nadal jest człowiekiem, ale w świetle naszego prawa stała się żoną Rodericka. Są połączeni na wieki.

Stracił ją. Stracił swoją siostrę, tak samo, jak wcześniej stracił rodziców. Nie potrafił zapewnić jej bezpieczeństwa. Sam naraził ją na ten los. Biedna Elizabeth znajdowała się teraz w ramionach istoty, która nie była człowiekiem. Istoty, która nie należała do tego świata. I to wszystko jego wina. Niepotrzebnie zabrał siostrę na tę przeklętą wieś. Niepotrzebnie zgodził się na małżeństwo z Duncanem.

Duncan... Tego też się nie spodziewał. Ufał Duncanowi, traktował go jak brata, a on...

Lecz to już nieważne. Duncana nie ma. Jest jednak nadal Elizabeth i Roderick. Musi ich odnaleźć. Musi spojrzeć siostrze prosto w oczy i zapytać dlaczego. Bez tego jego życie nie ma sensu. Jeśli ona sama nie powie mu, co czuje, jeśli nie przekona go, że naprawdę chce takiego życia... Nie mógł uwierzyć, że dobrowolnie zgodziła się przekroczyć granicę cienia. Elizabeth musiała być pod wpływem czarów Rodericka, takich samych, jakie Caroline zastosowała na nim.

– Ona naprawdę jest szczęśliwa. – Caroline zdawała sobie sprawę, że żadne jej zapewnienia nie stłumią obaw Lucasa.

– Dopóki żyję, nie ustane w poszukiwaniu mojej siostry. Gdziekolwiek się skryją, odnajdę ich. Nie zostawię jej, dopóki sama nie powie mi, że mam odejść. Rozumiesz? Ja chcę to usłyszeć od niej! Tylko od niej!

– Może nie starczy ci na to życia. – Podniosła się z ziemi i otrzepała pelerynę. – Jedź do Londynu, sprzedaj wszystkie dobra i uciekaj z kraju, wkrótce zaczną za tobą pościgi. Są pewni, że jesteś jednym z nas.

– Jednym z was? – Dopiero teraz to do niego dotarło. Gdyby był taki jak Roderick, jak Caroline... Czas nie miałby dla niego znaczenia. Mógłby szukać Elizabeth po całym świecie, przez całe wieki.

– Zapomnij! – Aż zatrzymała się w pół kroku, gdy poznała jego myśli. – Nie jesteś jednym z nas. Jesteś człowiekiem i masz swoje życie.

– Nie chcę swojego życia! – krzyknął. – Zabraliście mi siostrę, to chociaż dajcie coś w zamian! Chcę być taki jak wy! Mówiłaś, że ty nie musisz pić krwi. Ja też mógłbym tak?

Nauczyłabyś mnie wszystkiego. Zostałem sam na tym świecie i nie widzę dla siebie celu. Zmień mnie w to coś, czym jesteś, i pozwól na wieczne życie. Potrzebuję tego!

– Nie. – Pokręciła głową. – Jesteś sam, ale jesteś człowiekiem. My nie mamy takiej szansy. Ty się odrodzisz, my nie.

– Nie chcę się odradzać! – Złapał ją za rękę, ale Caroline się wyszarpnęła. – Zabraliście mi siostrę, dajcie chociaż wieczność.

Elizabeth tuliła do siebie malutkie ciało. Przepęłniała ją niewysłowiona radość. Jeszcze rano myślała, że to będzie ostatni dzień jej ludzkiego życia, że straci wszystko, co kochała.

Zyskała jednak więcej, niż mogłaby marzyć. Miała u boku wspaniałego, ukochanego mężczyznę, trzymała w ramionach dzieciątko, które od tej pory miało być jej synkiem. Caroline sprawiła jej najcudowniejszą niespodziankę.

– Śliczne maleństwo. – Piastunka z aprobatą przyglądała się tej tkliwej scenie. –

Wyrośnie z niego chłopak na schwał. Oj, już widać, jaki podobny jest do tatusia.

Roderick drgnął. Do tatusia? On nie podzielał entuzjazmu Elizabeth i z obawą patrzył na dziecko. Nie czuł się jego ojcem. Ten maluch był mu zupełnie obcy, nie potrafił jednak odmówić Elizabeth tego, czego tak bardzo pragnęła. Chętnie złożyłby u jej stóp cały świat. Ona jednak nie chciała całego świata. Chciała tylko tego malutkiego, dziwnie pachnącego dzieciaczka. Roderick pomyślał, nie bez ironii, że sam niedawno polował na ludzi, a teraz jedzie z nimi powozem, wiąże się z kobietą i chce z nią wychowywać dziecko.

Polowanie. Teraz przypomniał sobie o najważniejszym. Musiał się napić, i to natychmiast. Krwią, którą dała mu Elizabeth, zaspokoił pierwszy głód, musiał jednak szybko znaleźć jakąś ofiarę. Wyjrzał przez okno powozu i rozejrzał się po okolicy. Widząc, że jadą przez las, poprosił stangreta, aby się zatrzymał. Wyskoczył z powozu, jeszcze zanim koła na dobre przestały się toczyć.

– Rodericku? – Elizabeth wychyliła się za nim. – Co się stało?

– Nic. – Popatrzył na nią. – Chciałbym się przejść po lesie. Pójdę rozprostować nogi. –

Nie musiał nic więcej tłumaczyć. Zrozumiała, o co mu chodzi. Cofnęła się do wnętrza i szczerzej osłoniła peleryną. Nie chciała, aby opiekunka zobaczyła jej ślubną suknię uwalaną krwią. A swoją drogą ciekawiło ją, jak zareagowałyby ta poczciwa wieśniaczka, gdyby się

dowiedziała, z kim podróżuje przez ciemny las. Gdyby domyśliła się, po co Roderick wysiadł...

Elizabeth nie chciała o tym myśleć. Widziała Duncana w akcji i nie miała ochoty oglądać Rodericka w podobnej sytuacji. Owszem, zdawała sobie sprawę, że jej ukochany nie zabija już ludzi, ale nie chciała widzieć go pochylającego się nad ofiarą, czymkolwiek by ta ofiara była. Nie chciała widzieć Rodericka pijącego krew. To miał być od tej pory temat tabu.

– Dokąd jedziemy? – zapytała piastunka, gdy zostały same.

– Nie wiem. – Elizabeth bezradnie pokręciła głową. – Ku nowemu życiu.

Pierwszym etapem ich podróży był Liverpool. Przybyli do miasta zmęczeni drogą, ale szczęśliwi i ciekawi przyszłości. Roderick miał już przygotowany pokój w zajeździe, gdzie na Elizabeth czekały kufry z pięknymi szatami. Widać Roderick dokładnie obmyślił plan i zawczasu przyszykował niezbędne rzeczy. Okazało się, że jego wcześniejsze zniknięcie miało ścisły związek z ich obecną eskapadą. W porcie czekał statek, który miał przyjąć ich na swój pokład i zabrać w długi rejs. Na krańcu tej drogi znajdował się nowy ląd zwany Ameryką.

Roderick przedstawił Elizabeth wizję ich przyszłego życia. Kupił duże połacie ziemi i zlecił postawienie domu. Domu ukrytego wśród zieleni wysokich drzew. Okolica miała być urodzajna, ziemia żyzna. Roderick zapewniał, iż Elizabeth nie będzie się tam czuła wyobcowana.

Część ziemi wydzierżawił osadnikom i postarał się, aby położyć podwaliny pod budowę miasta.

To miało być ich miasto. Elizabethtown – tak miało się nazywać.

Stała na nabrzeżu i patrzyła, jak tragarze ładują kufry na pokład ogromnego statku. Od morza wiała chłodna bryza, która rozwiewała suknię dziewczyny i targała jej włosy.

– Żałujesz? – Roderick jak zwykle zjawił się niepostrzeżenie. – Czuję, że żal ci opuszczać Anglię.

– Nie żałuję. – Odwróciła się w jego stronę. – Niczego nie żałuję. Martwię się tylko o Lucasa. To morze rozdzieli nas na zawsze. Nie zdążyłam się nawet z nim pożegnać...

– Nie było czasu – przypomniał. – Zapewniam cię, że Caroline się nim zajęła. Jej można zaufać. To prawdziwa przyjaciółka. Teraz to zrozumiałem.

– Wiem, Rodericku, ale to mój brat. Miałam tylko jego...

– Teraz masz mnie, masz Kyle'a... Kochanie, musisz się otworzyć na przyszłość.

Jesteśmy razem i to jest najważniejsze.

– Ale tak trudno zapomnieć. – Przytuliła się do niego.

– Nie musisz zapominać. Pamięć jest najważniejszą rzeczą, jaką mamy. Możemy pamiętać o tych, których już nie ma, o tych, którzy są od nas daleko. Wszystko zostawia w nas swój ślad. Lucas zawsze będzie w twoim sercu, nieważne, gdzie się znajdziesz.

– Kocham cię.

– Kocham cię – odpowiedział i delikatnie, z uczuciem, musnął ustami jej wargi.

Ten jeden pocałunek wystarczył, by przywarli do siebie spragnieni swojej bliskości.

Stojąc na szarpanym podmuchami wiatru nabrzeżu, całowali się tak, jakby świat dla nich nie istniał.

Statek odbił od brzegu. Piastunka z Kyle'em udała się do kajuty, gdyż wiatr wiał jeszcze mocniej niż rano, a z nieba zaczął siąpić drobny deszcz. Czarne chmury kłębiły się, zasłaniając

słońce i okrywając świat mrokiem. Anglia żegnała ich płaczem, tak jakby wiedziała, że nigdy już tu nie wróci. Elizabeth została na pokładzie i opierając ręce o burzę, patrzyła na coraz bardziej oddalający się ląd. Roderick stał tuż za nią, obejmując ją w płu. Gdy ostatni skrawek angielskiej ziemi zniknął im wreszcie z oczu, Elizabeth westchnęła i oderwała ręce od burty.

- Przed nami całe życie - wyszeptała, odwracając się w jego stronę. Uniosła na niego załzawione oczy.

- Ty płaczesz?

- Nie, to tylko deszcz - zapewniła.

- Nie bój się, będę z tobą do końca. - Przytulił ją i ukrył twarz w jej włosach.

Dla niego życie było wiecznością, dla niej jedynie chwilą. Nie chciał myśleć, o tym, co będzie później. Co będzie, gdy jej zabraknie... Gdy minie jej czas... Na razie byli razem i dopiero zaczynali swoją niezwykłą podróż, jaką jest wspólne życie. Mogli cieszyć się każdą chwilą, każdym momentem. Dni, miesiące, lata... Cóż to znaczyło wobec potęgi ich uczucia?

Koniec tomu pierwszego